BIDEN KONTRA PUTIN

STAWKĄ JESTEŚMY TAKŻE MY

MINISTER ROLNICTWA: MIESZCZUCHY, SZANUJCIE ROLNIKÓW

KTO PO BUDCE? JEST 17 KANDYDATÓW

FASCYNUJĄCY DODATEK: POLACY POZA HORYZONTEM

SIECI

NAJWIĘKSZY KONSERWATYWNY TYGODNIK OPINII W POLSCE

Nr 20 (442) 2021
17–23 maja 2021

CENA: 6,90 zł
(w tym 8% VAT)

INDEKS 287393 ISSN: 2544-2694

LESZEK BALCEROWICZ

ZNÓW POUCZA. ZAPOMNIAŁ, CO NAM ZROBIŁ?

OFERTA SPECJALNA

ZAMÓW E-PRENUMERATĘ SIECI

I ZYSKAJ PODWÓJNIE:

- **rabat 50%**
  roczna e-prenumerata w cenie półrocznego dostępu
- **książka W PREZENCIE**
  książka TYLKO dla e-prenumeratorów tygodnika „Sieci”

Najpopularniejszy

Dostęp na
12 miesięcy
~~159,99 zł~~
89,99 zł

Książka w prezencie

KUP TERAZ

WEJDŹ NA:
www.SiecPrzyjaciol.pl
i zamów lub przedłuż dostęp do e-prenumeraty tygodnika „Sieci” na 12 miesięcy

eprasa.pl ef27a56980

Autopromocja

Czy Ren wpadnie do Wisły?

W 1996 r. za pontyfikatu Jana Pawła II w krajach niemieckojęzycznych powstał ruch Wir Sind Kirche (My Jesteśmy Kościołem). Domagał się on tak radykalnych zmian w doktrynie katolickiej, że jego żądania uważane były przez Stolicę Apostolską za heretyckie. Z nadwiślańskiej perspektywy wydawał się wtedy egzotycznym marginesem życia religijnego w sytych społeczeństwach Zachodu. Nikt w Polsce nie brał na poważnie możliwości, by tamte postulaty mogły znaleźć posłuch wśród większości wiernych, nie mówiąc już o hierarchach Kościoła. Dziś okazuje się jednak, że katolicki mainstream w Niemczech, łącznie z dużą częścią biskupów, mówi językiem Wir Sind Kirche.

Przykładem może być tzw. droga synodalna, której uczestnicy domagają się zmian doktrynalnych zaprzeczających całemu dotychczasowemu nauczaniu Kościoła. Ich postawa ośmiela do bardziej radykalnych działań część duchownych. Ostatnim przejawem ich aktywności była akcja publicznego błogosławienia par jednopłciowych w niemieckich świątyniach, która odbyła się 10 maja. Sami organizatorzy przyznali, że chcieli w ten sposób otwarcie rzucić wyzwanie Watykanowi, który 22 lutego wydał notę uznającą niemożliwość błogosławienia związków homoseksualnych.

Co prawda niemieccy dostojnicy zdystansowali się od wspomnianej akcji, ale w szczególny sposób. Ze słów przewodniczącego tamtejszego episkopatu bp. Georga Bätzinga wynika, że źródłem owego dystansu była nie tyle różnica stawianych przed sobą celów, ile wybór odmiennych metod działania. Mądrość etapu nakazuje bowiem postępować ewolucyjnie, metodą drobnych kroków, przez rozciągniętą w czasie drogę synodalną, a nie gwałtownie, za pomocą rewolucyjnych aktów. Hierarchowie zaznaczyli też, że nie będą wyciągać żadnych konsekwencji wobec księży, którzy przyłączyli się do akcji, co – jak można przypuszczać – ośmieli tylko buntowników do bardziej ostentacyjnych działań. Przy okazji wyszło na jaw, że błogosławienie związków homoseksualnych jest częstą praktyką w tamtejszych świątyniach, jednak odbywającą się potajemnie.

Jak pisze kard. Paul Joseph Cordes, część biskupów niemieckich uważa, że ich Kościół jest pionierem nowego rodzaju duszpasterstwa na świecie. W tym właśnie świetle należy spojrzeć na posiedzenie episkopatu Niemiec, które odbyło się w lutym 2018 r. w Ingolstadt i poświęcone było sytuacji Kościoła w krajach Grupy Wyszehradzkiej. Zebrani tam hierarchowie w dokumencie końcowym postanowili, że Europa Środkowa „powinna w najbliższych latach znaleźć się w centrum międzynarodowej działalności naszego episkopatu". Dlaczego? Otóż niemieccy dostojnicy nie kryli swego zaniepokojenia stanem katolicyzmu w Polsce, Czechach, na Węgrzech i Słowacji. Szczególnie martwiło ich to, że chrześcijanie w naszym regionie ulegają populistom, nie chcą przyjmować uchodźców i są oporni na zmiany w etyce seksualnej. W tej sytuacji – jak uradzili – nie można braci ze wschodu ani potępiać, ani zostawiać samych, ale należy im pomóc. Jak? Poprzez pracę uświadamiającą u podstaw.

Można się więc spodziewać, że Kościół w Niemczech, dysponujący rocznym budżetem w wysokości 7 mld euro, chętnie wesprze potrzebujących współwyznawców z Europy Środkowej grantami i stypendiami. Dziś większość polskich katolików odrzuca zdecydowanie pomysł błogosławienia par jednopłciowych. Przed niemieckimi kulturträgerami dużo pracy.

Grzegorz Górny

eprasa.pl ef27a56980

SIECI spis treści

26 *Z dr. Krzysztofem Tyburczym rozmawia Dorota Łosiewicz*

46 Z prezydentem Andrzejem Dudą *rozmawia Marcin Wikło*

71–79 Polacy poza horyzontem *odc. 4*

NA POCZĄTEK

6 SYGNALISTA NADAJE
Nieoficjalny przegląd tygodnia

8 NA GOŁE DECHY
Krzysztof Feusette

9 BRAWO POLACY!
Dorota Łosiewicz

10 ŚWIATOWE ŻYCIE
redaguje Konrad Kołodziejski

12 AVENGER TRZASK-PRASK
Jan Pietrzak

12 PRAWDA NIGDY NIE LEŻY POŚRODKU
Dominik Zdort

13 JAGIEŁŁO ODCHODZI, WĄTPLIWOŚCI ROSNĄ
Bronisław Wildstein

14 WALIZKA SŁAWKA ŁOSOWSKIEGO
Michał Korsun

16 OGNIEM NA WPROST
Andrzej Rafał Potocki

17 WIRTUALNY PIENIĄDZ – REALNE RYZYKO
Marta Kaczyńska-Zielińska

18 FELIETONY
Tomasz Łysiak

TEMAT TYGODNIA

20 LESZKA BALCEROWICZA GRZECHY GŁÓWNE
Jerzy Bielewicz

KRAJ

26 Z DR. KRZYSZTOFEM TYBURCZYM
rozmawia Dorota Łosiewicz

30 KTO PO BUDCE?
Stanisław Janecki

34 Z GRZEGORZEM PUDĄ
rozmawia Michał Karnowski

38 HOŁOWNIA – WIELKA KREACJA
Konrad Kołodziejski

40 CAMPUS TRZASKOWSKIEGO
Edyta Hołdyńska

42 Z TYMOTEUSZEM ZYCHEM
rozmawia Goran Andrijanić

44 TĘCZOWY SZANTAŻ W PARTII RAZEM
Jakub Augustyn Maciejewski

46 Z PREZYDENTEM ANDRZEJEM DUDĄ
rozmawia Marcin Wikło

ŚWIAT

50 KONIEC SZWEDZKIEJ GOŚCINNOŚCI
Aleksandra Rybińska

52 AMERYKAŃSKO-ROSYJSKA ROZGRYWKA
Marek Budzisz

56 BITWA O MADRYT
Grzegorz Górny

58 ZIELONA KANCLERZ I POLSKIE DYLEMATY
Jan Rokita

SIECI KULTURY

61 NIE ZAPOMNISZ MNIE
Jolanta Gajda-Zadworna

63 POWRÓT MICKIEWICZA
Jerzy Biernacki

66 POKOLENIE „DEJ"
Robert Tekieli

67 WOJNA CYWILIZACJI
Robert Tekieli

68 CZYTANIE JAKO SPORT EKSTREMALNY
Wojciech Stanisławski

70 ZAREMBA PRZED TELEWIZOREM
Piotr Zaremba

GOSPODARKA

80 KOSZTOWNE POŻEGNANIE Z PLASTIKIEM
Piotr Filipczyk

KUCHNIA

82 MOJE SMAKI: PIOTR CIEMNY
Jolanta Gajda-Zadworna

83 SŁODKO-SŁONY/WILCZYM OKIEM
Anna Monicka, Przemysław Barszcz

NA KONIEC

84 SKRZYWDZENI I PONIŻENI WYSTAWIĄ PANU RACHUNEK…
Hanna Karp

86 MATKA
Alina Czerniakowska

87 NIE LĘKAJCIE SIĘ…
Lech Makowiecki

87 38 CM GRODZKIEGO
Piotr Cywiński

88 PROGRAM PRAWDZIWEJ ODBUDOWY
Jan Pospieszalski

89 JAKOBIN, POETA, ŻOŁNIERZ, BOHATER
Leszek Długosz

90 KOSZTOWNA ŚLEPOTA
Katarzyna i Andrzej Zybertowiczowie

Reklama | 70/0421/F

eprasa.pl ef27a56980

PGNiG
marka godna zaufania

Odpowiedzialność, wiarygodność, partnerstwo i jakość to filary naszego działania. Jesteśmy dumni, że świadczone przez nas usługi zostały docenione przez polskich przedsiębiorców, którzy przyznali nam tytuł Marki Godnej Zaufania. Dziękujemy za to zaszczytne wyróżnienie!

MARKA GODNA ZAUFANIA 2021
MY COMPANY POLSKA

eprasa.pl ef27a56980

Sygnalista nadaje

W czasie internetowego łączenia z organizacją Atlantic Council prezydent stolicy ***Rafał Trzaskowski*** opowiedział słuchaczom bajkę o walce z pandemią, z sobą w roli głównej: „Wzięliśmy odpowiedzialność w swoje ręce", „zaczęliśmy kupować sprzęt", „zaczęliśmy organizować własne punkty, m.in. na stadionach, na których sami możemy szczepić ludzi". I pomyśleć, że mówi to człowiek, który w pierwszych dniach pandemii poszedł na zwolnienie lekarskie, bo zmęczył się pracą.

Trzaskowski nie żałował sobie pochwał. „W wielu sytuacjach wyprzedziliśmy rząd, np. w kwestii przygotowania do szczepień. Lepiej od rządu wiedzieliśmy, jak się przygotować. Byliśmy gotowi i czekaliśmy na szczepionki. Mamy teraz wielki program szczepień i już trzy–cztery tygodnie wcześniej niż rząd przygotowaliśmy odpowiednie miejsca". Wygląda na to, że będą gotowi w chwili, gdy rząd zaszczepi wszystkich chętnych. Jak pech, to pech.

Poseł Koalicji Obywatelskiej Paweł Kowal pochwalił się zdjęciem ze stacji paliw należącej do zachodniego koncernu. Na fotce widać, że trzyma w ręku hot doga. Do tego podpis: „Dzisiaj pomiędzy Michałowicami a Krakowem...". Kontekst jasny: poseł Kowal na Orlenie nie tankuje, bo Orlen jest państwowy, a w państwie rządzi PiS. „Zaraz powiedzą, że to zdrada narodowa" – zażartował red. Tomasz Lis. No cóż, idea państwowa to to nie jest.

Leszek Balcerowicz mówi jeszcze jaśniej: „Nie tankujemy u Obajtka, nie kupujemy prasy Obajtka, nie jemy jego hot dogów". Twórca terapii szokowej jest przynajmniej konsekwentny: gdyby nieco dłużej porządził polską gospodarką, Orlen zostałby szybko sprzedany. Później sprowadzono by go do roli lokalnej filii jakiegoś zachodniego koncernu, a jeszcze później zlikwidowano by także logo. I jedyny dylemat związany z tankowaniem dotyczyłby pytania: stacja koncernu zachodniego czy rosyjskiego?

Aktor Maciej Stuhr martwi się kondycją polskiej opozycji. Ma też propozycję: „Myślę, że ludzie poszliby za bardzo trudnymi słowami: że nie przyjdzie pomoc z zewnątrz, że wszyscy musimy się wziąć do roboty, że musimy dłużej pracować… Rządy ostatnich lat polegały na tym, że państwo zaczęło rozdawać i mówić, że wszystko jest bardzo dobrze, że możemy sobie spokojnie słuchać disco polo i grillować. Chyba trzeba by powiedzieć kilka trudnych słów, ale nikt nie ma na to odwagi". O, to doskonałe. Tak, opozycja zdecydowanie powinna pójść w tę stronę.

Ale nie cała opozycja walczy z narodowymi czempionami. Polityk Lewicy ***Adrian Zandberg*** odwiedził Orlen i chyba był zadowolony. „Chwila przerwy na wegańskiego hot doga i jedziemy dalej. Kolejny przystanek – Siedlce!" – napisał. Politycy KO uderzyli mocno. Michał Szczerba: „Jedno zdjęcie jest warte więcej niż tysiąc słów. Zwalniani przez Orlen dziennikarze tego nie polubią". Borys Budka: „Proponuję iść za ciosem. Po przekąsce u Obajtka, obiad u Przyłębskiej". U „pani prezes Julii Przyłębskiej", panie przewodniczący. Aktywność z PO nie zwalnia z elementarnych norm kulturowych.

Po stronie opozycyjnej frustracja po tym, jak rząd ominął rafę i Sejm przyjął fundusz odbudowy głosami PiS i Lewicy. Lider PSL Władysław Kosiniak-Kamysz twierdzi, że opozycja mogła wygrać dużo: „Obóz władzy się rozpadał. Upadek rządu był na wyciągnięcie ręki. Tylko nie wszyscy w opozycji chcieli w to uwierzyć. Zwyciężyła obawa przed przyspieszonymi wyborami. Scenariusz zakładał, że do nich doprowadzimy. Miały się odbyć na zasadach transparentnych i uczciwych, ale szybko, a nie w 2023 r.". Spiski istnieją.

Tymczasem szef PO ***Borys Budka*** ze spokojem przyjął sondaż, w którym Koalicja Obywatelska ma tylko 12 proc. poparcia. Jego zdaniem sondaże

eprasa.pl ef27a56980

to „element politycznej gry". Przekonywał, że KO ma własne sondaże, korzystniejsze. „Wczoraj przeprowadziliśmy badania, w których idziemy łeb w łeb z ugrupowaniem Szymona Hołowni". Moment, w którym politycy powołują się na własne tajne badania, zawsze oznacza naprawdę głęboki kryzys.

Prof. Magdalena Środa – tak jak cała kawiorowa lewica – nie zmieni się chyba nigdy. Teraz tak oto podsumowała sztandarowy program PiS: „500+ nie było po to, aby zlikwidować tzw. zeszyty. Oczywiście one też zostały zlikwidowane, ale ja też mogę mówić, że niedaleko tutaj, w małej miejscowości w sklepie Biedronka, kiedy była wypłata 500+, zabrakło piwa, to był ewenement na skalę europejską. Zatem program ma też swoje negatywne strony". Tak podejrzewaliśmy: lewica tak naprawdę nie wierzy w polski lud.

Lewicowi aktywiści ostro konkurują w sferze groteskowych wypowiedzi. W czołówce peletonu plasuje się z pewnością pani Maja Staśko, która błysnęła takim oto stwierdzeniem: „Snobizm na czytanie książek jest szkodliwy, bo wyklucza tych, którzy nie czytają". Po fali krytyki dodała: „Wyższościowe połajanki, protekcjonalność czy snobizm nie zachęcają do czytania dla frajdy, wiedzy, poszerzania horyzontów i interpretacji rzeczywistości. Zachęcają do czytania, by czuć się lepszym od innych". Kiedyś lewica chciała wynosić do góry tych, co na dole. Dziś odwrotnie: chce zepchnąć w dół całe społeczeństwo.

W telewizyjnym studiu starli się posłanka KO Barbara Nowacka i poseł Lewicy Marek Dyduch, kiedyś ważny polityk SLD. W pewnym momencie pan poseł użył dość ryzykownego porównania: „A posłanka Nowacka słyszy tak, jak moja żona. Czyli to, co chce" – stwierdził. „To było seksistowskie" – oburzyła się Nowacka. Po czym dodała: „Bardzo bym prosiła, żeby pan pohamował takie uwagi w starym stylu". Tak, to było w starym stylu, ale dowcipne i w sumie autoironiczne. Nie zabijajmy dobrego dowcipu. Na pewno nie w imię totalitarnej politycznej poprawności.

Ostatecznie Marek Dyduch przeprosił. Swoją żonę. „To porównanie było niemiłe dla mojej żony, bo jest wrażliwą osobą i te przeprosiny się mojej żonie należą, więc zrobiłem to i prywatnie, i publicznie" – powiedział polityk Lewicy. Czy przeprosi Barbarę Nowacką? „Jeżeli pani Nowacka sama czuje się obrażona, to powinna się zastanowić, czy bawić się w politykę, bo w polityce czasami jest gorąco, ale podkreślam to – nie chciałem jej absolutnie obrazić" – stwierdził. Dzielny człowiek.

Fot. Mateusz Zelnik, Andrzej Wiktor x3

Bartłomiej Sienkiewicz, były minister spraw wewnętrznych, jeden z najbliższych doradców Tuska, o „Gazecie Wyborczej" i jej roli w pierwszym okresie III RP: „Żyliśmy w kraju jednej gazety, jednej telewizji i jednego prezydenta. To były lata 90. One odcisnęły się niesłychanie silnym piętnem wśród pokolenia, które w tej chwili ma lat 50. Były pokoleniowym doświadczeniem zbiorowego wykluczenia". I dalej: „Ówczesna potęga »Gazety Wyborczej« jest nie do wyobrażenia dla współczesnych obserwatorów sfery publicznej". Celne.

Dziennikarze „Wiadomości" dotarli do treści listu dotyczącego – jak to ujęto – społeczności LGBT, który przygotowują zagraniczni dyplomaci w Polsce. „Składamy hołd ciężkiej pracy LGBT i innych społeczności w Polsce i na świecie, a także pracy tych, którzy dążą do zapewnienia praw człowieka osobom LGBT i innym osobom należącym do społeczności stojących w obliczu podobnych wyzwań oraz zakończenia dyskryminacji, zwłaszcza ze względu na orientację lub tożsamość płciową" – głosi fragment listu. Czy ton listu nie jest aby zbyt mało uniżony? Powinni to przemyśleć.

Portal wPolityce.pl poznał kulisy tej operacji: „Wielu dyplomatów doskonale wie, że ten list nieprawdziwie sugeruje jakąś złą sytuację środowisk LGBT w Polsce. Widzą dookoła siebie pełną wolność i tolerancję w Polsce. Wiedzą, jak jest krzywdzący dla kraju, w którym pracują. Jest istotna grupa, która nie chce się pod tym podpisać. Są jednak poddawani potężnej presji ze strony ambasad organizujących akcję: państw skandynawskich, Niemiec, Belgii, Francji. To naprawdę brutalne działanie, dociskanie wręcz kolanem". Jak wyglądają naciski? „Stawia się ich w bardzo trudnej sytuacji, sugerując, iż jeśli nie podpiszą, żywotne interesy ich państw mogą być zagrożone". A wszystko w imię różnorodności i tolerancji. Ale może w imię zwykłych interesów i zagrożonych wpływów?

Jedną z ważniejszych postaci ofensywy światopoglądowej w Polsce jest Bart Staszewski, znany ze stygmatyzowania miejscowości, które chronią rodziny, tablicami z napisem „Strefa wolna od LGBT". Okazuje się, że np. w Łososinie Dolnej tablicy jednak nie zawiesił, a jedynie zaprezentował w mediach społecznościowych fotomontaż. Dlaczego? „W trzech lub czterech miejscach okazywało się, że słupek, na którym umieszczone były znaki z nazwą miejscowości, był za gruby, bym mógł przyczepić do niego moją tablicę. Musiałem więc znaleźć inny sposób" – tłumaczy w rozmowie z portalem wPolityce.pl. W sumie cenne. Dla LGBT prawda ma wtórne znaczenie. Chodzi o władzę.

eprasa.pl ef27a56980

Na gołe dechy

KRZYSZTOF FEUSETTE

Budka: Szanowni... kochani... ucałowałbym was, ale maseczka nie pozwala. A więc przejdźmy od razu ad rem do meritum: wiemy, po co się spotykamy i z czym musimy stąd wyjść...

Komorowski: Tak jest, chodzi o pewien obraz...

Nitras: To ty go jeszcze nie oddałeś?

Komorowski: ...obraz rzeczywistości. W ramach której funkcjonujemy. Skręciliście, koledzy, w lewo. Tymczasem ja mówiłem, że trzeba iść środkiem drogi.

Kidawa: Środkiem jest niebezpiecznie. Widziałam kiedyś jelenia, który szedł środkiem, i potem już go nie widziałam.

Trzaskowski: Może skręcił?

Sikorski: Chyba nogę.

Budka: Albo kark. Właśnie, à propos – czy ktoś z was wie, kto napisał ten głupi list?

Trzaskowski: Nasi działacze.

Budka: Sracze, nie działacze. Nasi działacze cenią sobie obecne kierownictwo partii, więc to musiały być pisowskie krety.

Trzaskowski: Arłukowicz jest kretem?

Budka: A kim? Znasz innego wiceprzewodniczącego, który podpisał się pod listem wzywającym zarząd partii do dymisji?

Komorowski: Bo ludzie mają dosyć. Czasem trzeba się walnąć dechą w łeb.

Nitras: To się walnij. Będziesz rozbiorów na Platformie dokonywał? Hołownia nam na plecach siedzi, a ty piasek w szprychy sypiesz?

Komorowski: Ochłoń, Sławku. Bo nie wiem, na czym dzisiaj jedziesz, ale tak na pewno kogoś przejedziesz...

Nitras: Może zakonnicę?

Sikorski: Obaj macie rację. Nie wolno skręcać w lewo.

Trzaskowski: A gdzie mamy skręcać? Na Chobielin? Mało ci upokorzeń? Niedoszły kandydat na prezydenta, niedoszły lider partii, niedoszły mąż stanu. Czy ty w ogóle gdzieś doszedłeś?

Kidawa: Właśnie – do czego to doszło, że my musimy tak z sobą rozmawiać?

Budka: Ja listu nie pisałem. Była decyzja, że obalamy rząd. Jeszcze specjalnie konsultowałem się z obecnymi tutaj Sławkiem i Rafałem, czy na pewno? Obaj, że tak. I co? I ja mam Gowina prawie przekonanego, no, może nie jego samego, ale kogoś, kto zna faceta, który kojarzy go jeszcze z Platformy, a w tym czasie Czarzasty z Zandbergiem kładą na tym szlaban? I Kosiniak jest za? I Hołownia? Nagle tacy europejscy się zrobili, że chcą do wyborów czekać?!

Trzaskowski: Spokojnie, to się poskleja.

Sikorski: Chyba taśmą. Tu jest, kurza twarz, potrzebna nowa twarz.

Kidawa: To co? Może ja spróbuję? Ludzie mnie lubią, cenią, szanują...

Budka: Weźcie ją, błagam.

Kidawa: O, nie. Jak tylko wyjdę, znowu mnie podmienicie!

Trzaskowski: Już nie ma na kogo! Ja się nie rozdwoję, tu Warszawa, tam ruch Rafała, tu związek zawodowy, tam obóz dla pionierów, a jeszcze przecież pandemia, a jeszcze Olejnikowa zaprasza...

Komorowski: Za dużo wziąłeś sobie na barki.

Trzaskowski: Barkami to ja gnój Wisłą spuszczałem, i to w tak zwanym międzyczasie.

Komorowski: A w międzyczasie struktury wam w Poznaniu odchodzą.

Budka: I gdzie pójdą?

Sikorski: Zgadnij.

Trzaskowski: Niech idą. Uwierzyli beksie, że jak skończy płakać, to coś im rzuci. Na „Titanicu" pierwsi by w szalupach siedzieli...

Komorowski: Jaśkowiak mógł się zrazić po przegranych prawyborach. Wiem, co mówię, bo też kiedyś w podobnych uczestniczyłem. No, ale ja nie miałem z kim przegrać.

Sikorski: Bronku...

Komorowski: Radku...

Kidawa: Nie kłóćcie się, błagam!

Budka: Cały czas to powtarzam. Nie wolno teraz się rozdzielać. Nie zmienia się koni podczas przeprawy przez rzekę, do której nigdy nie wchodzi się dwa razy, bo wszystko płynie! Reasumując: żadnych nowych inicjatyw, ale walka o lepsze imię partii oraz jej kierownictwa. Trzeba ludziom wytłumaczyć, dlaczego się wstrzymaliśmy...

Sikorski: A dlaczego?

Budka: Żeby, k..., nie popuścić!

Trzaskowski: Dobra, bo widzę, że nie da się inaczej. Skończę walkę z pandemią i biorę się do roboty. Trzeba odsunąć PiS od władzy.

Kidawa: O, i to jest konkret! Nośne, konkretne, ambitne! To może porwać ludzi!

Sikorski: Chyba na strzępy.

Budka: Dokładnie. Bronek ma rację, ty i tak sobie, Rafałku, wziąłeś za dużo na czajkę. Ja już wszystkim powiedziałem, że ten twój ruch to jest totalna lipa.

Trzaskowski: Sam jesteś totalna lipa!

Nitras: To może ja was przytrzymam?

Budka: Najlepiej niech wszyscy trzymają, ale mordę w kubeł. Jeden cel, jeden wódz, jeden kierunek...

Komorowski: Wszystko fajnie, ale tu potrzeba świeżej krwi...

Kidawa: Więc może jednak spróbuję? Ludzie mnie...

Schetyna: ...pamiętają, jeszcze jak pamiętają. Dzień dobry, przepraszam za spóźnienie, ale żeśmy ze Sławkiem Neumannem najpilniejsze sprawy partii załatwiali. To co, gotowi do nowych wyzwań? Na początek, kolego Nitras, bądźcie tak mili i postawcie pana Budkę na zewnątrz. To jest, jak wiecie, taki nasz Rocky 3. Bo w rok i trzy miesiące partię rozłożył, ha, ha... Od dzisiaj, Borysław, będziesz stał na czatach. Jak coś się dzieje, to gwiżdżesz. No, już, biegnij, chłopcze, bo chcemy porozmawiać.

eprasa.pl ef27a56980

Brawo Polacy!

Udało się stworzyć światowe konsorcjum, które zajmie się badaniem amantadyny jako środka pomocnego w leczeniu COVID-19

Okazało się, że badanie kliniczne amantadyny, na którego czele stoi prof. Konrad Rejdak, jako pierwsze na świecie zarejestrowane w bazie dostępnej dla wszystkich naukowców, oraz publikacja naukowa z kwietnia 2020 r. przygotowana wspólnie z prof. Pawłem Griebem, w której polscy naukowcy jako pierwsi na świecie opisali możliwe działanie ochronne amantadyny przeciwko infekcji COVID-19 u pacjentów z chorobami neurologicznymi, wzbudziły zainteresowanie badaczy z Danii. Grupa duńskich naukowców na Uniwersytecie Kopenhaskim podjęła własne badania w tym kierunku. Badania zakończyły się pracą naukową światowej sławy wirusolog i farmakolog prof. Mette Rosenkilde, która zorganizowała też badanie kliniczne rozpoczęte w ośrodkach duńskich, oparte na bardzo podobnym protokole jak w polskim badaniu. Doprowadziła także do zwołania międzynarodowego konsorcjum naukowego, zapraszając do współpracy m.in. zespół prof. Rejdaka.

– Wspólnie stworzyliśmy projekt europejski, który został złożony w ramach konkursu Horizon 2021 z datą 11 maja 2021, o finansowanie w celu rozszerzenia badań klinicznych o kolejne kraje europejskie. Do badania włączą się ośrodki z Grecji, Szwecji, Włoch, a nawet RPA (ale to ostatnie zależy od pozyskanych funduszy). W badaniu wezmą udział takie ośrodki badawcze jak: Max Planck Institute, Uniwersytet Aarhus, Uniwersytet Ateński oraz Uniwersytet Leuven z Belgii. Jest znacznie więcej instytutów i placówek naukowo-klinicznych, które wezmą udział w badaniu, w tym także Instytut Medycyny Doświadczalnej i klinicznej PAN z Warszawy, z zespołem kierowanym przez prof. Pawła Grieba – wyjaśniał mi plan przedsięwzięcia prof. Konrad Rejdak, prezes elekt Polskiego Towarzystwa Neurologicznego oraz kierownik Katedry i Kliniki Neurologii Uniwersytetu Medycznego w Lublinie.

Naukowcy mają zbadać działanie ochronne amantadyny jako wczesnej interwencji przeciwko COVID-19. Badacze czekają teraz na wynik konkursu, ale badania kliniczne w Polsce i Danii trwają.

– Wielką nowością jest to, że z impetem toczą się badania europejskie nad amantadyną na bazie naszej pierwotnej hipotezy, czyli o potencjalnej skuteczności leku w pierwszej fazie po infekcji wirusem SARS-CoV-2. Protokół badań duńskich jest bliźniaczo podobny do naszego – uwzględnia osoby, u których potwierdzono infekcję w ciągu pierwszych pięciu dni, w celu przeciwdziałania rozwojowi COVID-19. To wielka radość i zaszczyt. Uzyskaliśmy akceptację ABM na włączenie naszego badania klinicznego do dużego badania europejskiego. Tak powstała naprawdę spora grupa badawcza, która dostarczy wiarygodne wyniki naukowe – tłumaczy prof. Rejdak.

Cieszą też słowa wsparcia dla polskich naukowców ze strony ministra edukacji i nauki prof. Przemysława Czarnka: „Działalność prof. Konrada Rejdaka i całego Uniwersytetu Medycznego w Lublinie w kwestii amantadyny i jej skutków zdrowotnych w COVID-19 jest coraz bardziej zauważalna i wiążemy z tym ogromną nadzieję, dlatego gratuluję, że jego praca została zauważona. Deklarujemy nasze wsparcie".

Przypomnijmy tylko, że badacze pod kierownictwem prof. Rejdaka prowadzą badania na populacji osób z łagodnym przebiegiem COVID-19, leczonych ambulatoryjnie, a zespół prof. Adama Barczyka – na populacji chorych z umiarkowanym i ciężkim przebiegiem choroby, wymagających hospitalizacji.

Ważne, aby oprócz szczepionki świat miał także lek, żaden rozsądny lekarz nie poda bowiem szczepionki przeciwko COVID-19 osobie, która jest w trakcie pełnoobjawowej ostrej fazy choroby wywołanej przez SARS-CoV-2. Poza tym przecież nie wszyscy mogą lub chcą się zaszczepić.

Miejmy nadzieję, że teraz badania nad amantadyną nabiorą tempa, a świat naukowy z zapartym tchem czeka na ustalenia naukowców. Osobiście bardzo się cieszę, że w świecie dostrzeżono wkład oraz wysiłki polskich naukowców i lekarzy w poszukiwanie skutecznego leku przeciw COVID-19, choć szkoda, że z tyloma przeciwnościami musieli się spotkać w Polce. Miejmy jednak nadzieję, że to już melodia przeszłości.

Dorota Łosiewicz

Kobiety ofiarami przemocy

Po tym jak sześć kobiet zostało zamordowanych w ciągu zaledwie pięciu tygodni, w Szwecji rozpętała się debata na temat przemocy wobec kobiet. Jedna z ofiar została zabita we własnym mieszkaniu we Flemingsbergu – uboższej dzielnicy Sztokholmu, gdzie mieszkała z czwórką małych dzieci, z kolei dwie inne zginęły jednego dnia. Statystyki potwierdzają lawinowy wzrost agresji w stosunku do kobiet. Jest to szok dla tych, którzy widzą w Szwecji wzór „genderowej polityki". Szwedzki rząd sam siebie nazywa feministycznym. Z przyczyn politycznych nie będzie mu jednak łatwo odpowiedzieć na ten problem, bo dotyczy on głównie środowisk imigrantów. Wprawdzie szwedzka policja nie rejestruje przestępstw według klucza etnicznego, jednak w aktach oskarżenia widać, że wielu napastników ma korzenie spoza Europy.

Lider opozycyjnej partii Szwedzcy Demokraci Jimmie Åkesson podkreśla, że problem przemocy wobec kobiet ma źródło w kulturze. Minister równości płci Märta Stenevi odpowiada jednak, że w Szwecji nie ma problemu z tzw. honorowymi przestępstwami, które w muzułmańskich społecznościach bywają popełniane za „zhańbienie rodziny". Stenevi zastrzega, że ograniczanie kwestii przemocy wyłącznie do imigrantów jest umniejszaniem problemu. Lewicowi komentatorzy i politycy wolą tłumaczyć rosnącą przemoc pandemią koronawirusa. Ich zdaniem to zamknięcie w domach i frustracja z tego powodu pcha Szwedów do gwałtów. Tyle że w Szwecji żadnego formalnego lockdownu nie było, a kraj jest przedstawiany jako oaza swobody na tle zamkniętych gospodarek świata. Zresztą zwykli Szwedzi też mówią co innego. 25-letnia kobieta z Flemingsbergu przyznaje w rozmowie z BBC, że kłopoty biorą się z tego, że przyjezdni nie chcą przestrzegać szwedzkiego prawa.

Warto w tym kontekście spojrzeć na decyzję sąsiadów Szwecji. Duńczycy w ostatnich tygodniach zdecydowali o odesłaniu 189 Syryjczyków do Damaszku. Kierowany przez kobietę Mette Frederiksen socjaldemokratyczny rząd został poddany ostrej krytyce przez media oraz prawników działających na rzecz imigrantów. Jednak duński minister ds. imigracji Mattias Tesfaye twardo broni stanowiska rządu, przypominając, że Dania przyjęła syryjskich uchodźców tymczasowo. Twarda polityka wobec imigrantów pozwoliła duńskiej lewicy wygrać wybory z konserwatystami. Dania liczy 5,8 mln mieszkańców, z czego 500 tys. to imigranci. Syryjczyków jest tam 35 tys. Ich odesłanie ma być próbą zniechęcenia kolejnych azylantów do podróży do tego skandynawskiego kraju. Czy taka polityka wpłynie na Szwedów?

Łukasz Adamski

Znów atak hakerów

USA

Komputery firmy obsługującej system rurociągów Colonial, którym dostarczane jest 45 proc. paliwa zużywanego na wschodnim wybrzeżu Stanów Zjednoczonych, zostały zablokowane przez złośliwe wirusy umieszczone w sieci przez wywodzącą się z Europy Wschodniej, najprawdopodobniej z Rosji, grupę hakerską DarkSide. Celem ataku było wymuszenie okupu.

Hakerzy w wydanym komunikacie poinformowali, że nie mają powiązań z żadnym z państw, a ich jedynym celem jest zarobek, jednak specjaliści wątpią w to, aby działalność hakerska o takiej skali mogła być prowadzona bez opieki służb specjalnych. Skądinąd wiadomo, że DarkSide nigdy nie atakuje celów w Rosji i innych państwach b. ZSRR. Innym znakiem szczególnym grupy jest to, że domaga się nie tylko zapłaty okupu, najczęściej w bitcoinach, lecz również oferuje na sprzedaż wykradzione dokumenty zaatakowanych korporacji.

Proceder wymuszania haraczu przez grupy hakerskie staje się ostatnio plagą w Stanach Zjednoczonych. Tylko w tym roku, jak podał sekretarz stanu ds. bezpieczeństwa wewnętrznego USA Alejandro Mayorkas, straty z powodu działalności hakerów wyniosły ponad 350 mln dol. Jednak atak na Colonial Pipeline jest szczególny, bo uderzono w strategiczny system zaopatrzenia w paliwo, który rozciąga się od Teksasu do stanu Nowy Jork i liczy sobie 8,5 tys. km. Po akcji hakerów w niektórych południowych stanach, takich jak Wirginia, Karolina Południowa i Georgia, zaczęło brakować paliwa, a gubernatorzy ogłosili stan wyjątkowy.

W opinii specjalistów nasilające się w ostatnim czasie ataki na amerykańską infrastrukturę obnażają słabe przygotowanie władz federalnych do radzenia sobie z zagrożeniami tego rodzaju. Z pewnością ostatnie wydarzenia będą miały swoje implikacje polityczne. Oficjalnie Biały Dom, przygotowujący się właśnie do spotkania Biden–Putin, powstrzymuje się od komentarzy na temat ewentualnych związków rosyjskich służb specjalnych z tym, co się stało, a prezydent oświadczył, że nie otrzymał raportów wywiadu mogących świadczyć o tym, że za atakiem na Colonial Pipeline stał Kreml. Jednak niektórzy republikańscy kongresmani oskarżają administrację, że atak hakerów jest skutkiem „miękkiej" polityki Waszyngtonu wobec Moskwy. Joe Biden zapewnił więc, że porozmawia na temat ataku DarkSide z Władimirem Putinem i podkreślił, że w związku z informacjami, iż jest to grupa wywodząca się najprawdopodobniej z Rosji Kreml „będzie musiał coś z tym zrobić".

Marek Budzisz

Fot. Shutterstock x3

eprasa.pl ef27a56980

Gender kontra szkoły

Francja

„Kontrproduktywny. Szkodliwy". Taki jest według ministra edukacji Francji Jeana-Michela Blanquera tzw. język inkluzywny, stworzony w ramach walki z seksizmem i forsowany przez ruch feministyczny. Tworzy on odpowiedniki żeńskie tam, gdzie ich według oficjalnych reguł gramatycznych nie ma.

Od kilku tygodni toczy się we francuskim parlamencie zacięta debata o włączeniu zgenderyzowanych form gramatycznych do nauki języka francuskiego w szkołach. Lewica i Zieloni usilnie za tym lobbują. Chodzi szczególnie o tzw. kropkę środkową, która pozwala stosować jednocześnie formy żeńskie, męskie i mnogie. Blanquer oraz minister ds. edukacji Nathalie Elimas są temu przeciwni. Jak argumentowała Elimas podczas debaty w izbie niższej francuskiego parlamentu Zgromadzeniu Narodowym, „język inkluzywny stanowi zagrożenie dla języka oraz kultury francuskiej". Według niej język to środek przekazywania wiedzy. „Nie może więc być niezrozumiały" – podkreśliła. W końcu Blanquer wystosował okólnik do rektorów akademii, dyrektorów uczelni i szkół, w którym wprost zakazał używania języka inkluzywnego. „Przestrzeganie reguł gramatycznych i składniowych ma ogromne znaczenie w sektorze edukacji" – napisał Blanquer w okólniku. „Język inkluzywny stanowi przeszkodę w czytaniu i rozumieniu pisma, ponieważ utrudnia on czytanie na głos, podobnie jak wymowę, a tym samym naukę, zwłaszcza dla najmłodszych" – dodał. Jak ocenił, pisownia inkluzywna może utrudniać dzieciom z niepełnosprawnościami, z dysleksją lub takim, które mają kłopoty z nauką, uczenie się języka francuskiego. W skrócie: język inkluzywny wcale nim nie jest. Podobnego zdania jest Akademia Francuska, która zaapelowała o to, by „nie zniekształcać języka w celach politycznych".

Decyzja ministra wywołała ogromne oburzenie po lewej stronie sceny politycznej. Była minister ds. praw kobiet, polityk Socjalistów Laurence Rossignol, porównała „opór" wobec języka inkluzywnego do oporu wobec małżeństw homoseksualnych. A ten opór został w końcu złamany. „Język ewoluuje, ponieważ społeczeństwo ewoluuje" – zaznaczyła. A kto nie podąża za czasem, pozostaje w tyle. Sprzeciw ministra edukacji wobec języka inkluzywnego oczywiście nie oznacza, że nie zamierza on walczyć z seksizmem w szkołach. Resort pracuje nad planem działań dla szkół, którego celem jest stworzenie w nich „kultury równości", m.in. poprzez walkę z seksistowską przemocą. Blanquer zachęca nauczycieli także do feminizacji zawodów i funkcji. „Wybór przykładów lub stwierdzeń podczas nauczania musi uwzględniać równość dziewcząt i chłopców, zarówno poprzez feminizację terminów, jak i walkę ze stereotypami" – podkreślił minister.

Aleksandra Rybińska

Szantaż szczepionkowy?

Paragwaj

Prezydent Paragwaju Mario Abdo Benítez oświadczył, że jego kraj będzie kupować szczepionki, od kogo zechce, ale nie zaakceptuje żadnego szantażu. Zdaniem kręgów zbliżonych do rządu w Asunción jest to odpowiedź na ofertę, jaką miał złożyć Pekin: szybka darowizna olbrzymiej partii szczepionek w zamian za zerwanie stosunków dyplomatycznych z Tajwanem. Chińczycy kategorycznie zaprzeczają, jakoby składali taką propozycję.

Paragwaj jest jednym z 15 krajów świata i jedynym w Ameryce Południowej, który uznaje państwowość Tajwanu. Wynika to z faktu, że oba kraje łączą szczególne więzi polityczne, gospodarcze, kulturowe, a nawet sentymentalne. Poczynając od roku 1957 władze w Tajpej sfinansowały w Paragwaju budowę tysięcy mieszkań socjalnych i niektórych reprezentacyjnych budynków publicznych, takich jak m.in. gmach parlamentu w Asunción. Od 2000 r. Paragwaj otrzymuje też od Tajwanu idące w dziesiątki milionów dolarów darowizny. Tajpej przyznaje również liczne stypendia i granty paragwajskiej młodzieży, fundując jej pobyt na swojej wyspie. Poza tym oblicza się, że w południowoamerykańskim kraju mieszka dziś ok. 4 tys. Tajwańczyków, którzy zarządzają biznesem o wartości ponad 100 mln dol.

Ekonomiści szacują jednak, że z powodu braku stosunków dyplomatycznych z Pekinem Paragwaj traci rocznie ok. 350 mln dol. Tamtejsi biznesmeni nawiązują co prawda relacje handlowe z Chinami poprzez łączników z Argentyny lub Urugwaju, ale tracą na tym pośrednictwie część zysku. W związku z tym rolnicy, zwłaszcza producenci soi, namawiają władze do zerwania relacji z Tajwanem, mając nadzieję, że w ten sposób otworzy się dla ich produktów gigantyczny rynek w Państwie Środka. Rządząca obecnie konserwatywno-narodowa partia Colorado nie chce o tym słyszeć, a sympatyzujące z nią media nie szczędzą krytyki komunistycznemu reżimowi w Chinach. Komentatorzy spodziewają się jednak, że temat może powrócić, gdy do władzy w Asunción dojdzie ekipa kierująca się większym pragmatyzmem ekonomicznym.

Grzegorz Górny

eprasa.pl ef27a56980

I ŚMIESZNO, I STRASZNO

Avenger Trzask-Prask

Jan Pietrzak

Ze spraw ciekawych... kolosalna chińska rakieta po wyniesieniu stacji kosmicznej na orbitę spadła do Oceanu Indyjskiego. W kilku ważnych stolicach dał się słyszeć jęk zawodu, w innych okrzyki zachwytu. Z Księżyca i Marsa na razie nie mamy komentarzy. Tamtejsze łaziki i helikopterki zajęte są ciekawszymi zadaniami niż ziemskie aferki. Jedynie stolica Polski wysłała w kosmos komunikat, że za sprawą przekierowania wraku rakiety „Długi Marsz" stoi prezydent Warszawy. Widząc bezradność chińskiego centrum dowodzenia, włączył ratuszowe dopalacze zwane Rabiej i Diduszko, które swoim napędem załatwiły sprawę.

Trzaskowski, niejawny współpracownik drużyny Avengers, ma na koncie nadludzkie wyczyny: wybuchowe szamba, ścieki aż po Bałtyk, śmietnik w całym kraju, dziury we wszystkich rurach, do tego gejzery samochwalstwa. Niedawno, będąc na chorobie (L-4), pokonał w zażartej walce chińskiego covida na licznych stadionach. Nikt inny poza nim nie był w stanie tego uczynić. Lewandowski co prawda na stadionach strzela serie wspaniałych goli, ale nie w tej skali. Trzask-Prask żelazną wolą walki oraz niespożytą energią wzbudził podziw elitarnych hiperborejczyków i konstantynopolitowianeczek zgromadzonych w Atlantic Council. Przyda mu się taki trening przed nadciągającą nieubłaganie walką o mistrzowski pas Platformy z osłabionym, lecz zajadłym challengerem BoBu. Bój to będzie ich ostatni. Zwycięzca bierze wszystko, czyli resztki. Lepsze resztki niż nic.

Trzask-Prask jest potomkiem po mieczu i zarazem po kądzieli barona Münchhausena, który sam wydobył się z bagna, jedną ręką ciągnąc za włosy, w drugiej trzymając spadające spodnie oraz mikrofon, do którego przemawiał w pięciu językach równocześnie. Działo się to na terenie berlińskiego lotniska im. Słońca Peru, zbudowanego z pieniędzy Amber Gold. Meldunek został potwierdzony przez legendarnego „śpiocha", kryptonim Stirlitz. Zestaw nazwisk wskazuje, z jaką mocą mamy do czynienia. Think tank Campus gromadzi energię planety. Trzask-Prask się zaczaił przy Czajce. Niestety, Platforma zaskrzypiała, pogrążyła się w błocie i przepadła w otchłani. Już żaden avenger jej nie pomoże, żadna walka nie ma sensu. Kaput.

PRAWDA NIGDY NIE LEŻY POŚRODKU

Droga do powagi

Dominik Zdort

Pani Urszula była uznaną feministką, dopóki nie udzieliła pewnego wywiadu. Jak już go udzieliła, rozpętał się spór, przy którym zbladły spory średniowiecznych teologów o liczbę aniołów na końcu szpilki oraz swary polskiej prawicy w Konwencie Świętej Katarzyny. Okazało się, że współczesna polska lewica potrafi dorównać tym swoim wspaniałym antenatom. Co tam dorównać: w krótkim czasie odsadziła ich o parę długości.

Panią Urszulę skrytykowali radykałowie: osoba określająca się jako Margot oraz kolektyw o nazwie Stop Bzdurom. Przez chwilę usiłował jej bronić szef Partii Razem, w której nasza bohaterka się realizowała, ale szybko usunięto ją ze stanowiska asystenta społecznego posła tego ugrupowania. List otwarty przeciw transfobii, która zagnieździła się w pewnym piśmie feministycznym, opublikowało 1,1 tys. „osób sygnatariackich". I okazało się, że najbardziej obraźliwym wyzwiskiem jest „terf" (to taka kobieta, która uważa, że transkobiety nie są w pełni kobietami).

Już się wydawało, że temat wróci tam, skąd przyszedł, czyli do magla, gdzie panie od kilku stuleci mogą się spierać otwarcie i swobodnie. Ale nie, znów wdarł się do mediów, gdy Partia Razem kilka dni temu ostatecznie skreśliła panią Urszulę ze swoich list. Ostatnie dni to nawrót szaleństwa, i to znów na łamach gazety, która kiedyś udawała poważną. Najpierw pan Wojtek i pani Magdalena wystąpili w obronie zaszczutej przez Partię Razem za pomocą stalinowskich metod aktywistki. Następnie pan Wojtek uświadomiony, że szkodzi słusznej sprawie, odciął się od swoich własnych poglądów i potępił panią Urszulę, której wcześniej bronił. Ale obok jego samokrytyki (fuj, znów te stalinowskie metody) gazeta opublikowała polemikę pani Agaty, która z kolei potępiła pana Wojtka, za to, że już nie broni pani Urszuli, bo powinien...

Kończę już opis tego serialu, choć na pewno będą nowe odcinki. Tym, którzy nie wiedzą, o co chodzi w tej awanturce z magla, wyjaśniam, że casus belli była kwestia, czy zamiast słowa „kobieta" należy mówić „osoba z macicą" – co się pani Urszuli nie bardzo podobało.

Gazecie, która udziela łamów na tego typu spory, polscy normalsi mogą tylko dziękować. Jeśli są media i środowiska, które poświęcają przez wiele miesięcy tyle uwagi takim kwestiom, to oznacza, że ich droga do powagi i dojrzałości jest jeszcze bardzo długa.

Autor jest szefem portalu tygodnik.tvp.pl

Reklama | 64/0421/i

eprasa.pl ef27a56980

GRAMY RAZEM

Jednoczy nas piłka i kibicowanie. Wspólnie jesteśmy bliżej celu. Dlatego wspieramy największe sportowe emocje.

POLSKA | LOTOS

GŁÓWNY SPONSOR REPREZENTACJI

eprasa.pl ef27a56980

BRONISŁAW WILDSTEIN

Jagiełło odchodzi, wątpliwości rosną

Wymuszona rezygnacja Zbigniewa Jagiełły ze stanowiska prezesa PKO BP budzi niepokój. Zademonstrował go rynek, obniżając akcje banku o blisko 9 proc. wartości, co oznacza spadek o prawie 4 mld zł. Jagiełło mianowany został w 2009 r. i z powodu kompetencji potrafił przetrwać kolejne wybory oraz zmianę władzy. Kierowany przez niego główny bank polski rozwijał się wzorowo. „Decyzją o odejściu po blisko 12 latach z funkcji prezesa Z. Jagiełło kończy pewną epokę w rozwoju PKO BP, zastał bank (za)murowany, zostawia dynamiczny, nowoczesny i cyfrowy" – napisał na Twitterze szef Polskiego Funduszu Rozwoju Paweł Borys.

Prezesura Jagiełły została doceniona w kraju i na świecie, o czym świadczyły liczne wyróżnienia dla niego i kierowanej przez niego placówki. Brytyjski magazyn „Retail Banker International" uznał PKO BP za najlepszy bank w konkursie Liderów Świata Bankowości i Ubezpieczeń 2019 r.; w tym samym czasie ponownie wygrał on z 99 konkurentami na najlepiej ocenianą na świecie aplikację bankową, a także uhonorowany został po raz piąty tytułem Bank of the Year in Poland przyznawanym przez brytyjski miesięcznik „The Banker". To wtedy PKO BP uzyskał najlepszy wynik finansowy w całej swojej historii. Jego osiągnięcia można wyliczać długo.

Jagiełło jest nie tylko profesjonalistą, lecz posiada znaczącą kartę opozycyjną. Był jedną z ważniejszych postaci Solidarności Walczącej. Wprawdzie nawet najbardziej zaszczytna przeszłość nie uzasadnia zajmowania wysokich stanowisk w banku, natomiast stanowi wartość dodaną, jeśli łączy się z fachowością w określonej dziedzinie, wzbudza zaufanie co do moralnej postawy danej osoby, a to ma znaczenie dla wszystkich ludzkich przedsięwzięć.

W swoim banku Jagiełło stworzył wyjątkowo profesjonalną ekipę, z której usług korzystał cały sektor państwowy, co ma wpływ na dobre zarządzanie naszym krajem. Ludzie ci wraz ze swoim szefem kuszeni byli wyższymi zarobkami w sektorze prywatnym i uznać można, że trwali na swoich stanowiskach powodowani szlachetną ambicją i interesem publicznym, to samo zresztą powiedzieć należy o premierze rządu, co, naturalnie, wywołuje kpiny u ludzi nierozumiejących takich postaw.

Pozostawienie Jagiełły na stanowisku zadawało kłam kreowanej przez opozycję wizji upartyjnienia państwa przez PiS, jednocześnie jednak wywoływało konfuzję w szeregach tego ugrupowania. Naturą życia partyjnego jest bowiem dążenie do przejmowania państwa i zagarniania w nim stanowisk. Działacze liczą na awans, a wygrane wybory traktują jako otwarcie takiej możliwości. Mianowanie na stanowisko doradcy (!) ministra Sienkiewicza człowieka, który pracował w publicznym radiu za czasów rządu PiS wywołało oburzenie działaczy PO i interwencję Donalda Tuska u szefa MSW. Dziś PO i związane z nią środowiska bezpośrednio nawołują do zemsty na obecnie mianowanych ludziach, co przekracza dalece jakiekolwiek demokratyczne standardy. Niestety postawa ta wraz z cywilizacyjną wojną zaczyna się rozlewać po całym Zachodzie. Nawet USA, znane kiedyś z tego, że prezydent z innej partii wymieniał tylko niewielką liczbę stanowisk, odeszły już od tego chwalebnego zwyczaju.

Zarządzanie największym i najbardziej znaczącym bankiem w kraju jest jednak funkcją szczególną, a więc od 2015 r. mieliśmy do czynienia z silną presją wewnątrz partii na władze, aby Jagiełłę usunąć. Zarzuty zmieniały się. Ostatni wiąże się z kupnem (w 2014 r.) przez PKO BP Nordea Bank Polska. Okazało się, że bank obciążony był licznymi kredytami frankowymi. Jagiełło zaproponował polubowne rozwiązanie sprawy, nie wystarczył na to zysk i konieczne było zaksięgowanie straty. Inna sprawa, że pozytywne dla frankowiczów rozstrzygnięcie, nad czym obraduje sąd, kosztowałoby znacznie więcej. Propozycja Jagiełły zaakceptowana została także przez reprezentanta głównego udziałowcy, czyli ministra Jacka Sasina, co raz jeszcze demonstruje, że odwoływanie się do sprawy jest czystym pretekstem.

Dymisja Jagiełły oznacza, że w PiS zaczyna zwyciężać logika partyjna. Jest ona wprawdzie nieodłącznie związana z demokracją i stanowi jej ciemną stronę, ale jakość rządów zależy od trzymania jej na wodzy. Kiedy spuszcza się ją z uwięzi, coraz bardziej dominować zaczynają kolektywnie działające partyjne miernoty, powodując oczywiste konsekwencje dla stanu państwa.

Nie wiemy jeszcze, kto Jagiełłę zastąpi. Jego odwołanie to zły sygnał. Miejmy nadzieję, że kolejny szef PKO BP nie potwierdzi przewagi myślenia w partyjnych kategoriach.

Reklama | 79/0421/F
Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl ef27a56980

Słońce pracuje, rodzina zyskuje, Energa gwarantuje!

25-letnia gwarancja producenta na panele fotowoltaiczne i 3-letnia gwarancja Energi Obrót na montaż

Obniż swoje rachunki i pomagaj chronić środowisko.

Postaw na pewnego partnera, zyskaj spokój i produkuj zieloną energię na potrzeby swojej rodziny!

Skontaktuj się z nami, a my zajmiemy się resztą:

- ☑ **Doradztwo**
- ☑ **Projekt**
- ☑ **Wykonanie**

Umów się z Energą na bezpłatną wizję lokalną. Wejdź na energa.pl lub zadzwoń: 555 555 505
(koszt wg taryfy Twojego operatora)

Energa Obrót | GRUPA ORLEN

eprasa.pl ef27a56980

Walizka Sławka Łosowskiego

muzyka, lidera, głównego kompozytora i założyciela zespołu Kombi

Podróże dzielę na samochodowe i kolejowe. Podróże samochodem są na koncerty. Nawet jeżeli sprzęt jedzie w innym pojeździe, to i tak mój bagażnik zawsze jest zapchany po kokardę garderobą i koncertowymi niezbędnikami. Z kolei jeżeli jadę na spotkanie biznesowe lub po prostu podczas wywiadu potrzebna jest tylko moja osoba, to zazwyczaj staram się korzystać z pociągu. Innych wyjazdów nie ma, ponieważ ja i moja żona Maria preferujemy osiadły tryb życia.

WAFELKI

Awaryjny kawałek kalorii na wypadek konieczności długiej jazdy samochodem. Przy spadku energii – ożywia.

LATARECZKA

Jako stary harcerz mam zawsze swoją latareczkę. Gdy wychodzę na scenę w pełnym zaciemnieniu, wąski snop światła jest bezcenny, żeby dotrzeć do podestu syntezatorów bez potknięcia się o kable lub odsłuch.

CZOŁÓWKA

Gdy coś w instrumentach jest nie halo, to obie dłonie mam wolne do zabiegów ze śrubokrętem i kombinerkami.

RĘKAWICZKI

Specjalne, wzmocnione. Zwłaszcza jako klawiszowiec muszę dbać o swoje dłonie. Poza koncertami, na których jest zawsze obsługa techniczna, muszę czasem sam przepakować instrumentarium i wtedy rękawiczki są mile widziane.

OKULARY

Mam całkiem pokaźną kolekcję okularów, które dobieram odpowiednio do okoliczności – zarówno koncertowych, jak i innych. Główne kolory to biel i czerwień.

SCYZORYK

Od wielu lat towarzyszy mi w podróżach. Posiada m.in. bezcenną funkcję nożyczek, którymi podcinam swoje sceniczne wąsy.

eprasa.pl ef27a56980

KURTKA

Wykonana na zamówienie w pracowni Dorjan z Elbląga. Ozdobiona haftami motywów moich rysunków specjalnie zaprojektowanych dla tej kurtki.

SMAROWIDŁA MAKE-UPOWE

Podkłady znalazły się w mojej walizce z powodu sytuacji pandemicznej. Kilkakrotnie uprzedzano nas, żeby zabierać z sobą kosmetyki, bo na miejscu nie będzie make-upistki... W takich sytuacjach muszę sam zmatowić swoją twarz i glacę. Robię to trochę niechlujnie, ale musi wystarczyć.

MASZYNKA DO GOLENIA

Od 38 lat prawie codziennie golę swoją głowę, która stała się w latach 80. i jest do dzisiaj jednym z rozpoznawalnych elementów wizerunku zespołu KOMBI.

PIÓRNIK

Podczas podróży pociągiem lub pobytu w hotelu mogę się oddać swojemu relaksującemu hobby, którym jest rysowanie. Powstałe prace w większości o humorystycznym zabarwieniu nazywam „gra-fikami" i są one co jakiś czas prezentowane na wystawach. Niektóre z rysunków pojawiły się na limitowanych kolekcjach T-shirtów i kurtek.

PENDRIVE

Gdyby ktoś awaryjnie potrzebował naszych zdjęć, aktualnych singli, teledysków lub grafik, to cały ten pakiet mam zawsze pod ręką.

PŁYTY

Wożę z sobą zazwyczaj dwie–trzy płyty awaryjnie, na wypadek potrzeby wręczenia komuś w formie prezentu.

ZNACZKI POCZTOWE

To też na prezenty. Pamiątkowe znaczki z okazji 50-lecia mojej działalności artystycznej wykonane przez Pocztę Polską. Zdarza się, że spotykam fana, którego nie widziałem wiele lat, i na taką okazję taki souvenir jest jak znalazł.

CZAPKA BEZ DASZKU

To są takie moje sztuczne włosy. Na łysą głowę zimno działa tak samo jak na gołe pośladki, więc wolę ją chronić przed chłodem lub słońcem.

OBUWIE

Sportowe buty pozwalają mi na lepsze wyczucie pedałów, którymi steruję częścią funkcji syntezatora Prophet 5. Kolorystyka nie jest przypadkowa, bowiem w mojej garderobie królują trzy kolory: czarny, biały i czerwony.

SYNTEZATORY

- Mini Korg 700s jest pierwszym profesjonalnym syntezatorem zakupionym w 1978 r. Zamontowałem w nim funkcje pitchbandu oraz potencjometru, które dały nowe możliwości artykulacyjne i brzmieniowe. Ten syntezator pełni bardzo ważną funkcję w największych przebojach, takich jak „Taniec w słońcu", „Przytul mnie". „Kochać cię za późno" czy „Słodkiego, miłego życia".
- Prophet 5 jest to legendarny amerykański instrument, który wyprodukowano tylko w kilku tysiącach egzemplarzy. Ten (mam dwa) kupiłem w sklepie muzycznym w Berlinie Zachodnim w 1985 r. Wstawił go w komis nie byle kto, bo zespół Tangerine Dream, który przywiózł z USA na handel kilka sztuk tych instrumentów. Zrobiłem w nim kilka istotnych dla mnie usprawnień. Obok Mini Korga jest fundamentem do tworzenia charakterystycznego brzmienia muzyki KOMBI.

***Wysłuchał i zapisał:* Michał Korsun**

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl ef27a56980

OGNIEM NA WPROST

Mądrości „ślunskiego” pisarza

Szczepan Twardoch, pisarz ze Śląska, niedawno oburzał się za nazywanie go Polakiem. Teraz na łamach „Gazety Wyborczej” zarzuca Polakom wywołanie „hybrydowej wojny domowej”, czym w jego ocenie były powstania śląskie. Twardoch jak każdy, kto ma coś do polskiego patriotyzmu, nie cierpi PiS. Jeszcze w listopadzie na pytanie dziennikarza z Radia Zet: „Czy pan będzie zdziwiony, jeśli za trzy miesiące będziemy mieć przyspieszone wybory?”, odpowiedział: „Ja nie będę”. „Z drugiej strony, czy będziemy zdziwieni, jeśli obóz władzy dociągnie te trzy lata, potykając się o własne nogi?” – padło drugie pytanie. „Też nie” – stwierdził Twardoch. Jak to się skończyło? Po pół roku możemy spokojnie odpowiedzieć, że „ślunski” autor po raz kolejny się pomylił. PiS ma się coraz lepiej, a PO potyka się o własne sznurowadła, tracąc niewiarygodnie szybko poparcie w sondażach. Kim jest tak naprawdę Twardoch? Polakiem być nie chce, o niemieckie obywatelstwo nie wystąpił, a coś takiego jak narodowość śląska nie istnieje i nie zanosi się w najbliższym czasie, żeby powstało. Ale pogadać sobie można, łącznie z krytyką powstań śląskich. Tylko gdyby nie te zrywy niepodległościowe po I wojnie światowej Polska zamiast fabryk i przemysłu ciężkiego miałaby generalnie figę z makiem. Czyli postawa „ślunskiego pisarza” jest de facto postawą antypolską i proniemiecką, choć się do niej oficjalnie nie przyznaje. Ale ponieważ mamy wolność i „Gazetę Wyborczą”, która wydrukuje każde antypolskie brednie, Szczepan Twardoch może zamiast wreszcie wystąpić o niemiecki paszport, cieszyć się swobodą oraz spokojnie głosić opinie w stylu Ruchu Autonomii Śląska.

Wspomniałem o sondażach, ale ten ostatni United Surveys dla „Dziennika Gazety Prawnej” i RMF FM, a więc wcale nie dla mediów wspierających ugrupowania rządzące, jest wręcz piorunujący. Platforma – po ostatnich ekscesach nazywanych przez wyjątkowo dla nich życzliwych ludzi „polityką” – spadła do 12,1 proc. To najgorszy wynik w historii. PiS lekko zyskało i Lewica też. Tak więc trwa w najlepsze samozaorywanie się partii politycznej, która jeszcze całkiem niedawno mieniła się jedyną nadzieją polskiej demokracji, wolności i tamą dla niszczących państwo od wewnątrz działań ekipy rządzącej. Na największej jak do tej pory formacji opozycyjnej praktycznie możemy postawić już krzyżyk i z zapartym tchem przyglądać się kolejnym woltom jej karykaturalnego przywódcy, który z podziwu godną konsekwencją wpycha swoje ugrupowywanie do politycznego dołu z wapnem. Ale takiego obrotu spraw nie przewidziała tęga polityczna głowa „ślunskiego” pisarza.

„Zleciłem działania zmierzające do zakupu domu Marii Skłodowskiej-Curie pod Paryżem. To miejsce – to część polskiej historii” – pochwalił się na Twitterze premier Mateusz Morawiecki. Wspomniana willa znajduje się na przedmieściach Paryża. Cena wywoławcza domu – 790 tys. euro. „Le Parisien” donosi, że remont wilii będzie kosztował kolejnych około 200 tys. euro. Maria Skłodowska-Curie wraz z mężem Pierre'em mieszkali w tym domu w latach 1904–1906, ale niedługo po śmierci małżonka dwukrotna noblistka zrezygnowała z willi. Piotr Müller, rzecznik prasowy rządu, poinformował, że jeśli dom ten nabędzie polski rząd, zamierza tutaj powołać muzeum, w którym będą eksponowane dokonania naukowe Skłodowskiej i innych Polaków. Bardzo cenna inicjatywa. Oby takich więcej. Skłodowska-Curie to chyba najbardziej znana Polka we Francji. W związku z czym jeszcze będziemy mogli zarobić na realizacji tego pomysłu. Co prawda po latach, ale zawsze.

Nie lubię się dzielić z czytelnikami smutnymi informacjami, ale czasem trzeba, ponieważ tego wymaga od nas dziennikarski obowiązek. Otóż we Francji w kwietniu, po początkowej fali ciepła, nadeszły silne przymrozki. Doprowadziło to do zniszczenia wielu upraw winorośli w tamtym kraju. Szczególnie dotknięte zostały uprawy burgundzkich szczepów winorośli (moje ulubione). Ale to nie koniec. Przed przymrozkami we Francji ogromne straty ponieśli winiarze z Napa Valley w Kalifornii. Tam z kolei przyczyną były ogromne pożary, które dotknęły nawet 80 proc. kalifornijskich plantacji. Szacuje się, że powstałe w ten sposób niedobory wina mogą się utrzymywać nawet przez dekadę. Problemy ze zbiorami odnotowały także Włochy i Hiszpania – światowe potęgi w eksporcie wina. Na szczęście nie takie dotkliwe jak w słodkiej Francji. Tamtejsi producenci z kolei zapowiedzieli już, że będą musieli podnieść ceny o 15–20 proc., żeby doprowadzić do wyrównania strat. Tragedia, ale co zrobić. Trzeba będzie „wyskakiwać z kasy”, bo co to za obiad bez wina.

Andrzej Rafał Potocki

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl ef27a56980

Wirtualny pieniądz – realne ryzyko

Marta Kaczyńska-Zielińska

Pandemia koronawirusa spowodowała światowy kryzys gospodarczy, którego odzwierciedleniem są m.in. gorsze wyniki na giełdach, niskie stopy procentowe i niepewność inwestorów wywołana potencjalnym zagrożeniem inflacją. Zyskał za to rynek kryptowalut, czyli zdecentralizowanych cyfrowych pieniędzy, które nie są kontrolowane przez władze centralne, ale osadzone w wirtualnej przestrzeni dzięki wykorzystaniu technologii blockchain. Wiosną 2021 r. odnotowywano wzrost cen kryptowalut takich jak bitcoin, ethereum i dogecoin. W kwietniu br. wartość wszystkich cyfrowych jednostek w obiegu wyniosła ponad 2 bln dol.

Najbardziej znaną kryptowalutą jest bitcoin, którego wartość nie jest regulowana, a zatem może podlegać skrajnym wahaniom. Tak jak to się działo od grudnia 2017 r. do listopada 2018 r., kiedy to jego cena spadła o ponad 80 proc. Od 2020 r. do maja 2021 r. bitcoin zdrożał o ponad 200 proc. W połowie grudnia 2020 r. cena tej waluty przekroczyła 20 tys. dol. za sztukę, osiągając następnie poziom 24 tys. dol. Trend wzrostowy był systematycznie petryfikowany pojawiającymi się w mediach informacjami o akceptowaniu płatności w bitcoinach przez firmy o międzynarodowym zasięgu i renomie z branży kawiarnianej, informatycznej czy też samochodowej zarządzanej przez Elona Muska. Proces urealniania bitcoina poprzez wprowadzenie go do obiegu w niektórych transakcjach płatniczych został jednak wyhamowany, a wartość cyfrowej waluty gwałtownie spadła po tym, jak wspomniany Elon Musk ogłosił na Twitterze, że zawiesza możliwość kupna produkowanych przez siebie samochodów za pomocą bitcoinów.

Opisane zdarzenia ilustrują, jak w stosukowo szybkim tempie można zyskać wiele w wirtualnych inwestycjach i jak bardzo ryzykownym instrumentem są cyfrowe pieniądze. Ich zwolenników wciąż przybywa, zwłaszcza wśród młodych ludzi, którzy wychowani w znacznej mierze przez internet zaczynają traktować kryptowaluty tak samo jak 30 lat temu postrzegano akcje na nowo otwartej warszawskiej giełdzie. Cyfrowe pieniądze same w sobie niosą znaczne ryzyko inwestycyjne i bywają wykorzystywane jako narzędzie do wyłudzeń.

Do niedawna rynek kryptowalut wymykał się polskim regulacjom prawnym. Skłaniało to niestety coraz większą liczbę podmiotów bazujących na popularności tej nowej formy inwestowania do inicjowania transakcji, które z złożenia miały doprowadzić klientów do narażenia na straty. Nowelizacja ustawy o przeciwdziałaniu praniu pieniędzy, która weszła w życie pod koniec kwietnia, wprowadziła zasadnicze zmiany na rynku kryptowalut. Przepisy precyzują, kto będzie mógł zgłosić i zarejestrować działalność, której celem jest prowadzenie obrotu tymi wirtualnymi aktywami. Nowe przepisy stanowią implementację dyrektywy Parlamentu Europejskiego i Rady 2018/843. Wedle nowej regulacji prawnej podmioty świadczące usługi w zakresie wymiany walut, a w szczególności między walutami wirtualnymi lub między kryptowalutami a środkami płatniczymi będą mogły prowadzić działalność regulowaną dopiero po uzyskaniu wpisu do rejestru. Za działalność na rynku bez zgłoszenia do rejestru przewidziano karę w wysokości 100 tys. zł. Przepisy dotyczące działalności w zakresie walut wirtualnych wejdą w życie po upływie sześciu miesięcy od dnia ogłoszenia ustawy, czyli 1 listopada br. działalność na rynku bez zgłoszenia do rejestru.

Wiele państw – podobnie jak Polska – próbuje wpisać rynek kryptowalut w tradycyjnie rozumiane ramy prawne. Tempo, w jakim rozwija się wspomniana gałąź gospodarki, sprawia, że ustawodawcom nie jest łatwo nadążyć. Nowych kryptowalut przybywa, a zainteresowanie inwestorów skłonnych do ryzyka nieustannie wzrasta. Obecnie wydobycie bitcoinów zużywa ponoć 66 razy więcej energii elektrycznej niż pod koniec 2015 r., stanowiąc niewątpliwie coraz istotniejszy czynnik wzrostu emisji dwutlenku węgla. Pewnym hamulcem rozwoju konkurencji dla tradycyjnie rozumianych pieniędzy może się stać zatem troska o środowisko naturalne.

REKLAMA

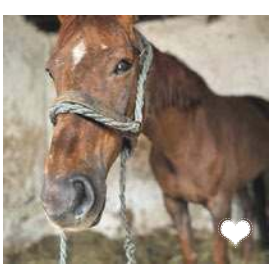

Dziewanna strzyże przez moment uszami, pomału przesuwa głowę w naszą stronę. Nasłuchuje, ale nie podchodzi. To dla niej nowe miejsce, nie wie, gdzie są ściany. Jej chore oczy nie są w stanie ich zobaczyć. Boi się. Przeraża ją fetor odchodów i śmierci. Nie rozumie, czemu wysłano ją na rzeź.
To właśnie tu, w przydomowej ubojni będzie jej kres. To tu rzeźnicki nóż zakończy jej zmarnowane przez człowieka życie. I na marne pójdzie jej oddanie i poświęcenie. Na nic te lata posłuszeństwa.
Oszukali ją wszyscy. Póki pracowała, póty nazywali ją przyjaciółka, członkiem rodziny, a gdy zachorowała, odesłali do rzeźni. O ślepnąca Dziewannę nikt się nie chciał troszczyć.
Gospodarz mówi, że ma kilkanaście lat, zachwala, że ma też świetny papier, tylko się nie zazrebia. Szturchając kijem przerażoną Dziewannę, dodaje, że to był dobry koń, bo choć ślepła, to jeszcze chodziła pod dziećmi. Żal mu. Nie, nie tego, że ją zabije, ale tego, że gdyby była zdrowa, to by na niej zarobił znacznie więcej, niż zarobi na jej mięsie. A tak…
Dziewanna jest koniem chorym. Traci wzrok. Zdrowa już nigdy nie będzie. Nie będzie też ani młodszą, nie urodzi żadnego źrebaka. Nie zobaczy też słońca, nie poczuje już w wiatru w rozwianej pędem grzywie, nie dostanie marchewki, ani pysznego cukierka. Nikt już nie nazwie jej swoja ukochaną przyjaciółką. Bo ślepe konie są wysyłane na rzez. Bardziej się opłaca je zabić niż leczyć i się o nie troszczyć.
Dla Dziewanny nie ma już nadziei na ratunek. Porzucili ja wszyscy, na których pracowała. Dziś, z wyrokiem śmierci, czeka na zabicie.
Życie Dziewanny rzeźnicka waga wyceniła na 6300zł, transport do naszego ośrodka to 1100 zł. Diagnostyka, leczenie, odpowiednia opieka, to kolejne duże pieniądze. Pieniądze, których Dziewanna nie ma.
Prosimy o pomoc w ratowaniu Dziewanny. Możemy odmienić jej los, ale wiele osób musi uznać, że warto ocalić ślepnącego konia. Mamy czas do 26 maja na spłatę. Jeśli tylko możesz, prosimy, pomóż ja uratować.

Jeśli chcesz pomóc, możesz przekazać darowiznę z tytułem DZIEWANNA na konto PKO BP 15 1020 5226 0000 6002 0220 0350.

Możesz też pomóc wysyłając **SMS** o treści **DZIEWANNA** na numer **7412** (koszt SMS 4,92 zł z VAT), **7910** (koszt SMS 11.07 zł z VAT) lub **91950** (koszt SMS 23.37 zł z VAT) i kupić tapetę.

Fundacja Centaurus
ul. Wałbrzyska 6-8, 52-314 Wrocław,
tel. 518 569 487, tel. 518 569 488
www.centaurus.org.pl

Akcja prowadzona w ramach Kampanii Kochaj Mądrze Regulamin: http://centaurus.org.pl/rkkm

75/0421/F

eprasa.pl ef27a56980

RZECZY POSPOLITE

Matka od kajdan

Tomasz Łysiak

Gdy szukałem kilka lat temu materiałów potrzebnych do pisania powieści o młodym Piłsudskim na Syberii („Sybir"), natrafiłem na zbiorek wydanych w XIX w. wspomnień i listów zesłańców. W jednym z nich znalazłem poruszającą scenę, którą wprowadziłem do książki – zachowując nawet dosłowne cytaty – a która zrobiła na mnie piorunujące wrażenie. Została we mnie do dzisiaj i gdy zbliża się Dzień Matki, natychmiast przychodzi mi ona do głowy.

Młodzi zesłańcy postyczniowi byli szykowani do zesłania na Sybir, przechodząc najpierw przez system więzienny. Zanim trafili na statki więzienne, na których zbudowane były specjalne klatki dla skazańców, a potem zanim ruszyli w długą pieszą drogę etapami, zakuwano ich w kajdany.

Ten potworny, bijący w uszy dźwięk kajdan miał być jednym z elementów kary, podobnie jak uciążliwość związana z przejściem w nich tysięcy wiorst. Zakuwaniem Polaków w kajdany zajmowali się specjalni fachowcy – kajdaniarze. Gdy już przebrzmiał dźwięk młotów i więźniowie ustawili się po kilku, jeden za drugim, pochód szedł na daleki Sybir. Na ogół większość skazanych to byli młodzi ludzie, „spiskowi", studenci, uczniowie, młodzi robotnicy.

Przy jednym z takich pochodów, tuż przed wyruszeniem, pojawiło się kiedyś kilka matek, które w tłumie wyszukiwały synów, płakały nad nimi, dawały ostatnie błogosławieństwo na drogę. Jedna z nich przytuliła swoje dziecko, zrobiła mu krzyżyk na czole. Nagle zobaczyła smutne twarze tych, którzy byli sami, do których mamy przyjść nie mogły. Zaczęła iść wzdłuż szeregu i żegnać każdego po kolei. Jak własnego syna. Przytulać. Mówić słowa pociechy. Błogosławić. Na chwilę stała się dla nich matką.

Jej słowa przebijały się przez dźwięk – stukających o siebie przy każdym ruchu – kajdan, którymi skuci byli młodzi Polacy. Polskie słowa. Słowa polskiej matki. Były silniejsze niż huk rosyjskich kajdan.

Oni pewnie nigdy już nie mieli szansy tej kobiety spotkać i jej podziękować. Pamięć o niej została na wieki schowana w starej pożółkłej broszurce. Dzisiaj, z okazji Dnia Matki tę właśnie Mamę chcę przypomnieć, do nóg jej paść i dziękować – była ona i jest uosobieniem tego, co najpiękniejsze w matkach polskich. Matkach, których miłość zwyciężyła huk kajdan kutych przez Moskali.

Z Tomkiem w canoe

Z Maciejem J. Dudziakiem, pisarzem, antropologiem, kulturoznawcą, rozmawia Jolanta Gajda-Zadworna

Dla wielbicieli przygód Tomka Wilmowskiego to wspaniała wiadomość – ukaże się dziesiąta książka z kultowej serii o młodym podróżniku. Jak do tego doszło?

Maciej J. Dudziak: Pomysł dziesiątego tomu Alfred Szklarski zapowiadał od samego początku serii. W 2002 r. podjęliśmy pracę nad realizacją projektu, jednakże z różnych przyczyn na blisko 18 lat został on zamrożony. Rozmowy wydawnictwa z rodziną pisarza ożywiły się na początku 2020 r. Nie było łatwo, ale się udało!

Od kiedy ukazywały się książki o Tomku? Jak wpisze się w ten cykl najnowszy tom?

Przygody Tomka to swoisty fenomen kulturowy. Cykl rozpoczął się pod koniec lat 50. XX w., a łączny nakład przekroczył 10 mln egzemplarzy. Najnowszy tom powstał na podstawie dość skromnych relacji pochodzących z wywiadów Szklarskiego i ustnych przekazów z rozmów. Moją rolą było utkać z tego fabułę, używając poetyki języka Szklarskiego. Z pewnością Tomek się zmienia. Kontestuje wizję rzeczywistości z bezwzględną kulturową dominacją Zachodu. Rzekłbym, że refleksyjnie dorośleje. I w tym właśnie dostrzegam nową siłę przekazu Tomka w XXI w.

Z okazji premiery książki planowana jest pewna akcja...

19 maja bohater pojawi się w stu miejscach Warszawy, i nie tylko. Canoe z okładki najnowszej powieści stanie pod Pałacem Kultury, na tle pejzażu Alaski. Tego dnia na ławkach w parkach, w kawiarniach i w komunikacji miejskiej będzie szansa upolowania egzemplarza „Tomka na Alasce".

Fot. Archiwum prywatne

eprasa.pl ef27a56980

RYSUJE ANDRZEJ KRAUZE

SIECI

ISSN 2544-2694

www.wSIECIprawdy.pl

REDAKTOR NACZELNY: JACEK KARNOWSKI

ZASTĘPCY REDAKTORA NACZELNEGO: DOROTA ŁOSIEWICZ, TOMASZ OZDOWY, MAREK PYZA, MARCIN WIKŁO

E-MAIL: REDAKCJA@FRATRIA.PL; TEL. (22) 616 36 00, (22) 255 93 32; UL. FINLANDZKA 10, 03-903 WARSZAWA

AUTORZY: ŁUKASZ ADAMSKI, GORAN ANDRIJANIĆ, PRZEMYSŁAW BARSZCZ, MAREK BUDZISZ, ADAM CIESIELSKI, PIOTR CYWIŃSKI, LESZEK DŁUGOSZ, KRZYSZTOF FEUSETTE, JOLANTA GAJDA-ZADWORNA, GRZEGORZ GÓRNY, JERZY JACHOWICZ, STANISŁAW JANECKI, MARTA KACZYŃSKA-ZIELIŃSKA, MICHAŁ KARNOWSKI, KONRAD KOŁODZIEJSKI, CEZARY KOWALSKI, ANDRZEJ KRAUZE, JAROMIR KWIATKOWSKI, TOMASZ ŁYSIAK, JAKUB MACIEJEWSKI, RYSZARD MAKOWSKI, MAJA NARBUTT, MARZENA NYKIEL, MACIEJ PAWLICKI, JAN PIETRZAK, JAN POSPIESZALSKI, ANDRZEJ RAFAŁ POTOCKI, WOJCIECH RESZCZYŃSKI, JAN ROKITA, ALEKSANDRA RYBIŃSKA, PRZEMYSŁAW SKRZYDELSKI, WOJCIECH STANISŁAWSKI, WIKTOR ŚWIETLIK, BRONISŁAW WILDSTEIN, PIOTR ZAREMBA, DOMINIK ZDORT, ANDRZEJ ZYBERTOWICZ

WYDAWCA: FRATRIA SP. Z O.O.
PREZES: ROMUALD ORZEŁ
UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA
REDAKCJA@FRATRIA.PL, WWW.FRATRIA.PL

EWENTUALNE PYTANIA PROSIMY KIEROWAĆ NA ADRES E-MAIL: PRENUMERATA@RUCH.COM.PL LUB KONTAKTUJĄC SIĘ Z CENTRUM OBSŁUGI KLIENTA „RUCH" POD NUMERAMI: 22 693 70 00 LUB 801 800 803 – CZYNNE W DNI ROBOCZE W GODZINACH 7^{00} – 17^{00}.
KOSZT POŁĄCZENIA WG TARYFY OPERATORA.

DYREKTOR WYDAWNICZY: MACIEJ WOŚKO
PRODUKCJA I DYSTRYBUCJA: MARIOLA BARCIKOWSKA, MARIOLA.BARCIKOWSKA@FRATRIA.PL

DYREKTOR ARTYSTYCZNY:
MICHAŁ KORSUN, MICHAL.KORSUN@FRATRIA.PL

STUDIO GRAFICZNE: ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI (KIEROWNIK), ANDRZEJ.SKWARCZYNSKI@FRATRIA.PL, LIDIA SŁOWIKOWSKA-SMOLIŃSKA, KATARZYNA LASKOWSKA
PROJEKT GRAFICZNY: MICHAŁ KORSUN
FOTOEDYCJA: ANNA ŁABĘCKA, ANIA.LABECKA@FRATRIA.PL,
OBRÓBKA ZDJĘĆ: TOMASZ KIERAS

PRENUMERATA WYDANIA PAPIEROWEGO:
TEL. (22) 616 36 00, PRENUMERATA@FRATRIA.PL
REGULAMIN ORAZ WARUNKI PRENUMERATY NA STRONIE WWW.WSIECIPRAWDY.PL
WPŁAT ZA PRENUMERATĘ PROSIMY DOKONYWAĆ NA KONTO:
91 1240 5354 1111 0010 7713 6290
FRATRIA SP. Z O.O., UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA,
W TYTULE WPŁATY WPISUJĄC PEŁNE DANE ADRESOWE DO WYSYŁKI ORAZ RODZAJ PRENUMERATY
PRENUMERATA REALIZOWANA PRZEZ RUCH S.A.:
ZAMÓWIENIA NA PRENUMERATĘ W WERSJI PAPIEROWEJ I NA E-WYDANIA MOŻNA SKŁADAĆ BEZPOŚREDNIO NA STRONIE WWW.PRENUMERATA.RUCH.COM.PL.

KOLPORTAŻ: KOLPORTAZ@FRATRIA.PL

DRUK: WALSTEAD KRAKÓW SP. Z O.O.

DYREKTOR DS. ROZWOJU BIZNESU:
KATARZYNA MARCHEWKA – KATARZYNA.MARCHEWKA@FRATRIA.PL

BIURO REKLAMY:
REKLAMA@FRATRIA.PL, TEL. (22) 463 49 93
PAULINA KĄKOL – PAULINA.KAKOL@FRATRIA.PL
AGNIESZKA WOŹNIAK – AGNIESZKA.WOZNIAK@FRATRIA.PL
MARCIN DĄBROWSKI – MARCIN.DABROWSKI@FRATRIA.PL

REDAKCJA ZASTRZEGA SOBIE PRAWO DO REDAGOWANIA I SKRACANIA TEKSTÓW. COPYRIGHT © FRATRIA SP. Z O.O. WSZYSTKIE PRAWA ZASTRZEŻONE (WŁĄCZNIE Z TŁUMACZENIEM NA JĘZYKI OBCE). REDAKCJA NIE ZWRACA MATERIAŁÓW NIEZAMÓWIONYCH. OGŁOSZENIA I REKLAMY NIE STANOWIĄ MATERIAŁU POCHODZĄCEGO OD WYDAWCY. BEZUMOWNA SPRZEDAŻ NUMERÓW BIEŻĄCYCH I ARCHIWALNYCH PO CENIE NIŻSZEJ OD USTALONEJ PRZEZ WYDAWCĘ JEST ZABRONIONA, NIELEGALNA I GROZI ODPOWIEDZIALNOŚCIĄ KARNĄ.

FOT. NA OKŁADCE: ANDRZEJ WIKTOR, MARIUSZ GRZELAK, JACEK BORON, BARTEK WRZEŚNIOWSKI/REPORTER, LASKI DIFFUSION/EAST NEWS, GEVORG GHAZARYAN, NUMENASTUDIOS/SHUTTERSTOCK, SHUTTERSTOCK x5

pracownia **Social Changes** dla **wPolityce.pl**

nasz **sondaż**

Na które ugrupowanie polityczne oddałaby Pani/ oddałby Pan głos, gdyby wybory do polskiego parlamentu odbywały się w najbliższą niedzielę? (bez niezdecydowanych)

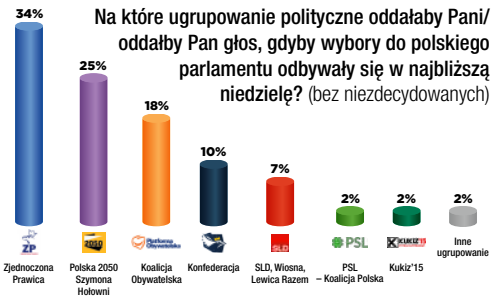

Jak ocenia Pani/Pan fakt, że Lewica porozumiała się z Prawem i Sprawiedliwością i poparła przyjęcie w Polsce funduszu odbudowy Unii Europejskiej?

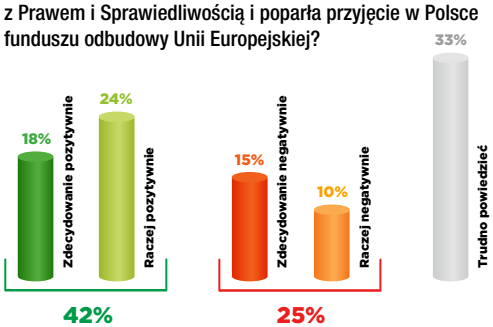

Czy według Pani/Pana były prezydent Bronisław Komorowski ma szansę odegrać istotną rolę w polskiej polityce w najbliższej przyszłości?

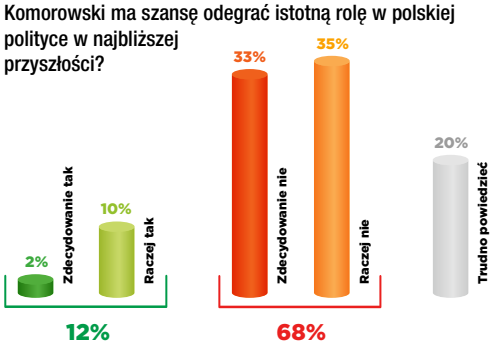

Czy zgadza się Pani/Pan z opinią, że epidemia koronawirusa to efekt celowego działania (spisku), po to żeby wymusić istotne zmiany w życiu ludzi na całym świecie?

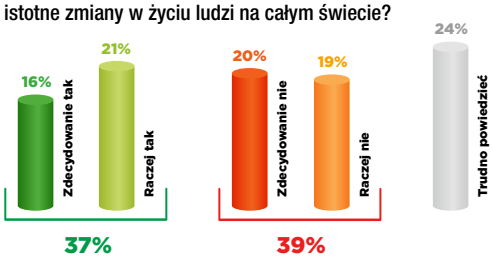

Badania zrealizowane metodą CAWI (Computer Assisted Web Interview) na panelu internetowym. Badania przeprowadzone na ogólnopolskiej, reprezentatywnej (pod względem: płci, wieku, wielkości miejsca zamieszkania) próbie Polaków. W badaniu wzięło udział N=1073.

Zakres czasowy badania 7–10 maja 2021 r.

eprasa.pl ef27a56980

„Pycha jest korzeniem wszelkich grzechów. Trudno mówić o rozwoju życia duchowego bez poznania własnej pychy”

JERZY BIELEWICZ

Leszka Balcerowicza grzechy główne

Leszek Balcerowicz nie chce odejść, gdyż jego zasługi nie są wciąż w pełni doceniane. Autor planu Balcerowicza, wprowadzonego w życie przez rząd Tadeusza Mazowieckiego i ówczesnego prezydenta RP Wojciecha Jaruzelskiego, wciąż pojawia się tu i ówdzie, komentując rzeczywistość. Najwyraźniej domaga się uwagi, by znów błysnąć i nie zniknąć z historii polskiej ekonomii. Spokojnie. Miejsce w niej ma, choć pewnie nie takie, jakiego by sam chciał. Skutki działalności profesora Balcerowicza odczuwamy boleśnie do dziś.

„REFORMATOR"

Gdy po 12 września 1989 r. Balcerowicz stanął za sterami czegoś, co szumnie nazwano transformacją ustrojową, wydawało się, że pan profesor nasyci swoją ekonomiczno-polityczną pychę. A to kardynalny błąd! Nasz bohater wtedy dopiero się rozkręcał, gdy oddał swe nazwisko reformie, która przyniosła Polsce lat 90. XX w. największą w historii depresję gospodarczą, tsunami bezrobocia, upadek tysięcy firm i emigrację zarobkową milionów Polaków przez następne ćwierć wieku. Stopa bezrobocia pozostawała najwyższa przez lata w Polsce najpierw w regionie Europy Środkowej, a później w całej Unii Europejskiej i zeszła poniżej dwóch cyfr dopiero po objęciu rządów przez Zjednoczoną Prawicę w 2015 r. I niewielu dziś pamięta, że to profesor piastował stanowisko wicepremiera i ministra finansów także w rządzie Jana Krzysztofa Bieleckiego oraz... Jerzego Buzka (1997–2000), stał również na czele Narodowego Banku Polskiego w latach 2001–2007. Dziś 70-latek zarządza m.in. fundacją Forum Obywatelskiego Rozwoju (FOR), która współpracuje z agendami Unii, przykładowo: jest beneficjentem corocznego raportu dotyczącego luki w podatku VAT w państwach Wspólnoty.

KAPITAŁ

Jako ekonomista z wykształcenia nigdy nie był dogmatykiem, gdyż w roli decydenta podejmował decyzje ad hoc, bez należytego rozmysłu i rachunku potencjalnych strat. To przecież on jako minister finansów i członek ówczesnej Rady Ministrów przyzwolił na odsprzedaż Banku Pekao SA na rzecz włoskiego Unicredit w 1998 r. i największego polskiego ubezpieczyciela PZU w 1999 r. na rzecz holenderskiego holdingu Eureko. Straty dla Polski tylko na tych dwóch transakcjach można łatwo oszacować na blisko 40 mld zł, gdyż obie firmy w ostatnich latach wróciły pod kontrolę skarbu państwa.

Swoją pieczęć przybił również na Programie Powszechnej Prywatyzacji, która przyczyniła się do kolejnej fali upadłości i zwolnień oraz przejęć przez obcy kapitał. Bo też dla niego kapitał nie miał narodowości, szczególnie gdy pochodził z zagranicy!

Leszek Balcerowicz w rozmowie wobec podwładnych oraz w wystąpieniach publicznych to skrajny arogant, co też doprowadziło w krótkiej karierze politycznej profesora do spektakularnego upadku Unię Wolności, a Władysław Frasyniuk właściwie dopełnił po nim zadania. Jednak główną ułomnością i wyróżnikiem charakteru Leszka Balcerowicza jako człowieka – niezależnie od zajmowanych stanowisk – zawsze był i jest cynizm, brak empatii i znieczulica na sprawy społeczne.

Jako współtwórca reformy emerytalnej (w rządzie Jerzego Buzka) obiecywał uczciwy system, a OFE mamiły przyszłych emerytów wizją starości pod palmami. Jak się skończyło – dziś wiemy. To jednak Balcerowicz, wraz ze swoją fundacją FOR, okazał się później najgorętszym orędownikiem podniesienia wieku emerytalnego przez koalicję PO–PSL (wbrew złożonym deklaracjom przedwyborczym!).

Wcześniej jako szef banku centralnego i nadzoru bankowego (zanim nadzór przeszedł do Komisji Nadzoru Finansowego) pozostawał głuchy na przestrogi dotyczące pseudokredytów we frankach szwajcarskich, by dziś stać wyraźnie po stronie banków w sporze z frankowiczami.

Jakie czynniki ulepiły duszę Leszka Balcerowicza najpierw jako komunisty, potem turboliberała, który zawsze staje po stronie silniejszych? Co ukształtowało wielu jego wychowanków, jak choćby Andrzeja Jakubiaka i Wojciecha Kwaśniaka, działających najpierw w NBP, a później w Komisji Nadzoru Finansowego za rządów PO–PSL?

LESZEK, GEORGE I JEFFREY

Pod koniec lat 70. XX w., gdy w Polsce bankrutował komunizm, nic nie zapowiadało spektakularnej kariery profesora Balcerowicza. Przeciwnie, pan Leszek zajmował wtedy ciepłą posadkę w Instytucie Podstawowych Problemów Marksizmu i Leninizmu przy KC PZPR (od 1978 do 1980 r.), gdzie – jak głosi legenda – zajmował się zagadnieniem „urynkowienia gospodarki socjalistycznej" jako członek PZPR od 1969 r.

A miał ku temu wiedzę, gdyż wcześniej reżim komunistyczny umożliwił mu w latach 70. studia w Stanach Zjednoczonych, których zwieńczeniem był tytuł MBA z Saint John's University w Nowym Jorku. Kolejny przełom przyniósł stan wojenny, kiedy Leszek Balcerowicz swobodnie podróżował po Europie Zachodniej, uzyskując kolejne staże i stypendia, m.in. w Wielkiej Brytanii w czasie, gdy inni – ci gorsi – nie mogli nawet marzyć o paszporcie, jeśli oczywiście nie siedzieli w więzieniach (bądź „internatach") jako polityczni.

W 1989 r. był już w pełni gotowy, by przeprowadzić Polskę przez „transformację ustrojową" od realnego socjalizmu do kapitalizmu. Nieco światła na ten okres rzucają jego ówcześni współpracownicy i koledzy ekonomiści: profesorowie Grzegorz Kołodko i Tadeusz Kowalik. W ich opinii plan Balcerowicza, na który składało się dziesięć ustaw, szedł wbrew i łamał umowę „okrągłego stołu", wywołując często przeciwne do deklarowanych skutki, a posłowie zmuszeni zostali do poparcia i głosowania tak właściwie w ciemno, bez zapoznania się z treścią forsowanych ustaw. Nawet arcykomunista Wojciech Jaruzelski został wybielony, bo ponoć na złożenie swego podpisu pod ustawami jako prezydent miał jedynie dwa dni. Zestaw ustaw zyskał więc miano planu Balcerowicza, bo głównie on sam wiedział, do czego zmierza. Skutki poznaliśmy jednak bardzo szybko.

Zamiast ograniczenia inflacji spowodował hiperinflację. Zamiast ustabilizowania rynku pracy doprowadził do masowych zwolnień, upadłości tysięcy przedsiębiorstw i gospodarstw rolnych, w tym wszystkich PGR. Dochody Polaków niemal z dnia na dzień spadły

Fot. A. Szmigiel-Wisniewska/REPORTER

eprasa.pl ef27a56980

o kilkadziesiąt procent przy skokowej dewaluacji złotego o... 50 proc., hamując gwałtownie popyt wewnętrzny. Przedsiębiorstwa wystawiono z dnia na dzień na konkurencję z zagranicy, znosząc bariery celne, podnosząc podatki wyłącznie krajowym producentom oraz podwyższając jednocześnie znienacka i skokowo stopy procentowe.

Nawet te państwowe firmy, których sytuacja finansowa była dobra, pozbawione funduszy inwestycyjnych nie przetrwały tak skrojonej „terapii szokowej", jak perfidnie nazywał swój plan Leszek Balcerowicz. Pod młot poszły cementownie, huty, fabryki opon, samochodów, traktorów i wiele innych. Niektóre działy przemysłu, np. elektronika, zostały niemal na siłę zlikwidowane. W ciszy i bez rozgłosu jak muchy padały zakłady rzemieślnicze. Zniknęły z rynku cenione przez Polaków marki. O skali zbrodni na gospodarce niech świadczy to, że produkcja przemysłowa w Polsce w ciągu dwóch lat (1990–1991) spadła według niektórych szacunków o bagatela 40 proc., a dochód narodowy według prof. Grzegorza Kołodki o blisko 20 proc.! Kto nam zgotował taki los? Znowu należy odwołać się do relacji naocznych świadków.

Otóż Leszek Balcerowicz, według wielu potwierdzonych źródeł, nie był jedynym autorem swojego planu. Według tych relacji był nim przede wszystkim Jeffrey Sachs, ekonomista z Uniwersytetu Harvarda. Nie on jeden, gdyż jego poczynania, lobbing i podróże do Polski finansował według prof. Tadeusza Kowalika nie kto inny jak sam George Soros – osławiony międzynarodowy spekulant i inwestor! Persona non grata m.in. w Wielkiej Brytanii i Tajlandii.

JAKI DZIADEK, TAKI OJCIEC I WNUK

Jeśli uznać Leszka Balcerowicza za „dziadka turboliberalizmu" w Polsce, starca, który wściekle pokrzykuje do nas co i rusz z łamów „Newsweeka" niczym z balkonu, to test na ojcostwo wskazuje w sposób nieubłagany na Donalda Tuska. To przecież były szef Parlamentu Europejskiego robi ostatnio za uporczywego trolla internetowego. A po linii partyjnej jakoś zawsze blisko mu było do ekonomii silniejszych. W tym rodzinnym albumie wnukiem w trzecim pokoleniu jest nie kto inny, a Sławomir Nowak, „złote dziecko" Platformy Obywatelskiej.

Skoro wiemy coraz więcej o dokonaniach Sławomira Nowaka na Ukrainie, czyż nie zasadne byłoby spytać o rolę Leszka Balcerowicza w administracji Petra Poroszenki? I działania Donalda Tuska pod hasłem wspierania demokratycznych przemian gospodarczych (o zgrozo!) na Ukrainie? Pomysł wprowadzenia na Ukrainie reformy emerytalnej zmierzającej do stworzenia OFE był jedynie sygnałem, że „zespół ekspertów" Balcerowicza doradza naszym sąsiadom, jak umie najlepiej. Koniec ukraińskiej kariery Sławomira Nowaka jest najlepszą puentą tego wsparcia.

> Leszek Balcerowicz nie chce odejść. Wciąż pojawia się tu i ówdzie, komentując rzeczywistość. Najwyraźniej domaga się uwagi, by nie zniknąć z historii polskiej ekonomii. Spokojnie. Miejsce w niej ma, choć pewnie nie takie, jakiego by sam chciał

DZIEDZICTWO

Trzech polskich polityków łączy wiele dziedziczonych cech. Z całą pewnością mogą się czuć zagrożeni, że ich autorytet i dorobek lada chwila legnie w gruzach. Wszyscy razem zdają się hołdować podobnej strategii obrony przez atak. Grożą a to Trybunałem Stanu, a to Unią Europejską, a to Putinem, że aż strach się bać. Czy to, że Leszek Balcerowicz nieprzerwanie od 2007 r. dzierży intratne stanowisko w Radzie Dyrektorów wpływowego niemieckiego think tanku Bruegel, nie powinno eliminować go z krajowego dyskursu? Podobnie Donald Tusk – czy jego funkcja przewodniczącego Europejskiej Partii Ludowej z nadania kanclerz Angeli Merkel nie kłóci się ze standardami obowiązującymi Europejczyków, gdy zabiera się głos w wewnętrznej polskiej debacie? Czy tym samym prawem kaduka nie posługuje się dziś Sławomir Nowak, kreując się na prześladowanego opozycjonistę?

CHCĄ WRÓCIĆ

Nieodparcie też sama nasuwa się niezwykle smutna refleksja. Jakże inaczej mogłaby się potoczyć najnowsza historia Polski, gdyby nie sławetne „policzmy głosy" Tuska podczas nocnej zmiany? Co by było, gdyby rząd Jana Olszewskiego nie został obalony, a przeprowadził oczywiste reformy i dezubekizację administracji państwowej i sądów? Tamto wspomnienie stanowi też przestrogę, bo czyż dziś apele o koalicję 276 nie stanowią swoistej powtórki z historii? Nawet aktorzy prawie ci sami... Oni naprawdę mogą wrócić do władzy! Oni: Leszek Balcerowicz, Donald Tusk, Sławomir Nowak, ale też senator Stanisław Gawłowski, poseł Sławomir Neumann i wielu innych. Wróci doktryna Neumanna o sędziach i taktyka Palikota: kłamać rano, wieczorem i w nocy. Kłamać, kłamać, kłamać...

Czy społeczeństwo jest gotowe na kolejną wersję terapii wstrząsowej, której zawsze towarzyszą poniżenie i utrata godności? Czy wybaczyłoby Zjednoczonej Prawicy brak jedności? Gra idzie dziś bowiem o to, czy powstanie gazociąg Baltic Pipe, czy też zrealizowane zostanie wspólne przedsięwzięcie Niemiec i Rosji – Nord Stream 2, czy ruch pasażerski i cargo kierowany będzie przez Centralny Port Komunikacyjny, czy też przez lotnisko w Berlinie? Czy Polska awansuje do roli hubu logistycznego i handlowego oraz centrum przemysłowego dla regionu Europy Środkowej (Trójmorza), czy też pozostanie krajem tranzytowym na peryferiach UE?

Autor jest publicystą „Gazety Bankowej"

Reklama | 68/0421/F

eprasa.pl ef27a56980

WŁĄCZ RMF Classic

I ZMIEŃ SWÓJ ŚWIAT

NAJPIĘKNIEJSZA MUZYKA FILMOWA

– GDZIEKOLWIEK JESTEŚ

rmfclassic.pl

epresa.pl/ef27a56980

Mamy wybór: szczepienia albo lockdown

Z dr. Krzysztofem Tyburczym, specjalistą medycyny ratunkowej, pracującym na Szpitalnym Oddziale Ratunkowym w Ostrołęce oraz w szpitalu w Białymstoku, rozmawia Dorota Łosiewicz

Przez Polskę przetacza się dyskusja na temat sensu szczepień. Im młodsze roczniki Polaków, tym mniej chętnie się szczepią. Obaw i pytań jest wiele, a publiczna debata jednak dość ograniczona. Mało kto decyduje się odpowiadać na trudne pytania. Swoimi wątpliwościami podzieliłam się z lekarzem, który każdego dnia walczy o życie ludzi na szpitalnym oddziale ratunkowym. COVID-19 i decyzje, z którymi codziennie się zmaga, to – jak mówi – piekło na ziemi

Pytam lekarza, który na szpitalnym oddziale ratunkowym widział niejedno: czy pana zdaniem warto się szczepić przeciw COVID-19?

Krzysztof Tyburczy: Odpowiadając na pani pytanie, powołam się na notę Kongregacji Nauki Wiary na temat moralnej oceny stosowania niektórych szczepionek przeciw COVID-19. Zajrzyjmy do punktu 5, który mówi: „Jednocześnie jawi się jako ewidentne dla rozumu praktycznego, że szczepienie nie jest w sposób normalny obowiązkiem moralnym i że, z tego powodu, powinno być dobrowolne. W każdym przypadku, z punktu widzenia etycznego, moralność szczepienia zależy nie tylko od obowiązku troski o własne zdrowie, ale także od obowiązku dążenia do dobra wspólnego. Przy braku innych środków służących powstrzymaniu lub choćby jedynie zapobieżeniu epidemii, dobro wspólne może zalecać szczepienie, zwłaszcza w trosce o najsłabszych i najbardziej narażonych na niebezpieczeństwo. Ci jednakże, którzy ze względu na sumienie, odrzucają szczepionki wyprodukowane z linii komórkowych pochodzących od abortowanych płodów, powinni innymi sposobami profilaktycznymi i właściwymi zachowaniami powziąć kroki dla uniknięcia stania się nośnikami transmisji czynnika infekcyjnego. W sposób szczególny powinni oni unikać wszelkiego zagrożenia dla zdrowia tych, którzy nie mogą zostać zaszczepieni z powodów medycznych lub innej natury, a którzy są osobami najbardziej wrażliwymi".

Cytuje pan dokument, który wielu Polaków zinterpretowało jako zakaz szczepień.

Źle go zinterpretowało. Przecież wyraźnie tam zapisano, że szczepienia to także wyraz troski o innych. Mój kolega, lekarz katolik, który bardzo mocno przechorował COVID-19 (oddział intensywnej terapii z respiratorem), na pytanie dotyczące niechęci Polaków do szczepień odpowiedział: „Jak ich bezpośrednio nie dotknie, to nie zrozumieją". Wielu jest takich, jak biblijny niewierny Tomasz – nie uwierzą, póki nie zobaczą. Tymczasem gdy wspominam listopad 2020 r., czułem się wtedy jak w znanym filmie „Czarnobyl". Widziałem wiele cierpienia, śmierci. A ludzie wciąż negowali COVID-19. Teraz widzę, że osoby starsze, po szczepieniach, nie zgłaszają się z powodu koronawirusa do szpitala. Natomiast ostatnio przyjmowałem 40-latka, który przeszedł w marcu atak SARS-CoV-2 i wrócił do szpitala z ciężką sepsą. Osoby z listopadowej fali covidowej, które się nie zaszczepiły, również wracają z ponownym zachorowaniem. Chorzy po przejściu COVID-19 mają przeciwciała najczęściej przez trzy miesiące (rzędu ok.

eprasa.pl ef27a56980

200–800AU/ml). Potem odporność spada. Osoby zaszczepione mają po kilkanaście tysięcy.

Co to znaczy?

Dla mnie to oznacza, że osoba niezaszczepiona może przechorować COVID-19 nawet cztery razy w roku. W temacie szczepień mamy wybór: szczepienia lub lockdown. Polacy są bardzo niechętni do pozostania w domach. W styczniu, kiedy minister zdrowia ogłosił lockdown, niektórzy mimo wszystko ruszyli do biur podróży. Wówczas bardzo modny stał się kierunek Tanzania Zanzibar, z uwagi na brak ograniczeń związanych z koronawirusem. Nie wszyscy Polacy zapoznają się jednak ze stroną medycynatropikalna.pl, prowadzoną przez prof. dr. hab. n. med. Krzysztofa Korzeniewskiego z Wojskowego Instytutu Medycznego w Warszawie, dla osób wyjeżdżających za granicę. Po powrocie z Zanzibaru pojawiły się w Polsce przypadki malarii. Dla lekarzy bardzo ciężko pracujących, w pośpiechu, postawienie takiego rozpoznania może być trudne. Polecam stronę medycynatropikalna.pl zwłaszcza teraz. Wydaje mi się, że mało kto wie, że np. przed wyjazdem do Turcji zalecane są szczepienia przeciw wściekliźnie.

Mówi pan o szczepieniach w ogóle, tymczasem rozmawiamy o szczepionkach przeciw COVID-19, które nie przeszły jeszcze wszystkich faz badań, nie znamy więc skutków ich działania w długim czasie.

> Pacjenci z listopadowej fali covidowej, którzy się nie zaszczepili, wracają z ponownym zachorowaniem. Osoba niezaszczepiona może przechorować COVID-19 nawet cztery razy w roku

Forma mówienia o szczepieniach w Polsce wzbudza dużo emocji i chyba temat jest źle przedstawiany. Szczepieniom towarzyszy strach. Porównam to do życia. Pacjent zgłaszający się do szpitala na operację w niektórych przypadkach ma możliwość wyboru znieczulenia: ogólne lub zewnątrzoponowe. W przypadku drugiego można podać je pacjentowi w różnej formie: zastrzyk w kręgosłup lub znieczulenie z mniejszą liczbą powikłań i szybszym powrotem do zdrowia. Ze szczepieniami jest podobnie. Szczepienia przeciw COVID-19 zabezpieczają przed ciężkim przebiegiem choroby.

Ale miały pierwotnie chronić przed zachorowaniem.

Jako lekarz pracujący na SOR widzę, że kiedy rozpoczęły się szczepienia, liczba zachorowań spadła. W Polsce nastąpiło za to dużo podziałów: na antyszczepionkowców i zaszczepionych. Zaszczepieni dzielą się na następujące grupy: Pfizer, Moderna, AstraZeneca i Johnson & Johnson. Każda z tych grup uważa się za lepszą od innych. Natomiast w mediach wypowiedzi na temat szczepień dzielę na dwie kategorie. Do jednej należą osoby, które pracują na pierwszej linii frontu: zespoły ratownictwa medycznego, szpitalne oddziały ratunkowe, oddziały zakaźne. Ta grupa w większości popiera szczepienia. Druga grupa to ludzie, którzy rzadko stykają się z COVID-19. Tutaj zdania są podzielone. Pełno jest różnych teoretyków. Często „teoretycy" twierdzą, że lekarz szpitalnego oddziału ratunkowego lub zespołu ratownictwa medycznego

Fot. Archiwum prywatne

eprasa.pl ef27a56980

powinien w każdej sytuacji udzielić pomocy i mają wiele argumentów prawnych, etycznych itd. Co jednak ma zrobić lekarz SOR, który w czasie dyżuru zajmuje się wieloma pacjentami w stanie zagrożenia życia? Co ma zrobić lekarz, kiedy musi prowadzić trzy reanimacje jednocześnie? Co ma zrobić lekarz karetki, który przyjedzie do wypadku masowego i będzie musiał udzielić pomocy 30 osobom, a nie będzie miał żadnej pomocy? Takie pytania zadajemy swoim przełożonym. Często pozostają bez odpowiedzi. A to są pytania, które my znamy z życia. Osoby, które są przeciwko szczepieniom, nie oferują nic w zamian.

> Jako lekarz widzę, że od chwili, gdy Polacy zaczęli się szczepić, mam mniej pracy. Z trwogą wspominam listopad, kiedy było bardzo dużo pacjentów w ciężkim stanie. Ja także zaszczepiłem siebie i swoją rodzinę

Może liczą na lek?

Pojawiają się w debacie publicznej różne leki: amantadyna, pentoksyfilina, famotydyna, ale nie wiemy na chwilę obecną, czy są na pewno skuteczne w leczeniu COVID-19. A poza tym, czy pacjenci leczeni lekami mają przeciwciała po chorobie? Nie. Znów mogą chorować. To są pytania otwarte.

Prof. Włodzimierz Gut powiedział ostatnio, że szczepionka nie chroni ani przed zakażeniem, ani przed zarażaniem innych. Po co więc się szczepić?

Zgadzam się z tym. Szczepionka zapobiega prawie w stu procentach ciężkiemu przechorowaniu i hospitalizacji. Są pojedyncze przypadki, kiedy pacjent nie reaguje na szczepienie. Dlatego też mam moralny problem, czy osoby zaszczepione powinny się spotykać z niezaszczepionymi.

Ale to segregacja sanitarna! To może być groźne zjawisko. Niby nie ma przymusu, ale w niektórych firmach już szkoli się pracowników HR, by zatrudniać tylko zaszczepionych. Co dalej? Zakaz wstępu na uczelnie, osobne tramwaje, restauracje itp.?

„Jedynym sposobem walki z zarazą jest uczciwość" – Albert Camus, „Dżuma" (1947 r.). Jestem lekarzem od 24 lat. Ostatni czas mogę porównać do płynięcia żaglówką, dla której cały czas zmienia się wiatr (cytat dr. Tomasza Rożka). Na bardzo wiele pytań nie jesteśmy w stanie odpowiedzieć. Widzę jednak, że od chwili, gdy Polacy zaczęli się szczepić, mam mniej pracy. Z trwogą wspominam listopad, kiedy było bardzo dużo pacjentów w ciężkim stanie. Ja również zaszczepiłem siebie i swoją rodzinę. Choć, tak jak powiedziałem wcześniej, osoba zaszczepiona może przenosić wirusa.

Niektórzy naukowcy twierdzą, że intensywne szczepienie podczas pandemii sprawia, że wirus, by przetrwać, szybciej mutuje i uodparnia się na szczepionkę. Wirus nadal może więc być groźny nawet dla zaszczepionych.

Istnieje ryzyko, że mutacja będzie odporna na szczepionki. Wirus szuka luki. Jednak gdy obserwuję polskie tempo szczepień, nie grozi nam taka sytuacja.

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl ef27a56980

W ulotce jednej ze szczepionek możemy przeczytać: „Przeprowadzono badania genotoksyczności in vitro oraz in vivo, dotyczące nowego składnika lipidowego SM-102, zastosowanego w szczepionce. Uzyskane wyniki sugerują niską potencjalną genotoksyczność dla ludzi. Nie przeprowadzono badań rakotwórczości". Genotoksyczność może skutkować uszkodzeniami genetycznymi. Teoretycznie może to oznaczać zmiany w DNA zaszczepionej osoby, powodujące np. większą zachorowalność na nowotwory lub choroby z autoagresji. To nie są niepokojące informacje? Tak naprawdę nie znamy skutków zastosowania tych szczepionek w długim czasie.

Takie pytania można mnożyć. Na przykład: jaki jest wpływ na całą populację dzieci i dorosłych szczepień przeciw COVID-19 w połączeniu z rozwojem sieci 5G czy odżywaniem się mocno przetworzonymi produktami? Żyjemy bardzo nienaturalnie. Jemy rakotwórcze produkty. Nasza strategia jest jak operacja w chirurgii naczyniowej. Cięcia przy dużych naczyniach. Jeden nieopatrzny ruch i może to się źle zakończyć. Nie mamy alternatywy dla szczepienia przeciw COVID-19. Na początku pandemii ludzie chcieli szybko jakiegoś leku lub szczepionki. Wiele firm chce opracować skuteczną metodę leczenia lub zapobiegania tej chorobie. Jej twórca dostanie Nagrodę Nobla. Jednocześnie firmy boją się roszczeń pacjentów wskutek działań niepożądanych. Dlatego trzeba przeliczyć, ile osób uratowały szczepionki od powikłań, a ile powikłań mogłyby spowodować? Zdarzają mi się pacjenci, którzy po COVID-19 są inwalidami. Potrzebują butli tlenowej lub koncentratora, żeby pójść do toalety. Widziałem to na własne oczy. Pamiętajmy, że w wojnie z koronawirusem jest dużo dezinformacji.

Głośno ostatnio o białku spike. Eksperymenty na myszach miały pokazać, że białko spike koronawirusa wnika m.in. do mózgu, co wskazuje na przenikanie także wirusa, ale szkodzić prawdopodobnie może też samo białko. To kolejne badanie, które ma wykazać, że białko to może naruszać barierę krew-mózg. Jednocześnie szczepionka ma pobudzać organizm do produkcji białka spike. Czy więc nie szkodzimy sobie, przyjmując szczepionkę?

W obecnej sytuacji nie mamy niczego innego. W medycynie są różne choroby, np. kleszczowe zapalenie opon mózgowo-rdzeniowych i borelioza. Kleszczowego zapalenia opon mózgowo-rdzeniowych nie umiemy dobrze leczyć, ale mamy szczepionkę. W przypadku boreliozy nie mamy szczepionki, ale mamy preparaty leczące chorobę. Podzielę się moim doświadczeniem. Długo odwlekałem decyzję, by zaszczepić się przeciwko kleszczowemu zapaleniu opon mózgowo-rdzeniowych. Kiedy spotkałem się osobiście z lekarką, która przechorowała tę chorobę, od razu kupiłem szczepionki dla siebie i rodziny. Chciałem przecież chodzić do lasu czy wylegiwać się na trawie. COVID-19 daje masę powikłań. Bardzo groźna jest np. mgła pocovidowa, o której jest dość głośno. Myśląc o powikłaniach po COVID-19 i ewentualnych po szczepionce, musimy przeliczyć korzyści nad skutkami ubocznymi. Widzę zdecydowanie więcej korzyści szczepień niż ich braku.

Trwa trzecia faza badania klinicznego szczepionek, a te, które już są, zostały dopuszczone warunkowo. Czy osoby, które się szczepią, nie biorą czasem udziału w globalnym eksperymencie medycznym i powinny być o tym informowane?

Gdyby słynna na cały świat aspiryna została wynaleziona dzisiaj, wiele lat czekałaby na dopuszczenie do użytkowania. Nie czuję się jak królik doświadczalny. Przed nami szczepieni byli obywatele USA i Izraela. A Izrael zamieszkują bardzo mądrzy ludzie. Co roku pewna grupa osób szczepi się na grypę. Co sezon jest to inna szczepionka i osoby szczepiące się biorą udział w badaniach. Każdy ma prawo wypełnić kwestionariusz – niepożądany odczyn poszczepienny (NOP). W przypadku każdego leku pacjent może opisać działania niepożądane. Jeśli są uzasadnione obawy, lek może być wycofany. Przypomnę tu choćby słynny lek talidomid, który był zarejestrowany w 50 krajach. Wojna z COVID-19 trwa. Wiele osób zmarło. Wiele osób będzie latami leczyło powikłania po koronawirusie. Potrzebna będzie pomoc wielospecjalistyczna: pulmonologów, neurologów, psychiatrów, fizjoterapeutów itd. Uważam, że bardzo ważną rolę w leczeniu postcovidowym mogą odegrać również kapłani (wszystkich religii). Wątpię, żeby pandemia miała przebieg jak hiszpanka, czyli trzy fale, i trwała dwa lata. Na koniec powtórzę – w temacie szczepień mamy wybór: szczepienia lub lockdown.

Reklama | 86/0421/F

eprasa.pl ef27a56980

STANISŁAW JANECKI

Kto po Budce?

Jest 17 kandydatów do zastąpienia obecnego przewodniczącego Platformy Obywatelskiej, tylko nikt nie gwarantuje nowej jakości

Borys Budka przegrał rozgrywkę o stworzenie nowej sejmowej większości, powstanie rządu technicznego i przyspieszone wybory, gdyż nikt poza nim i jego najbliższym otoczeniem nie uznał tego planu za możliwy do zrealizowania. Dlatego Platforma Obywatelska znalazła się w defensywie, a jej lider jest atakowany, przede wszystkim wewnątrz partii. List 51 parlamentarzystów PO i KO z 7 maja br. jest właściwie apelem o rezygnację lub wyrzucenie Budki bez wymieniania jego nazwiska. Budka desperacko próbuje utrzymać władzę w partii, a jego przeciwnicy chcą udowodnić, że pod tym przywództwem partia nie tylko przegrywa, ale i się rozpada. Ale przeciwnicy Budki nie chcą jednocześnie powrotu Grzegorza Schetyny, co wyraźnie mówi np. Paweł Zalewski. Z kolei powrót Donalda Tuska uznają za nierealny. Sam Schetyna jest świadomy, jakie kłopoty oznaczałby jego powrót, dlatego uważa, że „nie powinien ratować PO jako osoba, która jest szefem partii". Choćby z tego powodu, że „Platforma musiałaby przyznać, że wraca do poprzedniego przewodniczącego, bo obecny nie dał sobie rady". To chyba jednak tylko kokieteria albo czekanie na apel, by wrócił i ratował. Tak czy owak „potrzebne jest nowe otwarcie", co nie tylko dla Schetyny „jest oczywiste". „Jeśli ja zostawiałem PO, kiedy miała 31 proc. poparcia, a teraz ma ok. 15 proc., to trzeba wyciągać wnioski" – wyciąga wniosek sam Schetyna. Te same liczby przytacza Zalewski, który mówi: „Borys Budka miał olbrzymi potencjał, wygrał mocno, miał gigantyczny mandat. Ale jeśli ktoś w ciągu roku traci 50 proc. poparcia, to pokazuje, że musi otworzyć mechanizmy dla innych". Zarówno Schetyna, jak i Zalewski wysyłają prosty komunikat: Budka musi odejść. A poza nimi jeszcze 49 innych parlamentarzystów PO i KO. Schetyna, Zalewski i jeszcze Ireneusz Raś już przekroczyli Rubikon, de facto domagając się zmiany lidera, bo uznali, że nie mają nic do stracenia. Inni jeszcze czekają, ale to tylko kwestia czasu. Kto może zastąpić Budkę w roli przewodniczącego PO? Wbrew pozorom chętnych jest więcej, niż jest w stanie uczestniczyć w realnym wyścigu o schedę po Budce – aż 17.

CZAS BUDKI SIĘ SKOŃCZYŁ

„Dzisiaj Borys Budka wie, że jego przywództwo jest w runie. Borys Budka wszystko wie" – powiada Zalewski. Wiedzieć „wszystko", a ustąpić to jednak dwie różne sprawy. Byłaby to bowiem najbardziej spektakularna klęska od czasu powstania PO w 2001 r. I to klęska polityka zaledwie 43-letniego. Dlatego Budka wcale nie jest skłonny do zakładania sobie pętli na szyję. Problemem jest to, że przeciwnicy nie zamierzają czekać. Choć Schetyna mówi, że najważniejsze jest to, „co powinno się zmienić w PO, dzisiaj, tu i teraz, żeby Platforma była gotowa do podejmowania wielkich wyzwań, budowania koalicji i wygrywania wyborów", najważniejsze jest to, że powinien się zmienić naczelny dowódca. A wraz z nim organizacja sztabu generalnego. Zalewski uważa, że „czas jednoosobowego przywództwa w Platformie się skończył". A to dlatego, że „nie ma już w PO polityka o takim potencjale i takim autorytecie jak Donald Tusk". Co to jednak znaczy zbiorowe przywództwo w partii? W PO nie brakuje chętnych na Napoleona, tylko „czy oni mają szczęście" – jak pytał sam cesarz, gdy rozważał awanse.

eprasa.pl ef27a56980

RAFAŁ TRZASKOWSKI

Najbardziej oczywistym następcą Budki jest dla wielu ludzi w PO (KO) i poza nią Rafał Trzaskowski. Tylko jedyne, co jest w miarę pewne u tego polityka, to wielka chęć zostania prezydentem Polski i zatarcia największej plamy w życiorysie, czyli przegranej z Andrzejem Dudą w wyborach w 2020 r. Nie jest ważne, że Trzaskowski dostał ponad 10 mln głosów, liczy się to, że przegrał. A przecież cała jego wcześniejsza kariera polityczna była pasmem sukcesów. Trzaskowski uważa, że przegrał przez macierzystą partię i jej błędy oraz grzechy. Dlatego, choć był w czasie wyborów i jest nadal wiceprzewodniczącym PO, chciał budować ruch, który ostatecznie nazwał Wspólna Polska. Ruch na tyle szeroki, żeby nie był kojarzony z PO, a jednocześnie partię trzymał w szachu. Dla Trzaskowskiego przyszłość PO ma znaczenie tylko o tyle, o ile może mu ułatwić wygranie wyborów prezydenckich w 2025 r. Trzyma z Budką, bo jego przywództwo w partii jest właściwie zawieszone na Trzaskowskim, a nawet jest jego anielskim chórem śpiewającym pieśni ku jego chwale. Trzaskowski jest głównym i jedynym atutem Budki. Dlatego prezydent Warszawy ma wielki nieformalny wpływ i na lidera PO, i na to, co partia robi. O tym mówił m.in. poseł Raś. Kierowanie partią przez Trzaskowskiego to jednak kłopot, a nie atut. To coś znacznie bardziej absorbującego niż organizowanie ruchu społecznego. A nawet bardziej niż bycie prezydentem stolicy, z czym Trzaskowski ma przecież problemy. Kierowanie partią, w dodatku desperacko walczącą o status lidera opozycji, to codzienna orka, i to bez gwarancji efektów. Gdyby Trzaskowski się zdecydował, musiałby przywrócić PO status lidera opozycji, gdyż bez tego poniósłby klęskę po raz drugi. A to utrwaliłoby wizerunek przegranego przed wyborami prezydenckimi w 2025 r. Gwarancji na sukces prezydent Warszawy mieć nie może, więc odrzuca kierowanie partią. Woli uchodzić za tego, który ma wielką moc, lepiej jednak nie sprawdzać, jak i czy w ogóle ona działa. Chyba że PO groziłaby absolutna katastrofa i marginalizacja, to wtedy może by się zdecydował, a i to tylko pod wpływem zewnętrznych nacisków. Pod warunkiem że PO będzie jeszcze do czegoś potrzebna. Może nie być, dlatego Trzaskowski inwestuje w ruch Wspólna Polska i szuka szerokiego frontu poparcia dla swojej kandydatury na prezydenta Polski. Co oznacza, że w 2021 r. nie będzie chciał o przewodniczeniu PO nawet myśleć. Może za rok, ale tylko wtedy, gdyby to dawało mu dużą szansę zostania premierem.

RADOSŁAW SIKORSKI

Wbrew krygowaniu się i deklaracjom, że to nie wchodzi w grę („to mile masuje moje znane z wielkości ego, ale nie ma tematu"), stanowiskiem przewodniczącego PO byłby zainteresowany Radosław Sikorski, lansowany m.in. przez Rasia. Pod warunkiem że to stwarzałoby mu możliwość zostania premierem po wyborach w 2023 r. lub kandydatem na prezydenta w 2025 r. Prezydentem Polski Sikorski chciał zostać już w 2010 r., gdy w partyjnych prawyborach rywalizował z Bronisławem Komorowskim. Ale przegrał. Ponownie rozważano jego kandydaturę na najwyższe w Polsce stanowisko, gdy w maju 2020 r. z kandydowania zrezygnowała Małgorzata Kidawa-Błońska. Postawiono jednak na Trzaskowskiego. Sikorski dwukrotnie przegrał w przedbiegach, a właściwie czterokrotnie. Przecież już w 2009 r., a potem w 2013 r. miał zostać sekretarzem generalnym NATO. A w 2014 r. przymierzał się do funkcji wysokiego przedstawiciela UE ds. polityki zagranicznej, czym łudził go m.in. Tusk. Okazało się to nierealne, gdyż w tym samym czasie Tusk załatwiał sobie stanowisko przewodniczącego Rady Europejskiej i zostawił Sikorskiego na lodzie. I tego były minister spraw zagranicznych obawia się najbardziej – „wyślizgania" po raz kolejny. Dlatego mówi, że „nie ma tematu". Ale temat jest, gdyby tylko był w stanie przywrócić partii dawną świetność. Tyle że Sikorski ma w partii tylu samo wrogów, ilu zwolenników, a niektórzy pamiętają mu, że przecież był w rządzie PiS. Dla Sikorskiego stanowisko szefa PO byłoby warte zachodu, gdyby zapewnił sobie szansę na objęcie któregoś z dwóch najważniejszych stanowisk w państwie. W strukturach UE to niemożliwe po Tusku, w NATO nie zaakceptują go zaś Amerykanie, którym się stawiał jako szef MON i MSZ.

TOMASZ SIEMONIAK, BOGDAN ZDROJEWSKI, PAWEŁ ZALEWSKI, PAWEŁ KOWAL, KAZIMIERZ MICHAŁ UJAZDOWSKI

Poseł Tomasz Siemoniak chciał zostać szefem PO w 2016 i 2020 r. W pierwszym wypadku się wycofał (podobnie zresztą jak Budka), więc Schetyna rywalizował z samym sobą. W drugim wypadku zdecydowanie przegrał z Budką (dostał 11 proc. głosów). Choć był wicepremierem, ministrem obrony i jest wiceprzewodniczącym partii, uchodzi za polityka mało wyrazistego, zbyt miękkiego, a przede wszystkim pozbawionego charyzmy. Byłby dobry, gdyby chodziło o pogodzenie zwaśnionych stron, czyli w roli przewodniczącego na czas przejściowy, np. do zorganizowania w partii powszechnych wyborów, ale nie daje żadnej nowej jakości.

Z kolei senator Bogdan Zdrojewski to stały recenzent poczynań innych, który właściwie mówi tylko, czym PO nie powinna być, a nie, jaka ma być. Były minister kultury i prezydent Wrocławia ma w partii mało zwolenników, uchodzi

Fot. Andrzej Wiktor (x2), mishelo0/Shutterstock

eprasa.pl ef27a56980

raczej za konserwatystę, ale często bezobjawowego. Nikt się właściwie nie spodziewa po nim przełomu, choć zapewniłby partii pewną stateczność.

Podobne cechy ma poseł Paweł Zalewski, ale on ma tę wadę, że w przeszłości był w PiS, i to nawet wiceprezesem tej partii. Zalewski jest statecznym konserwatystą, ale zdecydowanie zbyt mało dynamicznym, jak na oczekiwania tych członków PO, którzy chcieliby przełomu.

Jeszcze więcej zastrzeżeń budzi senator Kazimierz Michał Ujazdowski, minister kultury w rządach AWS oraz PiS. W partii jest na marginesie, choć ceni się jego kompetencje prawnicze (jest doktorem habilitowanym), kulturę osobistą i umiar. Ujazdowski jest jednak postrzegany jako ktoś zainteresowany wyłącznie własną karierą, niezdolny do pokierowania partią nawet w czasach spokoju, choć miałby takie ambicje.

Poseł Paweł Kowal też jest doktorem habilitowanym (nauk społecznych), też był w PiS i rządzie tej partii, jest konserwatystą i politykiem uważanym za mało wyrazistego i dynamicznego. Może miałby kwalifikacje intelektualne, ale już nie organizatorskie. Tyle że nie jest nawet członkiem PO, co dałoby się szybko zmienić, gdyby miał szersze poparcie. Ale go nie ma.

JOANNA KLUZIK-ROSTKOWSKA, URSZULA AUGUSTYN, IZABELA LESZCZYNA, AGNIESZKA POMASKA

Jakimś wyjściem z kryzysu przywództwa w PO byłby wybór kobiety na stanowisko przewodniczącego. Ewa Kopacz pod tym względem się nie liczy, gdyż była tylko p.o. A Joanna Mucha, mająca ambicje objęcia przewodnictwa w PO w grudniu 2019 r., już jest poza partią (w Polsce 2050 Szymona Hołowni).

Największe szanse miałaby Joanna Kluzik-Rostkowska, przerobiona na modłę PO już przez Tuska (m.in. jako minister edukacji), ale była w PiS (i to nawet ministrem pracy i polityki społecznej) i kierowała sztabem wyborczym Jarosława Kaczyńskiego jako kandydata na prezydenta. Była inicjatorką Parlamentarnego Zespołu ds. Naprawy Rzeczypospolitej i jest jego szefową, ale politycy PO wątpią, czy byłaby lepsza od Budki. No i nie byłaby to żadna nowa jakość.

Z kolei posłanka Urszula Augustyn radzi sobie nawet w ostrych debatach (była nauczycielką i dziennikarką), ale nic nie wiadomo o jej zdolnościach organizatorskich. Nie ma też, w przeciwieństwie do Kluzik-Rostkowskiej, umiejętności prowadzenia wewnątrzpartyjnych gier i wojenek, a to szef partii powinien umieć.

> Przeciwnicy Budki nie chcą jednocześnie powrotu Grzegorza Schetyny, co wyraźnie mówi np. Paweł Zalewski. Z kolei powrót Donalda Tuska uznają za nierealny

Natomiast posłanka Izabela Leszczyna, wiceminister finansów w rządach Tuska i Kopacz, jest za bardzo kojarzona z Budką, który uczynił ją jedną z najbliższych współpracownic i twarzą quasi-programowych prezentacji.

Jeszcze bardziej z Budką jest związana posłanka Agnieszka Pomaska, uważana za zbyt agresywną i kierującą się emocjami, a poza tym zbyt ambitną jak na swoje możliwości. W PO wielu uważa, że partia straciłaby powagę, stawiając na nią.

SŁAWOMIR NITRAS, KRZYSZTOF BREJZA, CEZARY TOMCZYK

Sławomir Nitras to prawa ręka Budki i autor wielu jego przedsięwzięć, w tym tych nieudanych, jak sprzeciw wobec ratyfikacji ustawy o zasobach własnych UE. Nitras jest uważany w partii za zbyt agresywnego, a często wręcz chamskiego. Zarzuca mu się, że za dużo mówi, jest nieprzewidywalny, zdolny do wszystkiego, a w sytuacjach trudnych nie podejmuje racjonalnych decyzji.

Senator Krzysztof Brejza jest lepszą wersją Nitrasa, lepiej analizuje rzeczywistość polityki, ale brakuje mu charyzmy i doświadczenia w prowadzeniu wielopiętrowych politycznych gier oraz intryg.

Z kolei szef klubu parlamentarnego KO Cezary Tomczyk jest uważany za kopię Budki, tylko gorszą jakościowo i przeznaczoną do masowego rozpowszechniania. W partii zarzuca mu się banalność i wybujałe ambicje oraz zbytnie karierowiczostwo. Wadą wszystkich trzech jest to, że są po prostu ludźmi Budki.

MARCIN BOSACKI, BARTOSZ ARŁUKOWICZ, PIOTR BORYS

Senator Marcin Bosacki ma doświadczenie dziennikarskie („Gazeta Wyborcza"), dyplomatyczne (rzecznik MSZ, ambasador w Kanadzie) i polityczne (przewodzi senatorom KO), ale nie ma doświadczenia w partyjnych grach i codziennej politycznej „nawalance". Poza tym w partii jest mało znany.

Tych ostatnich wad nie ma eurodeputowany Bartosz Arłukowicz, ale on z kolei bywa zbyt zafiksowany na „nawalankach", przez co jest nieprzewidywalny. Poza tym jest dla członków PO zbyt lewicowy.

Poseł Piotr Borys jest natomiast uważany za człowieka Schetyny i to były przewodniczący partii faktycznie kierowałby nią z tylnego siedzenia, gdyby Borys wygrał.

Mimo znalezienia co najmniej 17 kandydatów na miejsce Borysa Budki zmuszenie go do ustąpienia nie będzie wcale prostą sprawą. Wszystko może się przedłużać, a w tym czasie PO będzie wciąż tracić. Poza tym wśród następców nie widać nikogo, kto byłby radykalnie lepszą jakością. Ale czasem chodzi wyłącznie o to, żeby było tylko coś nowego. Albo innego.

Fot. Piotr Molecki/East News

eprasa.pl ef27a56980

Za nami 5. edycja Kongresu 590 pod hasłem „Polska/świat startujemy”!

Ponad 200 ekspertów i liderów różnych branż w ciągu dwóch dni Kongresu 590 dyskutowało na najważniejsze dla polskiej gospodarki tematy. Wydarzenie otworzył swoim wystąpieniem prezydent RP Andrzej Duda, drugi dzień rozpoczął zaś prezes Rady Ministrów Mateusz Morawiecki

Czeka nas wciąż wiele wyzwań, ale mamy jeden wspólny cel. Chcemy, by Polska była krajem nowoczesnym z dobrą infrastrukturą. Krajem, który jest w stanie uwolnić twórczy potencjał swoich obywateli. Krajem, który inwestuje w badania, rozwój i nowe technologie. Aby tak było, konieczna jest dobra i przemyślana strategia, która będzie podstawą konsekwentnie realizowanej polityki. Tym bardziej cenne są inicjatywy takie jak Kongres 590. To okazja do dyskusji nad przyszłością, a także do zaprezentowania osiągnięć polskich firm – powiedział w środę, 5 maja, prezydent Andrzej Duda, otwierając 5. edycję Kongresu 590.

– Kongres 590 to najlepsze miejsce, aby rozmawiać o tym, jak polska gospodarka może przezwyciężyć kryzys i jak może się dalej rozwijać – powiedział prezes Rady Ministrów Mateusz Morawiecki 6 maja. – Stworzyliśmy mechanizmy, które nie tylko służą przetrwaniu, lecz pozwalają wierzyć, że w drugiej połowie roku nastąpi dynamiczne odbicie; już czas, aby od obrony przejść do inwestycyjnej ofensywy – dodał premier.

Remigiusz Kopoczek, prezes spółki Kongres 590, zauważył, jak symboliczne jest hasło tegorocznej edycji Kongresu „Polska/świat startujemy”.

– Mamy teraz szansę na nowy start, odrobienie strat po okresie ograniczeń i redukcji, który zaburzył wiele dziedzin i relacje społeczne – powiedział Remigiusz Kopoczek, prezes spółki Kongres 590.

Tegoroczny Kongres 590, który po raz pierwszy odbył się w formule hybrydowej, okazał się sukcesem. Transmisje z paneli oglądało łącznie kilkadziesiąt tysięcy osób.

NOWY KONCERN MULTIENERGETYCZNY

Podczas Kongresu 590 giganci paliwowi Orlen i Lotos zapowiedzieli fuzję i stworzenie multienergetycznego koncernu.

Ekspert ds. inwestycji kapitałowych PKN Orlen Jacek Ciborski ocenił m.in., że pandemia COVID-19 stała się katalizatorem wszystkich zmian, które zachodzą obecnie w wielu branżach, a w szczególności na rynku ropy i gazu. – Fuzja Orlenu z Lotosem ma na celu optymalizację działań zamiast konkurowania z sobą na rynku. Pandemia potwierdziła konieczność integracji tych dwóch podmiotów – powiedział Jacek Ciborski.

WIELKIE INWESTYCJE KOLEJOWE

Spółki Grupy PKP prowadzą obecnie inwestycje na bardzo szeroką skalę. – Pandemia koronawirusa zmieniła sposób funkcjonowania gospodarki, przedsiębiorstw i ich otoczenia, dlatego tak ważne przy wychodzeniu z kryzysu gospodarczego są inwestycje. Jako Grupa PKP inwestujemy w dworce, tabor pasażerski i towarowy, terminale oraz inne elementy infrastruktury, napędzając w ten sposób gospodarkę – powiedział prezes Mamiński.

FINANSE W DOBIE PANDEMII

W trakcie debaty dotyczącej cyberbezpieczeństwa Adam Marciniak, wiceprezes zarządu PKO Banku Polskiego SA, powiedział: – Pandemia pokazała, jakie są potrzeby społeczeństwa. Nie możemy zamknąć oddziałów, musimy zapewnić obrót gotówki zarówno elektroniczny, jak i fizyczny. Jako instytucja musieliśmy od samego początku stanąć na wysokości zadania. Bardzo duży nacisk położyliśmy na to, aby zadbać o bezpieczeństwo klientów.

Jeden z paneli dotyczył cyfrowego pieniądza i tego, czy stanie się on alternatywą dla pieniędzy fizycznych.

– W obecnej chwili nie zachodzą przesłanki do tego, żeby w Polsce wprowadzać pieniądz cyfrowy – podkreśliła Marta Gajęcka, członek zarządu Narodowego Banku Polskiego. – W okresie pandemii mogliśmy zaobserwować, jak wzrosło zapotrzebowanie na gotówkę. W zeszłym roku wyniosło 35 proc., w związku z czym mamy teraz w obrocie 350 mld zł w gotówce – dodała Gajęcka.

Organizatorzy już zapowiedzieli, że jesienią odbędzie się kolejna edycja wydarzenia. Nagrania z paneli 5. edycji kongresu można obejrzeć na www.kongres590.pl i na kanale YT organizatora.

Tekst powstał we współpracy z partnerem komercyjnym | 46/0421/F

eprasa.pl ef27a56980

Trzeba uczciwie powiedzieć, że przez wiele lat państwo wspierało przede wszystkim większe gospodarstwa rolne, tam kierowało swoją uwagę. Czas zatem teraz na skupienie się na gospodarstwach małych, także dlatego, że im jest najtrudniej. Nasz rząd chce je chronić i im pomagać

Szykujemy dla rolników wiele dobrych zmian

Michał Karnowski rozmawia z Grzegorzem Pudą, ministrem rolnictwa i rozwoju wsi

Rolnictwo to coś atrakcyjnego dla współczesnego młodego człowieka? Można na wsi dobrze zarabiać, dobrze żyć?

Grzegorz Puda: Oczywiście! Dziś ludzie żyjący na wsi często mają lepsze perspektywy na przyszłość niż ci żyjący w mieście. I tu nie trzeba szukać specjalnie dowodów, bo coraz częściej mieszkańcy miast przenoszą się na wieś. Zaczynamy wszyscy doceniać, że na wsi żyje się spokojniej, zdrowiej, w bliskości natury, z lepszymi relacjami międzyludzkimi. Wieś ma coraz większe szanse stać się miejscem konkurencyjnym dla młodych ludzi w stosunku do miast. Chcemy, aby młodzi ludzie chcieli zakładać na wsi rodziny i zostawali rolnikami. Dlatego proponujemy dla nich specjalne zachęty.

Ale ta grupa zarabia w mieście.

Tak, ale z rolnictwa też można dobrze żyć. Jeżeli młody człowiek wyjeżdża do miasta, musi inwestować w swoją karierę zawodową. Tymczasem młodzi rolnicy nawet do 24 miesięcy od rozpoczęcia prowadzenia gospodarstwa mogą się ubiegać o kredyt z częściową spłatą kapitału na zakup użytków rolnych. Mają także możliwość uzyskania

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl ef27a56980

wsparcia w ramach operacji „Premie dla młodych rolników" w kwocie 150 tys. zł bezzwrotnej pomocy. Następnie, kiedy już się posiada gospodarstwo, można sięgnąć po kolejne możliwości wsparcia finansowego, np. na modernizację gospodarstwa rolnego, restrukturyzację małego gospodarstwa czy na rozpoczęcie działalności pozarolniczej. Do tego wszystkiego dochodzą programy unijne, które również posiadają wiele instrumentów wsparcia uzależnionych od prowadzonej działalności rolniczej, jak rolnictwo ekologiczne, działalność agroturystyczna czy dopłaty do dobrostanu zwierząt. Jak widać, jest wiele argumentów, również finansowych, dla młodego pokolenia, aby zawód rolnika uznać za konkurencyjny.

Ta migracja na wieś niesie też zupełnie nieznane kiedyś problemy, które opisaliśmy niedawno na łamach „Sieci": przyjeżdża mieszczuch na wieś, wprowadza się między rolników i zaczynają mu przeszkadzać traktory zaparkowane przy drodze – bo on rano biega!

Znam te kwestie. Przeszkadzają nie tylko zaparkowane czy pracujące w gospodarstwie traktory, nie tylko kombajny wracające z pól, ale nawet szczekające psy czy piejące świtem koguty. Był przypadek, że rolnik dostał za to pianie mandat, za sprawą nowo przybyłego z miasta sąsiada! Konieczna jest więc edukacja ludzi chcących zamieszkać na wsi. Muszą zrozumieć, że rolnik ciężko pracuje, zajmuje się uprawą pola, hodowlą zwierząt, musi ogarnąć wiele spraw w różnych warunkach, czasem bardzo trudnych. Potrzebne też są zmiany w prawie, które muszą chronić rolnika, tak aby mógł spokojnie prowadzić swoją działalność. Ludzie w miastach chętnie kupują zdrową smaczną żywność. Mają wobec niej coraz większe oczekiwania, nie doceniając i nie szanując jednocześnie tych, których wysiłkowi ją zawdzięczają. Tu też dostrzegam potrzebę rzetelnej edukacji. Przyznaję, że pracujemy w ministerstwie również nad tym. Jednak obecnie najważniejsza dla nas jest ustawa o rodzinnych gospodarstwach rolnych.

Co jest jej celem?

Ochrona prawa do prowadzenia małego i średniego rodzinnego gospodarstwa rolnego, w podobny sposób jak czyniły to poprzednie pokolenia rolników, w zmieniającym się dynamicznie otoczeniu. Ważne będzie upodmiotowienie gospodarstwa. Ułatwi to wiele spraw, chociażby spadkowych, bo dziś w przypadku śmierci właściciela pojawiają się problemy. Z jednej strony produkcja musi być kontynuowana, zwierzęta wołają jeść, trzeba doić, zwozić plony z pola, na pola nawozy, kupować narzędzia i pasze, płacić podatki, a z drugiej trzeba z tym wszystkim czekać na przeprowadzenie spraw spadkowych. To trwa długo i powoduje wiele stresów. Chcemy to radykalnie uprościć i ułatwić zachowanie ciągłości. Poza tym będzie wiele innych dobrych dla rolników zmian.

> Dzisiaj jeśli rolnik chce uzyskać emeryturę, musi przekazać gospodarstwo na własność państwu. Moim zdaniem jest to niesprawiedliwe. Chcemy tę społeczną niesprawiedliwość zmienić

A zasady uzyskiwania emerytury rolniczej?

Dotyka pan bardzo ważnej dla wsi sprawy. Dzisiaj jeśli rolnik chce uzyskać emeryturę, musi przekazać gospodarstwo na własność państwu.

Zapis jeszcze z czasów Gierka – dopiero wtedy w ogóle wprowadzono emerytury rolnicze.

Moim zdaniem jest to niesprawiedliwe. Żadna inna grupa zawodowa nie ma postawionego podobnego warunku, odwrotnie – w ZUS można przejść na emeryturę i nadal pracować jak wcześniej, prowadzić swój zakład. Chcemy tę społeczną niesprawiedliwość zmienić, by rolnik mógł przejść na emeryturę bez obowiązku zdawania gospodarstwa.

To byłaby rewolucyjna zmiana.

Nie ukrywam, że wiąże się ona z dużymi kosztami. Ale jesteśmy zdeterminowani, by tę zmianę wprowadzić. Wiem z licznych rozmów, że jest też silne oczekiwanie rolników na taki ruch.

Z tych rozmów można zbudować jakąś hierarchię problemów rolników?

Rolnicy to dzisiaj bardzo zróżnicowane środowisko. Inne problemy mają producenci drobiu mierzący się z grypą ptaków, inne hodowcy trzody chlewnej, nad którymi ciągle wisi groźba afrykańskiego pomoru świń, a jeszcze inne mali rolnicy czy prowadzący szklarnie. Wszystkie są tak samo ważne.

A jeszcze inne hodowcy norek.

Tam problem jest dzisiaj szczególnie poważny, bo niestety koronawirus przeszedł z ludzi na te zwierzęta, mutuje w norkach i może wrócić na człowieka. Sprawa jest niezwykle poważna i uważnie ją monitorujemy. Dochodzimy do pytania, czyje życie jest ważniejsze: norek czy ludzi? Moim zdaniem bez wątpienia życie ludzi.

Piątka dla zwierząt może wrócić?

Nad tym projektem w naszym ministerstwie żadne prace się nie toczą. Choć jest kilka niekontrowersyjnych zmian, jak rozporządzenie o schroniskach czy zachęty dla hodowli w dobrych warunkach, lepszego dbania o dobrostan zwierząt, które będą wdrażane. Podkreślam – mówię o zachętach, nie o zakazach.

Którąś z grup rolniczych chce pan minister wspierać szczególnie?

Każdy rolnik jest ważny, każdemu pomogę, jeśli tylko państwo będzie miało taką możliwość. Ale trzeba uczciwie powiedzieć, że przez wiele lat państwo wspierało przede wszystkim te większe gospodarstwa, tam kierowało swoją uwagę. Czas zatem teraz na skupienie się na gospodarstwach małych, także dlatego, że im jest najtrudniej.

eprasa.pl ef27a56980

Boom eksportowy, jaki mamy w sektorze żywności, opiera się jednak na produkcji wielkotowarowej.

Tu nie ma polemiki. Dużym nikt nie chce przeszkadzać, podziwiamy i trzymamy kciuki. Ale małe gospodarstwa są bardzo ważne i nasz rząd chce je chronić i im pomagać. Jest to zresztą zgodne z najnowszymi kierunkami myślenia w Komisji Europejskiej, gdzie zaczynają rozumieć konieczność utrzymania różnorodności. Jest to także wniosek ze skutków epidemii.

W jakim sensie?

Zrozumiano, że bardzo długie i skomplikowane łańcuchy dostaw żywności niosą też potężne ryzyka, są narażone na przerwanie. Z tego względu pewna część produkcji rolnej musi powstawać także w tej okolicy, w której żyją konsumenci. To daje też szansę na zdrową i czystą żywność oraz że jej nie zabraknie w sytuacjach kryzysowych, takich jak pandemia.

Ona musi być jednak przetworzona. A przetwórnie po roku 1990 poszły w obce ręce albo na zmarnowanie.

Dlatego rząd premiera Mateusza Morawieckiego i resort rolnictwa zapewniły w Krajowym Planie Odbudowy duże środki na budowę i odbudowę polskiego przetwórstwa. Zagraniczne przetwórnie mają swoją rolę, ale konieczne jest zwiększenie liczby polskich, zwłaszcza takich, które będą blisko rolników. Kolejny problem jest taki, że do polskiej przetwórni przyjeżdża mięso z zagranicy, a potem trafia na nasz rynek. W konsekwencji nasi rolnicy nie mają gdzie sprzedawać swojej produkcji. Wiemy też o wątpliwościach dotyczących jakości wag, na których zwierzęta są ważone. Czasami marża handlującego jest tak szokująco duża, że sprawia wrażenie żerowania na rolniku.

Jak to zmienić?

Wolny rynek ma swoje prawa, ale państwo ma też prawo do wpływania na kształt kluczowych obszarów. Monopole będziemy nadal zwalczać. Gdybyśmy mieli sieć własnych, nawet małych, przetwórni, moglibyśmy przeciwdziałać patologiom. W KPO są na to środki. Musimy także rozbudowywać moce magazynowe, co pozwoli na interwencję, gdy ceny drastycznie spadają – oczywiście w ramach dopuszczalnych regulacjami unijnymi. Tym ma się zajmować Polski Holding Spożywczy, który budujemy.

> Zachęcamy ludzi do patriotyzmu konsumenckiego, kupowania polskich produktów. Wszyscy na tym zyskamy, bo zyska na tym polska gospodarka. Musimy więc być solidarni z rolnikami

A polska sieć sklepów? Czy na rynku nie mamy do czynienia z ryzykiem pozycji monopolistycznych i wykorzystywania ich w stosunku do producentów żywności?

Cieszę się, że aktywnie działa w tej sferze Urząd Ochrony Konkurencji i Konsumentów, w przypadku stwierdzenia nadużywania pozycji monopolistycznej nakładane są duże kary. Absolutnie nie będzie zgody na takie praktyki. I musimy odtwarzać polskie możliwości zbytu i przetworzenia towarów, musimy budować mocny, sprawny łańcuch produkcji i dostaw. W ramach KPO powstanie też kilka lub kilkanaście centrów logistycznych temu służących, chcemy też wzmacniać możliwości sprzedaży w detalu przez polskie podmioty. A czy i kiedy powstanie duża polska sieć handlowa? Czy ją kupimy, czy stworzymy? Czy trzeba kupić browar, by się napić piwa? Jak będą dobre, konkretne informacje, to zapewniam, że z radością poinformuję o tym czytelników tak cenionego przeze mnie tygodnika „Sieci".

Opozycja mocno z tego kpi – że rząd chce się brać do handlu.

A czego się spodziewać po totalnej opozycji? Kpiny i manipulacje to jej specjalność. Prawda jest taka, że rząd chce zapewnić równe warunki dostępu do rynku dla polskich producentów. Ale niech kpią, ostatecznie już pokazali, że więcej nie potrafią. Polacy wie-

eprasa.pl ef27a56980

dzą, że po rządach opozycji niewiele własności zostało w polskich rękach, a gdyby rządzili dłużej, nie zostałoby nic. Ale też podkreślam: wiele zależy od nas samych. Jeżeli będziemy zwracali uwagę na to, co kupujemy, co jemy, to już będzie dużo znaczyć. Dlatego namawialiśmy Polaków, by np. kupowali na stół wigilijny produkty polskie. W dalszym ciągu zachęcamy ludzi do patriotyzmu konsumenckiego. Wszyscy na tym zyskamy, bo zyska na tym polska gospodarka. Musimy więc być solidarni z rolnikami.

Nie jest problemem wciąż za słaba zdolność Polaków do samoorganizacji?

Polacy, w tym rolnicy, umieją się samoorganizować. Ale wciąż to często droga przez mękę, pewne progi są źle ustawione. Musimy to zmienić.

Ciekawym przykładem jest polskie przetwórstwo mleczne, którego liberałowie nie zdołali sprywatyzować, bo były to głównie spółdzielnie. I dziś jest potęgą.

Ta branża też ma swoje kłopoty, ale generalnie ma pan rację: to wzór do naśladowania i przykład, jak lekkomyślnie pozbywaliśmy się wielu sektorów gospodarki, które poszły na zmarnowanie.

Na zmarnowanie poszły też wszystkie PGR, a zwłaszcza okrutnie potraktowano pracujących tam ludzi. Ten rząd jako pierwszy próbuje poważnie te środowiska wspomóc. Można zrobić coś jeszcze?

Można i zrobimy. W ramach Wspólnej Polityki Rolnej chcemy zapewnić znaczące fundusze na tereny popegerowskie, choćby na polepszenie tam systemu komunikacji. Chcemy pomóc także tym, którzy dzisiaj pracują poza rolnictwem.

Wspomniał pan minister kilka razy o Krajowym Planie Odbudowy. Ile z tych 770 mld zł do 2027 r. w sumie trafi na wieś, do rolników?

Trzeba pamiętać, że wieś skorzysta nie tylko ze środków dla niej przeznaczonych w obszarach takich jak inwestycje, transport, edukacja, służba zdrowia, cyfryzacja. Ale są też fundusze wyłącznie na cele na wsi – to będzie 2,2 mld euro, czyli ponad 10 mld zł. Dzięki naszej walce i zrozumieniu premiera dla spraw wsi udało się te kwoty podnieść znacząco w stosunku do pierwszych przymiarek.

Wyzwań nie brakuje – jednym z nich jest retencja, czyli gromadzenie wody. Mówimy o tym głównie, gdy jest susza lub powódź, a trzeba się tym zajmować, gdy nic takiego nie grozi.

Dużymi inwestycjami zajmuje się Ministerstwo Infrastruktury, my wspieramy. Z punktu widzenia Ministerstwa Rolnictwa i Rozwoju Wsi najważniejsza jest melioracja, bo zalane pola to ogromne szkody dla rolników. Zabiegamy o jeszcze większe środki na ten cel.

Bardzo alarmistyczne głosy dochodzą ze strony producentów drobiu – to nasz mocny punkt eksportowy, zbudowane wielkim wysiłkiem i z sukcesem przedsiębiorstwa. Teraz branżę dotknęła ptasia grypa. Jak pan ocenia sytuację?

To zjawisko europejskie – we Francji i Niemczech wygląda to jeszcze gorzej. Tegoroczna grypa ptaków jest największa w Polsce od wystąpienia tej choroby, szczególnie w powiatach mławskim i żuromińskim, gdzie koncentracja tych ferm była bardzo duża. Przez to łatwo dochodziło do przeniesienia zarazy z gospodarstwa na gospodarstwo. By zobrazować skalę problemu, podam jedną liczbę – aż 300 ciężarówek wywoziło truchło pozostałe po wybiciu hodowli na obszarach zakażonych. Hodowcy otrzymują odszkodowania, robimy wszystko, by jak najszybciej mogli odtwarzać hodowle. Ale konieczne są głębsze wnioski. W tej chwili prowadzimy prace nad ustawą, która precyzyjniej ureguluje odpowiedzialność producentów i gmin, także za takie sprawy jak grzebanie truchła w takich sytuacjach. Gminy przecież czerpią korzyści z podatków.

Jest problem z miejscami grzebania truchła?

Był, poradziliśmy sobie z tym, ale musimy wyciągnąć wnioski. Bo choć sama ptasia grypa na razie, także ze względu na pogodę, słabnie, to przecież może pojawić się inna choroba.

Na koniec pytanie osobiste: pan to mieszczuch czy wiejski człowiek?

Wychowałem się w wiejskim otoczeniu, a teraz mieszkam na wsi, jej sprawy są mi bardzo bliskie. Mogę nawet powiedzieć, że wieś kocham. W tym kierunku się kształciłem. Chcę jej służyć.

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl ef27a56980

Hołownia – wielka kreacja

Siłą napędzającą popularność ruchu Szymona Hołowni jest wyniszczająca wojna w polskiej polityce. To dzięki niej Hołownia może się przedstawiać jako zwiastun normalności i stabilizacji. W przeciwnym razie raczej nie znalazłoby się aż 20 proc. wyborców gotowych oddać losy państwa w ręce telewizyjnego gwiazdora oraz stojącej za nim ekipy doradców, ekspertów i sponsorów

KONRAD KOŁODZIEJSKI

W ciągu ostatnich kilku tygodni ruch Polska 2050 Szymona Hołowni wskoczył na drugie miejsce w sondażach i, uzyskując 20 proc. poparcia, wyprzedził Koalicję Obywatelską, odbierając jej tym samym pozycję lidera opozycji. Nie jest to sytuacja bez precedensu, warto bowiem przypomnieć mocno nadmuchane notowania Nowoczesnej Ryszarda Petru sprzed pięciu lat, który widział się już w roli przyszłego premiera, ale ostatecznie nie uzyskał nawet reelekcji w wyborach z 2019 r. I choć w przypadku ruchu firmowanego przez Hołownię nie da się całkowicie wykluczyć powtórki tego scenariusza, to jednak w obecnej sytuacji politycznej wydaje się to mało prawdopodobne.

Nie chodzi tu zresztą tylko o widoczny gołym okiem kryzys Platformy Obywatelskiej, która łatwo oddaje pole nowym inicjatywom, lecz również o zupełnie inną osobowość Hołowni, który w przeciwieństwie do nieporadnego Petru jest bardzo dobrze przygotowany do swojej roli i – jak wiele na to wskazuje – profesjonalnie prowadzony przez grono ekspertów i doradców. Można wręcz powiedzieć, że owi doradcy, czy też raczej animatorzy, ruchu Hołowni, wyciągnęli wnioski z przeszłości. Ryszard Petru okazał się zbyt spontaniczny i to go ostatecznie zgubiło, tymczasem Szymon Hołownia wydaje się kreacją całkowitą – w tym, co robi, nie ma chyba niczego żywiołowego ani nieprzemyślanego. To po prostu skrupulatne odgrywanie swojej roli, do czego zresztą Hołownia – przez całe lata występujący przed kamerami – jest przyzwyczajony.

Mogłoby się wydawać, że Hołownia – postać nieco plastikowa – nie powinien mieć większych szans w starciu z zawodowymi politykami. Tymczasem jest przeciwnie. Jego zwolenników ciągle przybywa.

UKRYCI ZA PLECAMI

Fenomen Hołowni jest o tyle zaskakujący, że w gruncie rzeczy nic bliżej nie wiadomo o jego twórcach. Jestem przekonany, choć nikt chyba nie zrobił dotąd badań na ten temat, że przytłaczająca większość zwolenników ruchu Polska 2050 potrafi rozpoznać jedynie Szymona Hołownię i nie ma najmniejszego pojęcia o innych osobach tworzących jego formację. Co gorsza, potencjalnym wyborcom Hołowni to najwyraźniej nie przeszkadza i są gotowi oddać władzę nad państwem zupełnie – z ich punktu widzenia – anonimowym ludziom.

Oczywiście nie wszyscy z nich są całkiem anonimowi. Ale jedynie mocniej zorientowani w polskim życiu publicznym są w stanie dostrzec wśród działaczy i ekspertów ruchu Polska 2050 Michała Koboskę, wieloletniego redaktora prasy ekonomicz-

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl ef27a56980

nej i liberalnych tygodników, Katarzynę Pełczyńską-Nałęcz, ambasadorkę RP w Rosji z nadania Bronisława Komorowskiego, czy gen. Mirosława Różańskiego, byłego dowódcę generalnego Rodzajów Sił Zbrojnych (będącego w rezerwie od 2017 r.). Pozostali są trudni do rozpoznania nawet dla uważniejszych obserwatorów sceny publicznej. Niektórzy – jak wynika z ich życiorysów – robią czy też robili karierę biznesową w dużych korporacjach zagranicznych, inni to eksperci, niekiedy współpracujący z Fundacją Batorego lub publikujący na łamach „Gazety Wyborczej". Krótko mówiąc, są to ewidentnie ludzie z antypisowskiej strony barykady, bywa, że dość wpływowi i z rozległymi kontaktami, ale znajdujący się w drugim szeregu i przez to (a może raczej dzięki temu) zupełnie nierozpoznawalni dla przeciętnego Polaka.

Jeszcze gorzej jest w przypadku liderów politycznych. Pomijając transfery parlamentarne (najgłośniejsze było przejście do ruchu Hołowni posłanki PO Joanny Muchy), które były konieczne dla zbudowania reprezentacji w Sejmie, w Polsce 2050 nie ma właściwie nikogo z doświadczeniem politycznym. Na czele tworzonych właśnie lokalnych struktur są ludzie poza swoim środowiskiem zupełnie nieznani, co więcej – na stronie internetowej ruchu Polska 2050 – trudno znaleźć cokolwiek na ich temat poza personaliami i zdjęciem. Można oczywiście zrozumieć, że są to osoby bez żadnych osiągnięć politycznych, ale trudno uwierzyć, że nie mają również żadnego dorobku życiowego ani zawodowego. Trochę strach pomyśleć, że jeśli Hołowni powiedzie się w wyborach, to te osoby będą być może decydować o sprawach wagi państwowej.

ZAPLANOWANA SPONTANICZNOŚĆ

Oczywiście to, co bardziej rezolutna część społeczeństwa może uważać za zagrożenie, dla innej grupy wyborców uchodzi najwyraźniej za atut. Kompletna nierozpoznawalność działaczy i większości ekspertów ruchu Hołowni przyjmowana jest za dowód ich politycznego „dziewictwa" i braku powiązań z obecną sceną polityczną. I choć lokalni działacze – a przynajmniej ich część – to chyba rzeczywiście debiutanci, trudno jednak byłoby to samo powiedzieć o wielu ekspertach, którzy od lat funkcjonują w szeroko rozumianych środowiskach liberalnych.

Wydaje się, że mamy tu do czynienia z dość przemyślanym zabiegiem. Formacja wykreowana przez nie do końca czytelne grono liberalnych przeciwników PiS i biznesmenów posługuje się na zewnątrz politycznymi debiutantami i amatorami, aby stworzyć wrażenie spontanicznego, oddolnie powstającego ruchu społecznego. Zresztą do pewnego stopnia ruch Hołowni może być rzeczywiście spontaniczny, trudno bowiem sądzić, aby przystępujący do niego lokalni działacze kierowali się czyimiś poleceniami – przeciwnie, większość z nich zapewne wierzy, że rzeczywiście tworzy nową jakość w polskiej polityce (choć z pewnością nie brakuje również, jak wszędzie, zwykłych karierowiczów). W rzeczywistości jednak przystępują do ruchu, który zapewne nie powstał wskutek żywiołowego impulsu, lecz jest – jak wiele na to wskazuje – starannie zaplanowanym projektem politycznym.

Hołownia odgrywa w tym projekcie kluczową rolę. Nie wiadomo, na ile jest rzeczywiście podmiotowy, pewne jest jednak, że bez niego – osoby postrzeganej jako niepowiązana z układem politycznym i zarazem publicznie znanej – Polska 2050 nie zdołałaby wzbudzić szerokiego zainteresowania. Hołownia, z którym wielu ludzi wiąże nadzieję na zmianę w polskiej polityce, jest gwarantem wiarygodności nie tylko projektu, który firmuje, ale też wszystkich, zwykle szerzej nieznanych ludzi, którzy za nim stoją. Przywodzi to trochę na myśl słynne zdjęcia z Lechem Wałęsą, które kandydaci Solidarności umieszczali na swoich plakatach wyborczych w 1989 r. Wtedy – po latach komunistycznej cenzury – było to zrozumiałe, jednak dziś zaciąganie takiego kredytu zaufania może już wzbudzać mieszane uczucia.

DZIECKO WOJNY

Jednak zwolennicy Szymona Hołowni udzielają takiego kredytu jemu i stojącym za nim ludziom. Dlaczego? Pewnie dlatego, że blisko 20 proc. Polaków wspierających ruch Polska 2050 ma najwyraźniej dość dzisiejszej klasy politycznej – i to po obu stronach barykady. Niewielu jest na tyle dociekliwych, aby przyjrzeć się lepiej ludziom Hołowni i dostrzec, że nie są to żadni rycerze przybywający na białych koniach, lecz kolejna formacja antypisowska, która zręcznie próbuje zająć miejsce po chylącej się ku upadkowi PO. Żeby to jednak zrobić, musi najpierw przekonać potencjalny elektorat, że nowa formacja jest spoza układu i z obecnymi politykami nie ma nic wspólnego. To tłumaczy brak powszechnie znanych osób wśród działaczy i ekspertów ruchu (nieznani, znaczy nieumoczeni).

Jedyną twarzą ruchu jest sam Szymon Hołownia, który rozmawia z ludźmi głównie za pośrednictwem mediów społecznościowych, co również nie jest przypadkiem – wiadomo bowiem, że stacje telewizyjne i prasa drukowana mają swoje sympatie, a Hołownia tych sympatii przecież oficjalnie nie ma. Jest – jak sam mówi – „liderem propozycji", a nie opozycji i nie stoi po żadnej stronie sporu, kierując się wyłącznie dobrem kraju i zdrowym rozsądkiem. Czy rzeczywiście?

Znaczna część jego wystąpień jest uderzeniem w PiS. Hołownia zręcznie wykorzystuje antypisowskie nastroje części społeczeństwa i próbuje na tym tle rywalizować z PO o elektorat, dość zresztą skutecznie. Stara się jednak unikać skrajności. Dobrze widać to na przykładzie jego stosunku do Kościoła. Niedoszły dominikanin Hołownia jest dziś antyklerykalny, ale tłumaczy ten antyklerykalizm swoją reakcją na zgorszenie w Kościele, przedstawiając się jako głęboko zaniepokojony i rozczarowany katolik. Ucieka również od kwestii tożsamościowych, obiecując w zamian stabilizację, uspokojenie nastrojów i bezpieczną przyszłość. Podobnie myśli wielu wyborców, przede wszystkim tych, którzy nie mają jasno sprecyzowanych poglądów i nie przywiązują się do żadnej partii oraz tych, którzy mają już dość silnie spolaryzowanej sceny politycznej.

Mało kto spośród potencjalnych wyborców Hołowni zdaje sobie jednak sprawę z tego, że to właśnie ich idol jest dziś największym beneficjentem wyniszczającej wojny w polskiej polityce. Gdyby nie ona, zapewne nie znalazłoby się aż 20 proc. Polaków gotowych oddać swoje losy w ręce telewizyjnego gwiazdora oraz nieznanej ekipy jego doradców, ekspertów i sponsorów.

Wygląda więc na to, że od czasu Stana Tymińskiego, który wszedł do drugiej tury wyborów prezydenckich w 1990 r., aż tak dużo w Polsce się nie zmieniło. Ciągle jest sporo takich, którzy wolą zaufać nieznajomym. Należałoby to chyba już uznać za poważny powód do niepokoju.

eprasa.pl ef27a56980

Campus Trzaskowskiego

Prezydent Warszawy w malowniczej scenerii zapowiada letnie rozmowy o Polsce. I zaprasza na Uniwersytet Warmińsko-Mazurski w Olsztynie. Chce przekonać młodych, że to PO stworzy im lepszą przyszłość. Problem w tym, że lokalni działacze PiS nie mogli liczyć na taką przychylność lokalnych władz

Oficjalna prezentacja projektu Campus Polska Przyszłości. Olsztyn 5 maja 2021 r.

Fot. Artur Szczepański/Reporter

EDYTA HOŁDYŃSKA

Kampania prezydencka, lipiec ubiegłego roku. Prezydent Olsztyna Piotr Grzymowicz uśmiechnięty fotografuje się na tamtejszej starówce z kandydatem na prezydenta Polski. I mówi: „Rafał Trzaskowski doskonale rozumie nasze problemy. Problemy mieszkańców miast, gmin i miasteczek. Jestem przekonany, że jako prezydent Polski stanie na wysokości zadania. Będzie budować lepszą Polskę. Rafale, prowadź nas do sukcesów".

Tak w pełnym słońcu Grzymowicz zagrzewał mieszkańców stolicy Warmii i Mazur do wyborów. Na wiece PiS lokalny włodarz nie przychodził.

Dziś to prezydent Warszawy zaprasza do Olsztyna na rozmowy o Polsce. Chce przekonać do siebie młodych, mówiąc o solidnej edukacji zapewniającej godną pracę, równości mężczyzn i kobiet, czystym powietrzu. Młodzi, właśnie w wyborach prezydenckich, częściej wybierali Trzaskowskiego. O ich poparcie postanowił więc zawalczyć solidniej.

Szumnie zapowiada projekt Campus Polska Przyszłości, sierpniowy tygodniowy pobyt tysiąca uczestników w Olsztynie, gdzie wokół Jeziora Kortowskiego zlokalizowany jest kampus studencki Uniwersytetu Warmińsko-Mazurskiego. Nocleg i wyżywienie sfinansują uczestnikom Fundacja Konrada Adenauera, Robert Schuman Institute, International Republican Institute (IRI).

POLITYCZNA REKRUTACJA

Jerzy Szmit, szef olsztyńskich struktur PiS, w swoim liście do rektora UWM prof. Jerzego Przyborowskiego i prezydenta Olsztyna Piotra Grzymowicza zarzuca, że rektor zezwala na działalność polityczną na terenie uczelni tylko jednej opcji, a działalność ta będzie finansowana z budżetu uczelni i gminy Olsztyn.

Prezydent Grzymowicz odpowiada, że Jerzy Szmit się pomylił, uczelnia na wydarzeniu skorzysta finansowo i wizerunkowo, tak jak Olsztyn.

– Pragnę uspokoić autora listu [Jerzego Szmita – przyp. red.], że zgodnie z intencjami pomysłodawców Campus Polska Przyszłości, który ma być zorganizowany w Olsztynie na przełomie sierpnia i września br. przez Ruch Wspólna Polska i Stowarzyszenie Inspiracje Młodych, nie będzie wydarzeniem politycznym, a już z pewnością partyjnym, co zresztą legło u podstaw powołania samego Ruchu. Weryfikatorem udziału w Campusie nie będą też z góry określone poglądy polityczne, a wręcz przeciwnie – im więcej będzie różnorodności światopoglądowej, tym dyskusje i warsztaty będą ciekawsze – odpowiedział Piotr Grzymowicz.

eprasa.pl ef27a56980

Te zapewnienia Grzymowicza u Jerzego Szmita wywołują tylko gorzki uśmiech. – Dlaczego w ogóle składa je prezydent Olsztyna, a nie organizator, czyli Rafał Trzaskowski? Czy prezydent nie wchodzi tutaj w buty rzecznika prasowego ruchu Trzaskowskiego? – pyta Szmit.

Na nasze pytanie, kto jest autorem pomysłu, by wydarzenie odbywało się właśnie na terenie miasteczka akademickiego w Olsztynie, prezydent nie odpowiedział.

A na imprezę zaprasza, obok działaczy PO, szefowa młodzieżówki Europejskiej Partii Ludowej Lidia Pereira: „Jeżeli leży Ci na sercu los Polski i Europy, koniecznie przyjedź do Olsztyna!". Posłanka do Parlamentu Europejskiego wskazuje na „połączenie formalnej współpracy i nieformalnych kontaktów", którego efektem ma być budowanie politycznych więzi i wzmacnianie rozwoju państw UE. „Co to oznacza? Lepsze warunki do życia, edukacji czy prowadzenia biznesu".

– Rafał Trzaskowski to wiceprzewodniczący Platformy Obywatelskiej. Wiadomo, że jego ruch Wspólna Polska to wstęp do – najpierw – przejęcia „rządu dusz" na opozycji, a następnie wygranie wyborów. Campus będzie doskonałym źródłem rekrutacji młodych działaczy dla przyszłej partii Trzaskowskiego – stawia tezę Szmit.

Trzaskowski powiedział, że chce znaleźć młodych ludzi, którzy pragną się angażować w życie publiczne i szukać odpowiedzi na najważniejsze pytania. Tematy, jakie będą poruszane na trwającym tydzień Campusie Polska Przyszłości, mają dotyczyć zmian klimatycznych, edukacji czy perspektyw młodych ludzi.

– Warto pamiętać, że w Polsce obowiązują, choć zupełnie archaiczne, ale jednoznaczne, przepisy zabraniające prowadzenia agitacji politycznej w szkołach. My w Olsztynie od wielu, wielu lat wiemy, że na UWM ten zakaz działa tylko w stosunku do środowisk prawicowych, konserwatywnych i patriotycznych – mówi nam Szmit. Piotr Grzymowicz, jego zdaniem, od kilku lat jest w Olsztynie liderem totalnej opozycji. – Przy każdej okazji atakuje rząd Prawa i Sprawiedliwości, ale też wspiera ataki innych na naszą formację – dodaje.

Razem z Czesławem Jerzym Małkowskim, opowiada Szmit, rządzą Olsztynem od ponad 20 lat, tworząc lokalną partię władzy. – Na co dzień mamy do czynienia z jego hipokryzją: jedną opcję polityczną serdecznie wita i zaprasza, wspiera, drugą – gromi i nieustannie deprecjonuje. To ta sama szkoła co szkoła pani Dulkiewicz, panów Jaśkowiaka, Brejzy, Trzaskowskiego, Bruskiego czy innych polityków lokalnych, którzy chowając się za określeniem „samorządowiec", tworzą gminne dyktatury, prowadzące walkę polityczną z polskim rządem. To stało się ich głównym zajęciem.

> Campus Polska Przyszłości będzie doskonałym źródłem rekrutacji młodych działaczy dla przyszłej partii Rafała Trzaskowskiego – stawia tezę Jerzy Szmit, szef olsztyńskich struktur PiS. I przypomina o zakazie działalności politycznej na uczelniach

Piotr Grzymowicz odpierał te zarzuty, przypominając, że w instytucji podległej miastu wynajął lokalnym strukturom PiS salę na spotkanie z prezesem Jarosławem Kaczyńskim i premierem Morawieckim. Jerzy Szmit dodaje jednak, że stawki były wybitnie komercyjne, a uzyskanie zgody wymagało wielu wysiłków.

JAKA UCZELNIA

Wszyscy są zgodni, że dla Olsztyna obecność i funkcjonowanie UWM ma ogromne znaczenie. Zaczynając od tego, że kadra uniwersytetu to ponad 3 tys. osób zatrudnionych na stałe, opłacanych z budżetu państwa, a zatem o ustabilizowanej pozycji życiowej. Do tego kilkanaście tysięcy studentów żyjących w mieście to niezwykle istotna część społeczności.

– Niestety większość olsztyńskich maturzystów wybiera się na studia do innych ośrodków, głównie do Gdańska i Warszawy. Tak jest od wielu lat. O wyborze uczelni decyduje bardzo wiele czynników, lokalizacja miasteczka akademickiego jest mniej ważna niż renoma uczelni, kadry profesorskiej, perspektywa dobrej pracy dla absolwentów, rzeczywiste osiągnięcia naukowe czy zasoby materialne rodziców – stwierdza gorzko Szmit.

Dlaczego Jerzy Szmit nie dostrzega w sierpniowej imprezie szansy dla regionu, miasta i uniwersytetu, jaką widzi Grzymowicz? Uważa, że lokalizacja wydarzenia w miasteczku uniwersyteckim UWM jedynie zaszkodzi. Zostanie do niego przyklejona łatka Campusu Trzaskowskiego, co nie będzie służyło budowaniu pozycji uczelni dbającej o swój akademicki wizerunek.

Ale dla Grzymowicza promocyjna korzyść z tytułu organizacji Campusu jest oczywista, przy czym, jak zaznacza, Olsztyn nie ponosi z tego tytułu żadnych nakładów finansowych. I przypomina, iż nikt nie stwarzał problemów w sprawie udostępnienia jednego z obiektów Olsztyńskiego Parku Naukowo-Technologicznego na konferencję Prawa i Sprawiedliwości w 2018 r.

Na propozycję Szmita, czy podobne spotkanie można by zorganizować na UWM w celu dyskusji o rozdysponowaniu funduszy unijnych i kształtu Krajowego Planu Odbudowy, odpowiada ironicznie, że na podstawie dotychczasowej praktyki partii rządzącej ich wydanie jest już dalece rozplanowane na cele znane tylko członkom Prawa i Sprawiedliwości.

– Może pora znieść anachroniczny i szkodliwy zakaz działalności politycznej na uczelniach wyższych. Dlaczego podstawowe prawa obywatelskie studentów i pracowników są ograniczane? Dlaczego na uniwersytecie nie można rozmawiać o polityce? Takie zakazy prowadzą zawsze do tego, co mamy na UWM – jednym wolno politykować, innym nie wolno – podsumowuje Szmit.

eprasa.pl ef27a56980

Dzięki średniowiecznym uniwersytetom przyszły wieki największego rozkwitu, dlatego teraz też chcemy zacząć od przestrzeni akademickiej, intelektualnej i duchowej. Zainspirować szerszą odnowę

Uczelnia samodzielnego myślenia

Z Tymoteuszem Zychem, rektorem nowego akademickiego ośrodka Collegium Intermarium i wiceprezesem zarządu Instytutu na rzecz Kultury Prawnej Ordo Iuris, rozmawia Goran Andrijanić

Ordo Iuris uruchomiło Collegium Intermarium. Uczelnia rozpocznie zajęcia tej jesieni i jest, jak państwo wyjaśnili, odpowiedzią na kryzys szkolnictwa wyższego w Europie i świecie. Co to za kryzys?

Tymoteusz Zych: Kryzys ten polega przede wszystkim na tym, że mamy do czynienia z porzuceniem celów i sensu, dla których uniwersytet został powołany, porzuceniem powodu jego istnienia. Instytucja uniwersytetu istnieje po to, żeby była przestrzenią dążenia do prawdy i wolnej, racjonalnej debaty opartej na rozumie. Niestety, to zostało w wielu miejscach na świecie zagubione, także w naszym kraju. Mamy do czynienia z całkowitym relatywizmem, z poczuciem bezsensu całego procesu nauczania i bezsensu badań naukowych. Jednocześnie masowość wykształcenia na uczelniach objawia się jego niskim poziomem, brakiem relacji między wykładowcą a studentem i anonimowością całego procesu nauczania.

W wielu miejscach uniwersytety stały się bardziej szkołami indoktrynacji niż instytucjami, które powinny być przestrzenią racjonalnej debaty, poszukiwania prawdy i dobrych rozwiązań, odpowiedzi na trudne pytania. Istnieje też tendencja, by usuwać poglądy tradycyjne i konserwatywne poza przestrzeń uniwersytetu. To jest komedia. Klasyczny uniwersytet, w czasach, które są dziś przez niektórych przedstawiane jako „ciemne", opierał się na tym, że jakakolwiek próba naukowego dojścia do odpowiedzi wymagała zawsze przedstawienia wszystkich argumentów „za" i „przeciw". Nawet jeżeli ktoś się nie zgadzał z argumentami innej strony, aby wnioskowanie w dyskusji akademickiej było prowadzone prawidłowo, dopuszczał do prezentacji tych argumentów – a nawet uważał ich ocenę za wymóg prawidłowego warsztatu naukowego. Tak wyglądał dawny uniwersytet i tak powinien wyglądać dziś.

Czy przeniesienie tradycyjnych wartości klasycyzmu z edukacji publicznej do prywatnej nie jest rodzajem ich gettoizacji?

Nie. Celem tej uczelni nie jest bynajmniej zmonopolizowanie życia naukowego w przestrzeni Międzymorza ani w Polsce. To nie ma być jedyna uczelnia, na której mają być głoszone poglądy, powiedzmy tak, konserwatywne. Podstawowym celem, dla którego ona powstała, jest stworzenie sieci. Sieci ludzi, którzy nie mają być wyłącznie pracownikami Colegium Intermarium. Oni mogą prowadzić w ramach uczelni pojedyncze zajęcia albo badania, a być aktywnymi w tym samym czasie także w innych miejscach. Ta koncepcja jest czymś kompletnie innym od getta – chcemy budować model, który będzie inspirować innych. Chodzi o to, żeby tworzyć sieć, poprzez wymianę wzmacniać siłę myślenia. I nie chodzi mi tylko o myślenie konserwatywne. Ta uczelnia jest otwarta dla wszystkich, którzy nawiązują do prawa rzymskiego, do tradycji greckiej. W ogóle dla ludzi myślących krytycznie, którzy mają różne poglądy.

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl ef27a56980

Dzisiaj, niestety, nowy model uniwersytetu to szkoła, gdzie z góry wiadomo, jaka jest racja, którą się wbija ludziom do głów, zamiast uczyć ich samodzielnego myślenia. Zamiast pokazać, że ta tradycja, która została wypracowana przez pokolenia, nie jest przypadkiem, nie jest efektem opresji silniejszych wobec słabszych, ale jest efektem doświadczenia i mądrości, zdobytych przez stulecia.

Ideą naszej uczelni jest powrót do oryginalnego etosu uniwersytetu i odrzucenia błędów, a nie tworzenie jakiegoś getta. Chcemy stworzyć sieć ludzi, organizować konferencje naukowe, zapraszając jak największą liczbę gości. Chcemy, żeby jak najwięcej wybitnych wykładowców z krajów Międzymorza prowadziło swoje zajęcia na Collegium Intermarium. Już dzisiaj skupiliśmy wokół uczelni szeroką kadrę wybitnych myślicieli z naszego regionu i prawników, w tym także praktyków. Wszystko po to, żeby w innych miejscach, gdzie pracują, mogli też „zarażać" ideą naszego uniwersytetu.

Jakich studentów chcą państwo kształcić?

Po pierwsze, na Collegium Intermarium będą prowadzone różne studia. Już są uruchomione prawnicze magisterskie i podyplomowe, studia LL.M. w języku angielskim adresowane do doświadczonych prawników i urzędników z innych krajów Międzymorza ze świetnymi wykładowcami.

W najbliższym roku chcemy pójść dalej. Pracujemy nad tworzeniem kierunku pedagogiki klasycznej, bo to pozwoli na kształtowanie kadry, która wychowa następne pokolenia. Ten kierunek będzie dawał możliwość specjalizacji w edukacji domowej. Chcemy w przyszłości stworzyć też kierunki architektury i urbanistyki klasycznej. Nie chcemy kształtować tylko menedżerów, którzy będą pracowali dla zagranicznych korporacji, ale też przedsiębiorców.

Widzimy, że są w tych przestrzeniach wielkie luki. Chodzi o wykształcenie podmiotowo myślącej kadry prawniczej w instytucjach międzynarodowych, ale i krajowych. Ciągle się mierzymy z kadrami z czasów PRL. Brakuje nam ludzi, którzy mogą prezentować nasze państwa w organizacjach międzynarodowych.

Tak samo widzimy ogromną lukę na poziomie europejskim, jeśli chodzi o architekturę klasyczną. Pomysł utworzenia tego kierunku spotyka się z ogromnym poparciem i sympatią. Na wydziałach architektury ludzie, którzy myślą w sposób klasyczny, są usunięci na margines.

Luką jest także pedagogika w odniesieniu do edukacji domowej. Ale nie chcemy się ograniczać tylko do edukacji domowej, chcemy odnowić koncepcję pedagogiki klasycznej.

Tutaj po prostu widzimy dziury i od nich zaczynamy, tworząc uniwersytet do kształcenia ludzi kreatywnych, którzy będą budowali nasz region, jako region podmiotowy, który nie jest gospodarką zależną od Zachodu czy Wschodu. W pewnym, szerszym sensie, mówimy o projekcie odnowy cywilizacyjnej. Dzięki średniowiecznym uniwersytetom przyszły wieki największego rozkwitu, dlatego teraz też chcemy zacząć od przestrzeni akademickiej, intelektualnej i duchowej. Zainspirować szerszą odnowę.

Międzymorze jako koncept kulturowy, a nie tylko polityczny?

Tak. To, co cechuje nasz region, polega na tym, że często zwykli ludzie są bardziej rozsądni niż w zachodniej Europie. Mają naturalne poczucie zdrowego rozsądku zakorzenione w doświadczeniu i tradycji. Ale jednocześnie mają kompleks Zachodu. Czas z tym zerwać.

To, co łączy państwa Międzymorza, to po pierwsze, wspólne doświadczenie historyczne. Po drugie, znacznie większy sceptycyzm wobec kontrowersyjnych aspektów projektu oświeceniowego albo postoświeceniowego. Wiąże się to z tym, że nasze narody nie miały swojego własnego państwa, swoich instytucji i dlatego nie zostały tutaj zaszczepione niektóre błędy. Na przykład traktowania społeczeństwa jako czegoś, co można dowolnie zmieniać albo kształtować za pomocą odgórnych decyzji i nakazów. To jest błąd, który się pojawił pod koniec XVIII w. i w XIX w. w dużej części krajów Zachodu. Ten zdrowy rozsądek i zdrowe podejście do eksperymentów społecznych i nowego zrozumienia człowieka i państwa jest plusem naszej sytuacji historycznej. Minusem jest dziś brak szerokiej elity tego regionu, może są jakieś wyjątki. Nie ma elity, która byłaby w stanie systematyczne przeciwstawiać się presji eksperymentów społecznych, które widzimy i dziś. Większość była wykształcona w modelu zachodnim. Nie w oparciu o własne refleksje, ale raczej poprzez powielanie tego, co się dzieje na Zachodzie lub – wcześniej – na Wschodzie. Chcemy być samodzielni, stworzyć szkołę samodzielnego myślenia, która będzie zaszczepiana w innych krajach Międzymorza. Przez wykładowców, ale i przez studentów.

Uczelnię otwartą dla ludzi o różnych światopoglądach?

Próbują nas zaszufladkować, tak jak próbują zaszufladkować Ordo Iuris. My jako uczelnia jesteśmy świadomi wszystkiego, co w konserwatywizmie jest godne naśladowania i jest dobre, a dziś próbuje się to wyrzucać na margines. Nie chcemy uciekać od tego określenia, że jesteśmy konserwatystami, ale przecież ta etykieta jest tak ogólna... Nie chcemy zresztą żadnej etykiety, chcemy komunikacji z ludźmi myślącym i otwartymi na dialog.

Dzisiaj tak naprawdę mamy dwie strony sporu, który się toczy w społeczeństwie. Z jednej strony są ludzie, którzy przyjęli dogmaty ideologiczne i nie chcą z nimi dyskutować, dogmaty skrajnego lewicowego liberalizmu i kulturowego marksizmu. I po drugiej stronie mamy całą resztę. Ludzi o wartościach tradycyjnych, w Polsce szczególnie katolickich. Ale mamy i innych, którzy niekoniecznie są chrześcijanami, ale chcą myśleć i wiedzą, że dogmaty ideologiczne nie są czymś bezwzględnym. Nie podoba im się to, że w ostatnich latach coraz bardziej znika wolność debaty. Chodzi o ludzi zakorzenionych, wrażliwych na wolność, na rozum, otwartych na debatę i takich, którzy nie odrzucają wszystkiego, co było wcześniej, jako złego. Każdego, kto ma takie intuicje, zapraszamy do tworzenia tego projektu razem z nami. I na poziomie kadry, i na poziomie studentów. To jest projekt otwarty, skierowany do ludzi, którzy niekoniecznie stuprocentowo zgadzają się z każdym postulatem Ordo Iuris.

eprasa.pl ef27a56980

Tęczowy szantaż w partii Razem

JAKUB AUGUSTYN MACIEJEWSKI

Wzrost wpływów tęczowych radykałów narastał od protestów podczas aresztowania Margot, a później przy Strajku Kobiet. Partia Razem oficjalnie popierała demonstrantów, ale nie spodziewała się, że aktywiści, czasem nawet nieletni, będą potrafili wpływać na decyzje samych parlamentarzystów. O zachwianiu proporcji mogliśmy się dowiedzieć podczas awantury o Urszulę Kuczyńską, asystentkę społeczną posła Macieja Koniecznego, która w wywiadzie dla „Wysokich Obcasów" powiedziała: „Mam wątpliwości, czy dążenie do zamieniania »kobiet« na »osoby z macicami« [...] to postawa lewicowa". Kuczyńska jest doświadczoną feministką, z wykształcenia jest lingwistą i ekonomistą. Któż mógłby się spodziewać, że w wyniku internetowego buntu nastoletnich aktywistów poseł Konieczny podziękuje jej za współpracę, i to przecież za tak niewinne słowa? Jednak dla młodzieży LGBT, zwłaszcza tej spod znaku „T", czyli transaktywistów, niewinność trzeba dopiero udowodnić.

Troje młodych ludzi udało się do biura poselskiego z awanturą i z żądaniem odwołania Kuczyńskiej. – Presja na polityków partii Razem działa na zasadzie moralnego szantażu – mówi tygodnikowi „Sieci" Urszula Kuczyńska. – Młodzi aktywiści, którzy przyszli do posłów domagać się odwołania mnie z funkcji asystenta społecznego, twierdzili, że jestem gorsza od Stalina i że mam krew na rękach.

Partia Razem jako formacja lewicowa ma w programie wiele propozycji socjalnych i pracowniczych, takich jak programy mieszkaniowe, większe opodatkowanie najbogatszych czy 35-godzinny tydzień pracy. Jednak w ostatnich miesiącach ugrupowanie Adriana Zandberga zdominowali tęczowi aktywiści i choć kierownictwo zaczyna się ich wstydzić, to młodzi nie zamierzają tak łatwo odpuszczać

Tak jest zazwyczaj w przypadkach dyskusji na temat mniejszości seksualnych. Działacze używają opcji atomowej – wspominają o samobójstwach, które mają być powodowane „mową nienawiści", czyli de facto jakąkolwiek krytyką. Podobnie zrobił Bart Staszewski, gdy wizytę u prezydenta Andrzeja Dudy wykorzystał do rzucenia na stół zdjęć dzieci, które faktycznie odebrały sobie życie – aktywista opowiadał potem o tym z dumą w internecie.

Teraz posłowie partii Razem zostali zaatakowani przez członków własnej formacji, bo Kuczyńska nie chciała, by Strajk Kobiet był uznawany za Strajk Kobiet i Osób z Macicami. – To jest manipulacja – rzuca stanowczo lingwistka. – Jeśli moje komentarze dotyczące nazewnictwa mają być powodem myśli samobójczych, to nie potrzeba tu refleksji polityka, tylko jasnego postawienia granic manipulacji, z jaką ma się do czynienia – tłumaczy.

Dla radykalnych działaczy LGBT Kuczyńska jest TERF-em (ang. trans-exclusionary radical feminist), czyli feministką dyskryminującą osoby trans. To wyzwisko funkcjonuje wobec wielu postaw feministycznych, choć – jak podkreśla była asystentka posła Koniecznego – lewica powinna walczyć o prawa osób trans, ale w sposób mądry.

Dlaczego poważny polityk, poseł na Sejm RP, postawił garstkę protestujących młodych ludzi ponad doświadczoną, świetnie wykształconą i aktywną kobietę? – Zdaje się, że zabrakło tu dojrzałości, w której polityk stawia granicę emocjonalnemu wzmożeniu i mówi: dość, przesadzacie, trzeba to zrobić inaczej. Zabrakło odwagi, by oprzeć się szantażowi – tłumaczy Kuczyńska, która nadal pozostaje aktywna społecznie, ale już poza strukturami partii Razem.

eprasa.pl ef27a56980

RAZEM W SZUFLADZIE Z OSZOŁOMAMI

Partia Razem wpadła w tęczową pułapkę i doświadczeni politycy zdają sobie z tego sprawę. Posłowie SLD (dziś Nowej Lewicy) o sprawach LGBT wyrażają się w duchu ogólnoludzkich wartości („szanujemy wszystkich", „lewica jest tolerancyjna"), a w sprawie konkretów odsyłają do parlamentarzystów z Razem.

– Niech sobie „razemki" pobiegają po ulicy z tęczową flagą – drwi w rozmowie z tygodnikiem „Sieci" polityk z otoczenia Włodzimierza Czarzastego.

Lewica wybiła się już na niezależność, usiadła do stołu z rządem Zjednoczonej Prawicy, zaczęła twardo negocjować Krajowy Plan Odbudowy. Jest więc zrozumiałe, że politycy nie chcą dać się zamknąć w tęczowym obozie z radykałami, którzy nie tylko nie dadzą im społecznego poparcia, lecz także wystraszą umiarkowany elektorat.

– Partia Zandberga została przejęta – uśmiecha się polityk Nowej Lewicy, bo choć jest z nimi w klubie poselskim, to przecież Razem jest mile widziane jako słabszy partner, którego da się łatwo zaszufladkować.

– Struktury regionalne naszej partii opierają się w dużej mierze na młodych ludziach, to oni są chętni do pracy społecznej, potrafią poświęcić swój wolny czas – opowiada jedna z działaczek Razem. Nie mówi wprost, że zwartą społeczność w tej grupie stanowią młodzi homoseksualiści, dla których ważniejsze od socjalnych haseł jest kwestia seksualności. – My też jesteśmy za równością, ale ostatnio nasi młodzi zwolennicy mówią tylko o tym – żali się członkini partii ze Śląska.

> Kierownictwo Razem zaczęło prowadzić podwójną grę: przed partyjnymi dołami ukrywa, że nie chce już nieść wysoko tęczowego sztandaru, a przed mediami ukrywa, że większości młodych członków chodzi już tylko o LGBT

TYLKO NIE MÓW NIKOMU

Kierownictwo Razem zaczęło prowadzić podwójną grę – przed partyjnymi dołami ukrywa, że nie chce już nieść wysoko tęczowego sztandaru, a przed mediami ukrywa, że większości młodych członków chodzi już tylko o LGBT. Tęczowy dżinn raz wypuszczony z lampy nie chce już do niej wracać. Co więcej, wielu młodych transaktywistów jest zafascynowanych kolektywem Stop Bzdurom, czyli słynnym zadymiarzem Margot. To z mediów społecznościowych tej grupy wychodziło wezwanie do wyrzucenia Kuczyńskiej czy zastraszenia feministek sprzeciwiających się określeniu „osoby z macicami". Czy Michał Szutowicz ma więc pozostać autorytetem dla ludzi z jednej z parlamentarnych partii? Gdy otoczenie Margot publikuje jakieś żądania w mediach społecznościowych, młodzi lewicowcy potrafią zaatakować – na Twitterze, na Instagramie, ale też pójść do biura poselskiego wyegzekwować swój postulat. To dlatego Kuczyńska musiała się pożegnać z partią – w dużej mierze w wyniku ataku anonimowych dzieciaków, uznających się za osoby transseksualne.

Nie wiemy, jak politycy wyjaśnią swoim młodszym członkom, że gra o władzę wymaga kompromisów i schowania radykalnych haseł. Wiemy jednak, że partii Razem będzie coraz trudniej ukryć, że z całego zestawu socjalnych i antykapitalistycznych haseł najżywotniejszą ideą okazały się seksualne fantazje młodych aktywistów.

eprasa.pl ef27a56980

Szedłem z podniesioną głową

Trzeba być odpowiedzialnym. Ludzie nam zaufali. Wybrali mnie po raz drugi, potem w wyborach parlamentarnych także ponownie wskazali PiS, to zobowiązuje. Polacy mają prawo rozliczać nas z naszych działań. Jest szansa na to, byśmy zrobili jeszcze sporo dobrego

Z prezydentem RP Andrzejem Dudą rozmawia Marcin Wikło

Panie prezydencie, 10 maja odbyła się premiera książki „Operacja Duda 2020. Tajemnice kampanii". Opisuję w niej wydarzenia sprzed roku. Czy ten kampanijny czas wydaje się dziś panu bardzo odległy?

Prezydent RP Andrzej Duda: Bardzo, ale co nieco jeszcze pamiętam. Przypominam sobie na przykład, że widziałem pana w dudabusie [śmiech]. Nawet się zastanawiałem, czy nie powinienem zdjąć marynarki i podwinąć rękawów, by wyglądać tak, jak na zdjęciu z okładki. Nie ukrywam, że patrzę na nie z pewną nostalgią, wspomnienia wracają. To już rok, aż nie chce się wierzyć.

Jaki to był rok dla pana, dla Polski? Czy pan też ma wrażenie, że czas ostatnio bardzo przyspieszył?

To był bardzo trudny rok. Chyba nikt nie przypuszczał, że rozwój sytuacji epidemicznej sprawi, iż kolejnych świąt wielkanocnych nie będziemy mogli spędzić w gronie rodzinnym. Restrykcje sanitarne w wielu przypadkach to uniemożliwiły, mnie również. Nie mogłem wspólnie z rodzicami usiąść do stołu w wielkanocną niedzielę. Nie sądziłem, że wirus będzie z nami tak długo i że będzie tak uciążliwy. Wielu zadań, które w normalnym czasie bym wykonał, też nie dało się zrobić. Czas nieprzewidywalny, pełen niepokoju. Powiem wprost – czarny rok. Tak bardzo chcielibyśmy, by to wiosenne słońce, które od kilku dni nam towarzyszy, zagościło na dobre i pozwoliło nam już o tym złym czasie zapomnieć. Bo to nie są dobre wspomnienia.

10 maja ubiegłego roku miały się odbyć pierwotnie wybory prezydenckie, ale do nich nie doszło. Ta data jest też podawana jako pewna cezura czasowa konfliktu, który rozgorzał wewnątrz obozu Zjednoczonej Prawicy. Czy pan, będąc wówczas w kampanijnym pędzie, miał świadomość, jak bardzo zaostrza się polityka między koalicjantami?

Tak. Widziałem to bardzo dobrze i nie da się ukryć, że to także na mnie oddziaływało. W tym sensie, że było pełno niepokoju w moim otoczeniu, w sztabie wyborczym. Czuć było w powietrzu, że są problemy. Mam nawet wrażenie, że było ich więcej, niż mogło się wydawać komentatorom. To nie były tylko utarczki pomiędzy liderami tworzącymi koalicję, ale także spory w tych partiach. Widziałem i odczułem efekty gier różnych frakcji, interesów politycznych wewnątrz Prawa i Sprawiedliwości. To, że to zwycięstwo stało się jednak faktem, to w głównej mierze zasługa wąskiego grona ludzi, którzy tego bardzo chcieli, bo rozumieli, że to jest droga do dalszej naprawy Polski. To więc był nasz wspólny sukces, ale nie powiedziałbym, że został łatwo osiągnięty.

Znam pana zdanie na temat wyborów, które miały się odbyć 10 maja w formule wyłącznie korespondencyjnej. W książce mówi pan: „Nie byłem zainteresowany zwycięstwem w takich wyborach, które były organizowane nie przez Państwową Komisję Wyborczą". Czy czuł pan wówczas polityczne naciski, by jednak do tej formuły dążyć?

Na mnie nie było żadnych nacisków. Bardziej odczuwałem pewien impas sytuacyjny. Widziałem wyraźnie konflikt dwóch interpretacji tego tematu. Z jednej strony krytyczne podejście premiera Jarosława Gowina, a z drugiej odmienne od niego zdanie kierownictwa PiS. To było spore tarcie i każda ze stron miała swoje argumenty. Rozumiałem to, że formuła korespondencyjna była podyktowana troską, by nie doszło do masowych zakażeń. To było przecież realne zagrożenie. Powiedzmy sobie też, że panujący wówczas chaos nie był tylko wynikiem tego, co działo się w Zjednoczonej Prawicy. Nie można zapomnieć o obstrukcji ze strony opozycji, ile trwało

eprasa.pl ef27a56980

W POLSCE PL

Cała rozmowa z prezydentem Andrzejem Dudą do obejrzenia w telewizji wPolsce.pl w poniedziałek 17 maja o godz. 14:00

eprasa.pl ef27a56980

i jak było przeciągane procedowanie ustaw w Senacie. Można było to załatwić szybciej, ale nie, przetrzymywano to z premedytacją. Czas więc uciekał i bardzo ograniczył możliwość zorganizowania wyborów, które nie byłyby kwestionowane.

A jakie największe ryzyko pan widział?

Obawiałem się, że te wybory się po prostu nie udadzą. Że zostaną ośmieszone w kraju, za granicą. Że będzie to niedopracowane, organizacyjnie niedopięte. Uważałem, że to jest po prostu zbyt duże ryzyko.

Z jaką wizją Polski ruszył pan wówczas w kampanijną trasę? Co postanowił obiecać Polakom?

Nie ukrywam, że mimo wszystkich trudności, w tej kwestii miałem pewien komfort. Idąc do ludzi, wiedziałem, że my, ja i rząd, w ogromnej części dotrzymaliśmy obietnic wyborczych z poprzednich kampanii. Szedłem z podniesioną głową. Oczywiście przychodzili tacy, którzy punktowali, że nie zrobiliśmy jeszcze tego czy tamtego, ale więcej się udało, niż nie udało i to mi ludzie przyznawali.

Zgoda, wszedł pan w tę kampanię bez nadmiernego obciążenia przeszłością, ale wydaje mi się, że to mogła być zaledwie połowa planu. To już było, a co na przyszłość?

Handicap polegał na tym, że mogliśmy mówić: jesteśmy poważnymi politykami, dotrzymujemy słowa, więc jeśli teraz coś wam obiecamy, to na słowach się nie skończy. Dlatego ta przeszłość jest tak ważna. Obiecałem więc, że jako prezydent nadal będę pracował nad tym, by Polakom żyło się lepiej.

Rzeczywiście, wielokrotnie wtedy i pan, i przedstawiciele popierającej pana koalicji rządzącej mówiliście: jeszcze tylko to zwycięstwo i wjeżdżamy na trzyletnią autostradę do poprawy życia Polaków. Rozumiem, że w tym czasie dusił nas COVID-19, więc może nie wszystko dało się zrobić, ale czy ma pan wrażenie, że ludzie, którzy oddali na pana głos, są pewni, że go nie zmarnowali?

Obawiałem się, że te wybory korespondencyjne po prostu się nie udadzą. Że zostaną ośmieszone w kraju, za granicą. Że będzie to niedopracowane, organizacyjnie niedopięte. Uważałem, że to jest po prostu zbyt duże ryzyko

Myślę, że wielu ludzi, którzy oddali na mnie głos, jest dzisiaj w pewnym sensie zawiedzionych. Być może wynika to z tego, że nie do końca rozróżniają, co jest kompetencją prezydenta, co rządu, co poszczególnych ministrów. Ale tego od moich rodaków nie wymagam. Wiem, że to był bardzo trudny czas i ludzie w ogóle mają obniżony nastrój, są rozczarowani nie tylko polityką. Na swoją obronę powiem, że obóz władzy, który także reprezentuję, podejmował w pandemii takie decyzje, które spowodowały, iż polska gospodarka przetrwała ten czas względnie bardzo dobrze. Używam świadomie oceny „bardzo dobrej", choć wiem, że niektóre branże zostały dotknięte kryzysem bardzo mocno. Turystyka, hotelarstwo, branża restauracyjna zostały zmasakrowane, szczególnie tam, gdzie dochód generowali turyści zagraniczni. Trudno więc tym ludziom, których interesy upadają, przyjmować tłumaczenie, że gospodarka ma się dobrze. A tak jest. Eksperci zapewniają mnie, że fundamenty finansowe państwa nie zostały naruszone. I wielkim naszym zadaniem dzisiaj jest to, by wykorzystać sytuację, że przetrwaliśmy. Teraz jest czas na wyjście z konsekwentnie realizowanym programem, po pierwsze, odbudowywania zaufania, po drugie, umożliwienia im wyjścia z niewątpliwego dołka. By Polska wciąż była dla nich krajem, w którym chcą żyć, pracować, rozwijać się i wychowywać dzieci. To jest niezmiennie mój cel i z nim idę przez tę prezydenturę.

Czy takim spojrzeniem w przyszłość ma być prezentowany przez premiera Mateusza Morawieckiego Nowy Polski Ład? Czy uda się przed wyborami w 2023 r. zatrzeć to fatalne wrażenie po konflikcie, który w koalicji rozpoczął się praktycznie od razu po pana zwycięstwie?

Ja jako ostatni z kręgu Zjednoczonej Prawicy miałem długi, bezpośredni kontakt z wyborcami. I to ja miałem okazję wysłuchiwać oczekiwań i uwag Polaków wobec „władzy". Stąd mój niedawny, tak mocny głos do obozu rządzącego. Powiedziałem, że chodzi o naszą Rzeczpospolitą, proszę swoje spory załatwić i zająć się sprawami, które musimy nadal realizować. Nie wygłupiajcie się! Trzeba być odpowiedzialnym. Ludzie nam zaufali. Wybrali mnie po raz drugi, potem w wyborach parlamentarnych także ponownie wskazali PiS, to zobowiązuje. Polacy mają prawo rozliczać nas z naszych działań. Jest szansa na to, byśmy zrobili jeszcze sporo dobrego, bo choćby wspomniany Nowy Polski Ład to plan wart tego, by o niego powalczyć.

Dzisiaj prawica jest w dołku, przyznają to politycy obozu rządzącego. To więc może dobry moment, by zapytać wprost, czy kolejne zwycięstwo w 2023 r. jest możliwe?

Nowy Polski Ład to program w wielu punktach bardzo ambitny. Ale ostatnie sześć lat pokazało, że nie można nie podejmować dużych wyzwań. Da się, potrafimy. Mamy determinację. Nie wszystko udaje się od razu, ale wielkie inwestycje się rozpędzają i pozytywnie skończą. Jestem tego pewien. Jeżeli Zjednoczona Prawica do 2023 r. utrzyma wiarygodność i będzie pracowała dla ludzi, by odrobić utracone punkty, to wygra. W mojej ocenie szansa na ponowny sukces jest bardzo duża.

Rok temu jechaliśmy przez Polskę dudabusem. Jaki kraj widział pan z tego pierwszego siedzenia? Często powtarzał pan: „Polska jest piękna!".

eprasa.pl ef27a56980

Bo jest! Od tej strony tę podróż wspominam bardzo miło. Ja w ogóle lubię motyw drogi i w książkach, i w życiu. Prezydentura jest drogą. I kampania też, nawet bardziej dosłownie. Cudownie rozpoczynające się lato, bo to w takim czasie przemierzaliśmy Polskę. Te wspaniałe poranki na Kujawach czy w Wielkopolsce to są urocze wspomnienia. Mimo trudów i stresów, które pan widział na własne oczy i opisał w książce, to była piękna podróż.

Które spotkania, gesty, rozmowy, miejsca zostały w panu najbardziej?

Na samym początku kampanii, podczas spotkania na rynku w Łowiczu, podszedł do mnie mężczyzna. Bardzo parł w moim kierunku, nawet zaniepokoiło to panów odpowiedzialnych za moje bezpieczeństwo. Miał ogromne emocje wypisane na twarzy, był bardzo wzruszony. Powiedział, że dzięki temu, iż dotrzymaliśmy słowa i wprowadziliśmy program 500+, jego córka może studiować. To było bardzo poruszające. Pomyślałem sobie wtedy: kurczę, dla takich momentów warto znosić wszystkie trudy.

W tej kampanii, to niezwykłe, miał pan do czynienia nie z jednym głównym przeciwnikiem, a ze sztafetą. Zaskoczyło to pana?

Jeszcze przed startem kampanii zastanawialiśmy się z moimi współpracownikami, co to będzie. Kandydatury pani marszałek Kidawy-Błońskiej nie przewidział nikt. Wielu za to przekonywało mnie, że wystartuje Donald Tusk. Ja z kolei byłem pewien, że nie. Że się nie poważy, bo wszedłby w sytuację, w której nie ma gwarancji powodzenia. Że te wybory po prostu mógł przegrać. I miałem rację. Wymiękł. Natomiast proszę mi wierzyć, że od początku uważałem, iż najpoważniejszym kontrkandydatem może być Rafał Trzaskowski. On był już wtedy prezydentem Warszawy. Uważałem, że to byłby oczywisty ruch tamtej strony, budowanie go jako mojego alter ego. I co prawda nie za pierwszym, a za drugim razem, ale do naszego starcia doszło.

A jak ocenia pan jego siłę polityczną dzisiaj? O ponad 10 mln głosów oddanych na niego już mało kto pamięta, ale słyszymy, że jednak ma być centralną postacią jakiegoś ruchu, w którym być może weźmie udział PSL, a i Bronisław Komorowski chciałby się dołączyć. To poważny pomysł?

Oczywiście wyborcy oceniają to po swojemu, ale... nie jest dobrze, gdy chcesz być prezydentem Rzeczypospolitej i dwa razy pęka rura w rządzonym przez ciebie mieście. Czasem trzeba wstać o piątej rano i robić swoją robotę. Ja w kampanii, gdy trzeba było, to byłem o szóstej rano pod kopalnią i nie zastanawiałem się, czy jestem zmęczony. Tam była kampania, tu jest prezydencka praca. Obowiązki, do których należy podchodzić poważnie, by traktowano cię poważnie. Gdyby zdecydował się wystartować w wyborach prezydenckich w 2025 r., z zaciekawieniem to poobserwuję. Już zupełnie z innej perspektywy, oczyma wyborcy, który bardzo chciałby, by w Polsce wszystko było jak najlepiej. A co się wydarzy przed 2023 r., zobaczymy. Na razie z ich przepychanek ludzie nic nie mają. Wygrać może jedynie lider, który ma na horyzoncie tylko dobro Polaków.

> Myślę, że wielu ludzi, którzy oddali na mnie głos, jest dzisiaj w pewnym sensie zawiedzionych. Być może wynika to z tego, że nie do końca rozróżniają, co jest kompetencją prezydenta, co rządu, co poszczególnych ministrów. Ale tego od moich rodaków nie wymagam

Już od kilku osób słyszałem, że ciekawi je ten fragment książki, w którym piszę o mało znanym fakcie. Wszyscy bowiem wiemy, że do wymiany kandydata doszło po stronie opozycyjnej, a nie mówi się o tym, że prezes Jarosław Kaczyński był bliski wycofania poparcia dla pana kandydatury.

To takie legendy [śmiech].

Zbyt wiele osób o tym mówi, by pozwolić sobie na włożenie tego między bajki.

Efekt jest taki, że dzisiaj ja jestem prezydentem Rzeczypospolitej i wykonuję swoje obowiązki. Kandydata można wyznaczyć, to jest wielki przywilej kierownictwa partii politycznej. Wiadomo, że w PiS jest Jarosław Kaczyński i poparcie Prawa i Sprawiedliwości miałem za jego zgodą. Ale wybory są demokratyczne i decydują ludzie. Nie jest to więc tylko kwestia wskazania przez lidera, wybory trzeba jeszcze wygrać.

Panie prezydencie, opozycja z uporem wylicza panu dni od wyboru Joego Bidena na prezydenta Stanów Zjednoczonych. Chodzi o to, że do pana nie zadzwonił. Sugestia jest taka, że Trump dzwonił, a Biden nie dzwoni, co ma być dowodem na położenie przez pana naszych relacji transatlantyckich.

Niedawno pan prezydent Joe Biden zaprosił mnie do udziału w szczycie klimatycznym, odpowiedział także na nasze zaproszenie do dyskusji w ramach bukareszteńskiej dziewiątki. Nie chciałbym być tutaj za bardzo pragmatyczny, ale powiem tak: jeżeli ruch bezwizowy pomiędzy Polską i Stanami Zjednoczonymi będzie utrzymany, jeśli armia amerykańska nadal będzie stacjonowała w Polsce, jeżeli nadal będziemy mieli amerykańską generalicję i dowództwo 5 Korpusu na naszym terenie, jeżeli będą utrzymane i poszerzane kontrakty energetyczne z USA, a co za tym idzie zapewnione nasze bezpieczeństwo energetyczne, jeśli będą w Polsce kolejne amerykańskie inwestycje, to możemy do siebie nie dzwonić. [śmiech] Nie chodzi o to, by rozmawiać przez telefon. Chodzi o to, by dobrze prowadzić strategiczne interesy. I one są, proszę mi wierzyć, właśnie tak prowadzone.

eprasa.pl ef27a56980

Koniec szwedzkiej gościnności

Według sondażu instytutu SOM 60 proc. Szwedów domaga się ograniczenia imigracji, a 72 proc. uważa, że integracja przybyszy się nie powiodła

ALEKSANDRA RYBIŃSKA

Rządzący Szwecją socjaldemokraci i zieloni chcą znacznie zaostrzyć politykę imigracyjną. Ze strachu przed powtórką fali migracyjnej z 2015 r. oraz rosnącym w siłę antyimigranckim ugrupowaniem, które szykuje się na wybory w 2022 r.

Latem 2015 r. spór o system relokacji uchodźców według kwot doprowadził do poważnego kryzysu w Unii Europejskiej. Kraje Europy Środkowo-Wschodniej, w tym Polska, zdecydowanie sprzeciwiły się nowemu mechanizmowi ukutemu w Brukseli w odpowiedzi na kryzys migracyjny. Powiedzieć, że szwedzcy socjaldemokraci nie podzielali stanowiska swoich środkowoeuropejskich partnerów, to nic nie powiedzieć. Premier Stefan Löfven zadeklarował wręcz, że Szwecja jest gotowa przyjąć więcej uchodźców, niż UE chce jej przydzielić. „Moja Europa nie buduje murów" – mówił. A minister ds. zatrudnienia Ylva Johansson przekonywała, że uchodźcy poprawią demografię Szwecji i wypełnią luki na rynku pracy. Już jesienią lewicowy rząd w Sztokholmie zmienił jednak zdanie po twardym zderzeniu z rzeczywistością. 10 tys. azylantów tygodniowo okazało się zbyt wielką liczbą dla 9,5-milionowego kraju. Wicepremier Åsa Romson płakała podczas konferencji prasowej w listopadzie 2015 r., na której Löfven ogłosił nowe, „tymczasowe" prawo imigracyjne. Skończyło się automatyczne przyznawanie stałego prawa pobytu azylantom obowiązujące od 1984 r. Ograniczona została także możliwość sprowadzania członków rodziny, a kontrole na granicach uległy zaostrzeniu. Migranci bez dokumentów tożsamości nie byli wpuszczani do kraju. W 2019 r. próbowano stworzyć nowe prawo, ale nie osiągnięto w tej sprawie konsensu. W lipcu tego roku to „tymczasowe" prawo imigracyjne dobiegnie końca. I już teraz widać, że powrotu do przeszłości nie będzie.

NIEUDANA INTEGRACJA

Rządząca Szwecją koalicja z socjaldemokratów i zielonych zaproponowała bowiem, by tymczasowe przepisy stały się przepisami stałymi. Pozwolenia na pobyt mają być przyznawane na próbę, na okres trzech lat. Zostaną one zamienione na prawo stałego pobytu tylko wtedy, gdy imigranci spełnią wymagania, takie jak znajomość języka szwedzkiego, szwedzkiej kultury i społeczeństwa oraz wykażą wystarczające dochody, by móc się utrzymać. Tymczasowe prawo pobytu bez stawiania warunków ma być udzielane już tylko na gruncie humanitarnym, jeśli azylant np. jest ciężko chory. Sprowadzenie członków rodzin ma być możliwe tylko wówczas, gdy wnioskodawców stać na ich utrzymanie. Ubiegający się o stały pobyt nie mogą także być sprawcami poważnych przestępstw. W 2020 r. nieco ponad 13 tys. osób ubiegało się w Szwecji o azyl, to zaledwie ułamek zatrważającej liczby z 2015 r. (163 tys.), ale rząd w Sztokholmie obawia się, że jeśli znów otworzy kraj na migrantów, ich liczba dramatycznie wzrośnie. Jak pisze szwedzki dziennik „Aftonbladet", co najmniej 675 tys. dorosłych migrantów w Szwecji żyje obecnie z zasiłków, a kraj udzielił przez ostatnią dekadę ponad 400 tys. pozwoleń na pobyt. Obecnie na tysiąc Szwedów przypada 28 azylantów. Dla porównania – w sąsiedniej

Fot. Alexanderstock23/Shutterstock

eprasa.pl ef27a56980

Finlandii proporcja ta jest znacznie niższa i wynosi 6. W Danii – 7.

Powrót do praktykowanej przez dziesięciolecia liberalnej polityki migracyjnej nie jest możliwy także dlatego, że brak dla niej dziś poparcia w społeczeństwie. Według sondażu instytutu SOM 40 proc. Szwedów jest zaniepokojonych obecnością migrantów w kraju. W 2011 r. było to 22 proc. 60 proc. domaga się ograniczenia imigracji, a 72 proc. uważa, że integracja przybyszy się nie powiodła.

MIGRACJA I PRZEMOC

Świadczą o tym równoległe społeczeństwa, które powstały na przedmieściach Sztokholmu, Göteborga czy Malmö. Strzelaniny, zamachy bombowe i podpalenia trapiące duże miasta, jak i ogólny wzrost przestępczości są przypisywane migrantom. Jak przekonywał Henrik Häggström ze Szwedzkiej Akademii Wojskowej w telewizji TV4, „tyle eksplozji co w Szwecji odnotowuje się już tylko w Afganistanie". W kraju skandynawskim, który był tak dumny ze swojej pozycji „humanitarnego supermocarstwa" – jak pisze niemiecki dziennik „Die Welt" – w 2019 r. z broni palnej zginęło cztery razy więcej osób niż w Niemczech. W 2020 r. w Szwecji doszło do 320 strzelanin. To oraz seria eksplozji bomb w ostatnich dwóch latach zmusiła Löfvena w końcu do wyznania, że poziom przemocy jest związany z poziomem migracji, czemu socjaldemokraci zawsze zaprzeczali. „Jeśli imigracja nadal będzie utrzymywać się na poziomie uniemożliwiającym integrację, istnieje ryzyko, że będziemy mieć jeszcze więcej problemów tego rodzaju. Jest to jasne jak słońce" – zadeklarował szwedzki premier. Nastroje społeczne są tak nieprzychylne migrantom, że gdy w ubiegłym roku Grecja szukała krajów chętnych do przyjęcia migrantów ze spalonego obozu Moria, Szwecja grzecznie odmówiła. Zdaniem ekspertów Szwedzi sami są sobie winni: od lat 70 XX w. azyl był przyznawany w zasadzie każdemu chętnemu, a wymagania były żadne: jeśli przybysze chcieli, mogli się integrować i żyć według lokalnych zasad, a jeśli nie chcieli, to nikt nie miał do nich o to pretensji. Kolejne lewicowe rządy roztaczały wizję radosnej wielokulturowej utopii. Dziś w imigranckich gettach rzadko można usłyszeć język szwedzki. Za to rozwija się handel bronią i narkotykami.

KONSTRUKTYWNA SIŁA

To jest zresztą przyczyną wzrostu popularności antyimigranckiej partii Szwedzcy Demokraci (Sverigedemokraterna), która przyprawia rząd Löfvena o ból głowy. W przyszłym roku na jesieni odbędą się wybory parlamentarne, a lider Szwedzkich Demokratów Jimmie Åkesson właśnie zawiązał sojusz z trzema centroprawicowymi partiami opozycyjnymi, którym ma pomóc odebrać obecnej lewicowej koalicji władzę. Jak dotąd Umiarkowana Partia Koalicyjna (Moderata Samlingspartiet) oraz jej mniejsi partnerzy – Chrześcijańscy Demokraci oraz Liberałowie – zarzekali się, że nie będą współpracować z partią Åkessona, uważaną za skrajnie prawicową, o korzeniach neonazistowskich. Tyle że Szwedzcy Demokraci wzorem Zjednoczenia Narodowego Marine Le Pen we Francji przeszli sporą przemianę. Najpóźniej od chwili wejścia do Riksdagu w 2010 r. Z szeregów ugrupowania zniknęli politycy o wątpliwych afiliacjach, a Åkesson zrezygnował z jednego ze swoich głównych postulatów: opuszczenia przez Szwecję Unii Europejskiej. Lider Umiarkowanej Partii Koalicyjnej Ulf Kristersson zadeklarował w styczniu br., że Szwedzcy Demokraci, którzy uzyskali w wyborach w 2018 r. 17,6 proc. głosów, stali się „konstruktywną siłą" w parlamencie. Nawet jeśli Kristersson nie jest gotów uformować z nimi koalicji rządzącej, liczy na ich cichą współpracę w przypadku utworzenia mniejszościowego rządu prawicowego po wyborach. Szwedzcy Demokraci jako cichy koalicjant to zdaniem lewicowych szwedzkich mediów przekroczenie rubikonu. Tym bardziej że według najnowszego sondażu instytutu Demoskop prawicowy blok wraz ze Szwedzkimi Demokratami może liczyć na 47,3 proc. poparcia, a lewicowy złożony z socjaldemokratów, zielonych i mniejszych partii lewicowych na zaledwie 44,5 proc. Gotowość współpracy centroprawicy ze Szwedzkimi Demokratami jest więc podyktowana pragmatyzmem: albo to, albo kolejna przegrana jak w 2018 r.

DRUGA DANIA

Nowy sojusz niepokoi socjaldemokratów i także w tym należy szukać przyczyn ich zwrotu w kwestii migracji. Nowe przepisy, które mają trafić pod obrady parlamentu w maju i wejść w życie w lipcu, to próba osłabienia tego sojuszu i odebrania mu wyborców. Prawicowy blok zdążył zresztą już złożyć kontrpropozycję, czyli jeszcze bardziej restrykcyjne przepisy migracyjne, które utrudniłyby, jeśli nie uniemożliwiły, łączenie rodzin i wykluczałyby udzielenie azylu na gruncie humanitarnym. Krajom, które nie chcą wziąć z powrotem swoich obywateli, którzy nie otrzymali azylu w Szwecji, ma być ponadto odebrana pomoc rozwojowa. Według Åkessona Szwecja musi stać się „drugą Danią". „Dania była taka jak my, a potem z dnia na dzień się zmieniła. Tak będzie i u nas" – podkreślił lider Szwedzkich Demokratów w jednym z wywiadów. Chodziło mu oczywiście o antyimigrancką Duńską Partię Ludową, która dziś stanowi drugą siłę w parlamencie i w latach 2015–2019 była cichym koalicjantem centroprawicowego rządu Larsa Løkke Rasmussena. Jej wpływ na debatę publiczną w Danii był tak wielki – od 2000 r. współpracuje z mainstreamowymi koalicjami i uzyskała pozycję głównego rozgrywającego – że nawet rządzący obecnie duńscy socjaldemokraci prowadzą restrykcyjną politykę migracyjną.

Ale plany Åkessona sięgają dalej. Ma on nadzieję na miejsce w przyszłej koalicji rządzącej w roli ministra sprawiedliwości, co dałoby mu możliwość kształtowania polityki azylowej. W Finlandii czy Estonii antyimigranckie partie od lat współrządzą. „Przez 20 lat na nas pluli. Odmawiali nam legitymacji, oczerniali. No i proszę, teraz z nami rozmawiają. A my jesteśmy bardzo cierpliwą partią" – podkreślił lider Szwedzkich Demokratów. „Naszym celem jest bycie częścią rządu. Ale zdajemy sobie również sprawę, że być może tym razem nie jest to możliwe. Może musimy pokazać, że jesteśmy partią, która naprawdę chce wziąć odpowiedzialność za kraj" – dodał.

Dla „humanitarnego supermocarstwa" na północy rozpoczyna się nowa era. Pod presją rzeczywistości w miastach i na przedmieściach, rosnącego niezadowolenia obywateli oraz presji ze strony coraz bardziej popularnych Szwedzkich Demokratów kraj kończy z tradycją gościnności wobec migrantów i wszystko wskazuje na to, że będzie to zmiana trwała. Taka, od której nie ma już odwrotu.

eprasa.pl ef27a56980

Amerykańsko-rosyjska rozgrywka

MAREK BUDZISZ

Aleksiej Makarkin, rosyjski politolog, napisał, że polityka Kremla, czy nawet ujmując sprawę szerzej – spojrzenie społeczeństwa na Ukrainę, wynika z utrzymujących się wielu mitów i uproszczonych sądów. I tak rosyjskie elity uważają, że Ukraińcy, a mają na myśli „prosty naród", są w głębi duszy prorosyjscy, co więcej, tęsknią za stabilizacją czasów ZSRR. W świetle tej narracji to mieszkańcy byłej Galicji, przekupione polityczne elity Ukrainy i intelektualiści, opowiadają się za związkiem z Zachodem, a ludzie chcieliby, aby wróciły „stare dobre czasy" imperium sowieckiego i jeśli Rosja rozpocznie energiczną akcję, to w gruncie rzeczy nie będą mieli nic przeciw. Tymczasem, jak argumentuje Makarkin, rzeczywisty obraz tego, co sądzą Ukraińcy, jest zupełnie inny. Nawet jeśli ludzie nie są zadowoleni z dokonań władzy, to nie pragną powrotu do czasów ZSRR, Stalina, w przeciwieństwie do Rosjan, zdecydowana większość Ukraińców opowiada się za integracją z Zachodem. Przy czym młodzi są zdecydowanie bardziej proeuropejscy niż pokolenie ich rodziców, nie mówiąc już o dziadkach. Kolejnym funkcjonującym w Rosji mitem jest też przekonanie, że „w godzinie próby" Zachód porzuci Ukrainę, która w efekcie rozczarowania, jakie tego rodzaju krok wzbudzi, zwróci się w stronę Moskwy. To nagromadzenie mitów na temat Ukrainy, niepotwierdzonych empirycznie założeń i uproszczeń, dyktuje Rosji nie tylko politykę agresywną, lecz przede wszystkim w dłuższej perspektywie nieskuteczną, czego na Kremlu zdają się nie dostrzegać.

PLANY ROSJI

Chyba że Rosji chodzi o coś zupełnie innego, a Ukraina jest w tym wypadku jedynie przedmiotem w grze o znacznie większą stawkę, której celem jest przebudowanie geostrategicznej mapy świata. Taką koncepcję zarysował niedawno Timofiej Bardaczow, dyrektor programowy Klubu Wałdajskiego, wpływowego rosyjskiego think tanku. W tym, co proponuje, pobrzmiewają echa koncepcji Zbigniewa Brzezińskiego, który uważał, że Rosja pozbawiona Ukrainy nigdy nie będzie już europejskim imperium i z tego względu krytykował politykę prezydenta Clintona, który koncentrował się na wzmacnianiu chwiejącej się władzy Jelcyna kosztem umacniania państw, które wyłoniły się z ZSRR.

Bardaczow myśli podobnie, tylko patrzy na przyszłość Ukrainy przez pryzmat pytania, jak odbudować dominującą pozycję Rosji w Europie. W jego przekonaniu, ale jest to pogląd podzielany w gruncie rzeczy przez większość rosyjskich ekspertów, nadchodzące czasy będą epoką znacznie bardziej niestabilną niż poprzednie dwa dziesięciolecia. Liczba konfliktów, w tym zbrojnych, na świecie, również na obszarach graniczących z Europą, znacznie wzrośnie i generalnie więcej do powiedzenia będą mieli nie ci, którzy więcej produkują i eksportują, bo to było dobrym argumentem w odchodzącej do przeszłości epoce globalizacji, ale ci, którzy mają silniejszą, lepiej uzbrojoną i wyszkoloną armię. Rosja już zmodernizowała swoje siły zbrojne, które w Syrii i na Ukrainie przeszły „chrzest bojowy", rosyjskie elity pokazały, że nie zawahają się ich w razie potrzeby użyć i teraz zbliża się czas generalnej rozgrywki strategicznej.

„Po wycofaniu się (Stanów Zjednoczonych) z Afganistanu – opisuje obecną sytuację rosyjski ekspert – zniszczenie państwa ukraińskiego, którego istnienie jest główną przyczyną napięć między Rosją a największymi mocarstwami europejskimi, spowodowałoby jeszcze większe szkody dla obecności amerykańskiej. Na pierwszy rzut oka Ukrainy nie będzie – nie będzie powodu do konfliktu między Rosją a francusko-niemiecką Unią

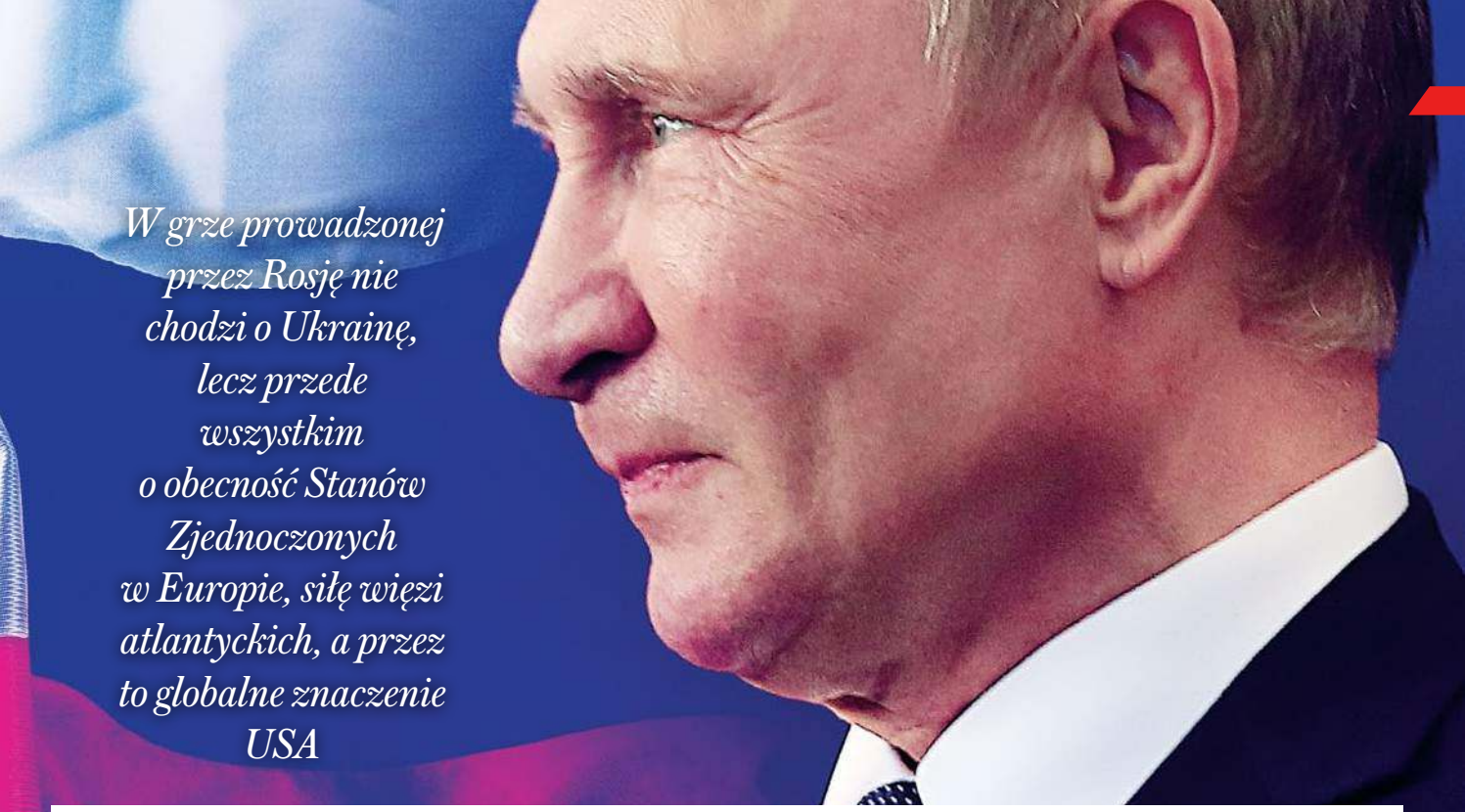

W grze prowadzonej przez Rosję nie chodzi o Ukrainę, lecz przede wszystkim o obecność Stanów Zjednoczonych w Europie, siłę więzi atlantyckich, a przez to globalne znaczenie USA

Europejską, a europejski ład międzynarodowy nabierze stosunkowo kompletnej formy". W świetle tego rozumowania zdobycie Ukrainy czy choćby jej polityczne „obrócenie" doprowadzi w dłuższej perspektywie do wyparcia USA z Europy i zbudowania na Starym Kontynencie nowego porządku opartego na rosyjskiej sile wojskowej i potencjale surowcowym z jednej strony oraz ustępliwości i gotowości do współpracy z Moskwą Berlina i Paryża z drugiej.

Jak łatwo zauważyć, Bardaczow nie mówi o Europie Środkowej, nie tylko dlatego, że z perspektywy Kremla państwa naszego regionu się nie liczą, lecz również z tego względu, że ten nowy europejski ład budowany byłby po wypchnięciu Ameryki z Europy i po tym, jak podzielone zostałyby między Rosję i starą Europę strefy wpływów w naszym regionie.

INTERESY USA

Czy Amerykanie wiedzą, o co w istocie toczy się gra? Czy zdają sobie sprawę, że chodzi w niej nie o Ukrainę, lecz przede wszystkim o obecność Stanów Zjednoczonych w Europie, siłę więzi atlantyckich, a przez to globalne znaczenie Ameryki?

Jeśli chodzi o politykę Waszyngtonu wobec Kijowa, to warto zwrócić uwagę na kilka faktów. Dmytro Kułeba, ukraiński minister spraw zagranicznych, po niedawnych rozmowach z sekretarzem stanu USA Antonym Blinkenem zauważył, że mimo iż administracja Bidena urzęduje dopiero od stu dni, to już miały miejsce cztery kontakty między Waszyngtonem a Kijowem na wysokim szczeblu, włączając do tego zestawienia zarówno rozmowy telefoniczne Bidena z Zełenskim, jak i spotkania twarzą w twarz. Blinken właśnie Kijów wybrał za cel swojej pierwszej podróży zagranicznej niezwiązanej z uczestnictwem w formatach wielostronnych, co jest wyraźnym sygnałem politycznym i dowodzi tego, że kwestia relacji z Ukrainą jest istotnym elementem strategii Waszyngtonu. Podobnie jako zwrócenie uwagi na sytuację na Wschodzie, interpretować należy uczestnictwo prezydenta Bidena w zorganizowanych przez Bukareszt i Warszawę w minionym tygodniu obradach tzw. bukareszteńskiej dziewiątki. Pytanie tylko, czy na zainteresowaniu dyplomatycznym się nie skończy?

Rosjanie uważają zresztą, że ostatnie zaostrzenie sytuacji na wschodzie Ukrainy psychologicznie wygrali, bo pokazali zarówno to, że liczą się z możliwością użycia siły, jeśli zostaną przekroczone wyznaczone samodzielnie przez Moskwę „czerwone linie", o których mówił niedawno Putin, a Zachód nie będzie walczył i umierał za Ukrainę. W tym wypadku możemy zresztą obserwować ciekawy podział. Otóż w czasie niedawnej koncentracji wojsk rosyjskich na granicy z Ukrainą konsultacje na szczeblu wojskowym odbywały się między Kijowem z jednej strony a Waszyngtonem, Londynem i stolicami państw Europy Środkowej z drugiej. Stara Europa w nich nie uczestniczyła. W Paryżu, Berlinie i Brukseli dużo się w ostatnich dniach mówiło o powołaniu europejskich sił szybkiego reagowania, ale raczej po to, by stabilizować sytuację na południe od Sahary, nie zaś pomagać zagrożonej Ukrainie. Tak jakby w ramach NATO nastąpił faktyczny podział obowiązków – Anglosasi i Europa Środkowa wspierają Kijów, a Paryż, Berlin, generalnie Europa Zachodnia, interesują się Afryką Północną. Oczywiście nadal pada wiele słów na temat utrzymania jedności NATO, zwłaszcza przed czerwcowym szczytem będzie to silnie akcentowane, ale realne różnice są widoczne jak na dłoni. To oczywiście blokuje, bo Francja i Niemcy nie są zainteresowane takim rozwojem wydarzeń, jak otwarcie Ukrainie i Gruzji drogi do NATO.

Zresztą minister Kułeba po szczycie bukareszteńskiej dziewiątki powiedział, wbrew swym wcześniejszym deklaracjom, że nie liczy na to, aby już w czerwcu Ukraina uzyskała plan działania na rzecz członkostwa (MAP), a jedynie Kijowowi zależy na rozpoczęciu na ten temat debaty. Wydaje się jednak, że Blinken zaproponował w czasie swojej niedawnej wizyty rozwiązanie, które

Fot. Gevorg Ghazaryan / Shutterstock, NumenaStudios / Shutterstock

na razie satysfakcjonuje Ukrainę. Prezydent Zełenski powiedział mediom o dopinaniu „ważnego porozumienia strategicznego", co może być interpretowane w kategoriach uzyskania przez Kijów statusu uprzywilejowanego sojusznika Stanów Zjednoczonych. Na stole leży też, rozpatrywany przez Pentagon i Departament Stanu, kolejny wniosek Kijowa o dodatkową pomoc wojskową.

WARUNKI DLA UKRAINY

Jednak w Kijowie Blinken sformułował pod adresem ukraińskich elit znacznie istotniejszy komunikat. John Hudson z „Washington Post" określił go mianem „słodko-kwaśnego", bo deklaracje wsparcia politycznego i wojskowego (słodka część przesłania) uzależnione zostały od walki z wpływami oligarchów i zaawansowaniem reform. Sekretarz stanu USA mówił bowiem w Kijowie o dwóch wrogach, pierwszym zewnętrznym, jakim jest Rosja, i drugim, nie mniej groźnym, oligarchach i korupcji, od wewnątrz osłabiających ukraińską państwowość.

Jak zauważył Paweł Bajew, rosyjski analityk pracujący w Oslo, stabilizacja Ukrainy wydaje się kluczowym czynnikiem w strategii Białego Domu w kwestii normalizacji stosunków z Moskwą. Dopiero modernizacja i westernizacja ukraińskich instytucji, w tym przede wszystkim gospodarki, czego Putin nie chce zaakceptować, jest w jego opinii gwarancją zakorzenienia Kijowa po stronie Zachodu. Z tego też względu Blinken nie wahał się wywierać presji na ekipie Zełenskiego, mówiąc, że od zaawansowania reform zależy amerykańskie wsparcie, a instytucją, która będzie oceniała politykę Kijowa w tym zakresie, ma być Międzynarodowy Fundusz Walutowy. Sygnał ten został zrozumiany, bo już po kilku dniach od wizyty Blinkena Irina Wieniediktowa, ukraińska prokurator generalna, poinformowała o postawieniu zarzutów o zdradę Wiktorowi Medwedczukowi, liderowi prorosyjskiej formacji Za Życiem, a prywatnie przyjacielowi Putina.

W trakcie odbywającej się w tym samym czasie w Kijowie konferencji poświęconej bezpieczeństwu Ukrainy Aleksiej Daniłow, sekretarz Rady Bezpieczeństwa i Obrony, potwierdził też, że przygotowywana jest specjalna ustawa o oligarchach, która będzie dotyczyć 13 najbogatszych ukraińskich biznesmenów, mających również wpływy w mediach i polityce, i w zamierzeniu ograniczy ich wpływy. W tle tego wszystkiego jest rozpoczynająca się ponownie, po kilku latach zamrożenia, prywatyzacja dużych przedsiębiorstw, ziemi i zapowiedzi sprzedaży przez państwo, zapewne jeszcze w tym roku, głównych banków na Ukrainie. W wyniku tej ostatniej operacji udział państwa w ukraińskim sektorze bankowym spaść ma z obecnych 65 do 25 proc. Taras Elejko, kierujący ukraińskim Funduszem Majątku Narodowego, instytucją odpowiedzialną za prywatyzację, mówi publicznie, że wzorem dla niego jest Polska. W jego opinii to właśnie prywatyzacja, która może być, zwłaszcza zważywszy na społeczne jej koszty, różnie oceniana, doprowadziła do tego, że dziś Polacy są średnio trzy razy zamożniejsi od Ukraińców, mimo iż na początku lat 90. różnice były niezauważalne.

> Deklaracje wsparcia politycznego i wojskowego Stanów Zjednoczonych dla Ukrainy uzależnione zostały od jej walki z wpływami oligarchów i zaawansowaniem reform

Amerykańska strategia wobec Ukrainy realizowana jest obecnie na dwóch poziomach. Po pierwsze, chodzi o wsparcie polityczne i pomoc wojskową, po drugie, o przymuszenie Kijowa do modernizacji, w tym wpuszczenie inwestorów z zewnątrz. Można postawić w tym kontekście pytanie, czy dla Europy Środkowej jest w tej strategii miejsce? Jak powiedział niedawno Viktor Orbán w wywiadzie dla słowackiego portalu postoj.sk, do roku 2030 pojawi się w Europie trzeci, obok niemieckiego i francuskiego, biegun siły, czyli państwa Grupy Wyszehradzkiej. Zadecydują o tym przede wszystkim dynamika rozwojowa regionu i rosnący potencjał gospodarczy. Już dziś bowiem handel państw Grupy Wyszehradzkiej z Niemcami jest dwa razy większy niż z Francją, a przyspieszenie po pandemii jeszcze umocni ten trend. Polska, jest zdaniem Orbána, „okrętem flagowym", państwem, bez którego Europa Środkowa nie odbuduje swej pozycji.

Jeśli Ukraina ma być państwem na trwałe zakotwiczonym po stronie Zachodu, to nie osiągnie się tego bez współdziałania stolic naszego regionu, w tym Warszawy. W tym sensie amerykańska strategia jest realizacją scenariusza zakreślonego przez Timofieja Bardaczowa, oznaczającą narodową klęskę nie tylko Ukrainy, lecz również Polski, wręcz całego regionu, który w tym scenariuszu przekształci się w peryferia Europy, nowoczesne Dzikie Pola, gdzie krzyżować się będą wpływy większych graczy. Warto zapamiętać przesłanie Orbána, który wzywając do jedności państw grupy V4, mówi o doświadczeniach II wojny światowej. Elity polityczne państw naszego regionu różnie wówczas wybierały, niektóre orientując się na Berlin, inne na zachodnich aliantów. Ale niezależnie od tego, po której stronie historii stanęły: dobrej czy złej, czekał je ten sam smutny los. To, co alianci Hitlera dostali za karę, sojusznicy Londynu i Paryża otrzymali w nagrodę. Orbán wyciąga z tego wniosek przede wszystkim o potrzebie jedności, mówiąc o wspólnym historycznym losie. Nie bez powodu odwołania do wspólnego historycznego losu Polski, państw bałtyckich i Ukrainy, co było treścią ostatnich uroczystości organizowanych w Warszawie z okazji rocznicy Konstytucji 3 maja, odebrane zostały w Rosji z niezadowoleniem. Moskwa oficjalnie uważa, że zbudowanie politycznej jedności państw regionu się nie uda, ale w wypowiedziach na ten temat rosyjskich ekspertów pobrzmiewa inny ton. Gdyby się bowiem udało odtworzenie w nowoczesnym wydaniu ciała politycznego, jakim była I Rzeczpospolita, to dopiero wówczas Moskwa mogłaby mieć nie tylko groźnego przeciwnika, lecz mówić o całkowitej klęsce jej polityki zmierzającej do odbudowy imperium.

Reklama | 78/0421/F

epraso.pl

MŁODY PULS KOŚCIOŁA

niedziela młodych

Nowa, dynamiczna, bezkompromisowa – Niedziela Młodych. Bezpłatne pismo i portal internetowy

mlodzi.niedziela.pl

- tematy bliskie młodemu człowiekowi
- świadectwa znanych osób
- odpowiedzi na trudne pytania
- ekologia po katolicku
- tematy wiary przekazywane młodzieżowym językiem
- zagadnienia związane z relacjami i związkami

„Niedziela Młodych" jest ambitnym projektem realizowanym przez młode pokolenie redaktorów. Oddaliśmy im głos, aby nawiązali dialog ze swoimi rówieśnikami, poruszając tematy bliskie młodym ludziom.

Ks. Jarosław Grabowski
Redaktor naczelny

Niedziela Młodych to projekt skierowany szczególnie do młodzieży, która jest z dala od Kościoła, poszukuje sensu wiary. Nie boimy się trudnych pytań i tematów. Wychodzimy naprzeciw młodym ludziom.

Damian Krawczykowski
Redaktor prowadzący

Niedziela Młodych to nie tylko papierowe wydanie, ale także strona internetowa mlodzi.niedziela.pl oraz Facebook pod nazwą Niedziela Młodych. Na stronie znajdziemy za darmo Niedzielę Młodych w wersji PDF do pobrania

Agata Kowalska
Redaktor prowadzący

niedziela
TYGODNIK KATOLICKI OD 1926

NIEDZIELA MŁODYCH PODEJMUJE TEMATY, O KTÓRE BOJĄ SIĘ PYTAĆ INNI. JESTEŚMY BLISKO WASZYCH SPRAW.

eprasa.pl ef27a56980

Bitwa o Madryt

W regionie Madrytu władzę obejmie koalicja dwóch prawicowych partii, na których czele stoją kobiety sukcesu

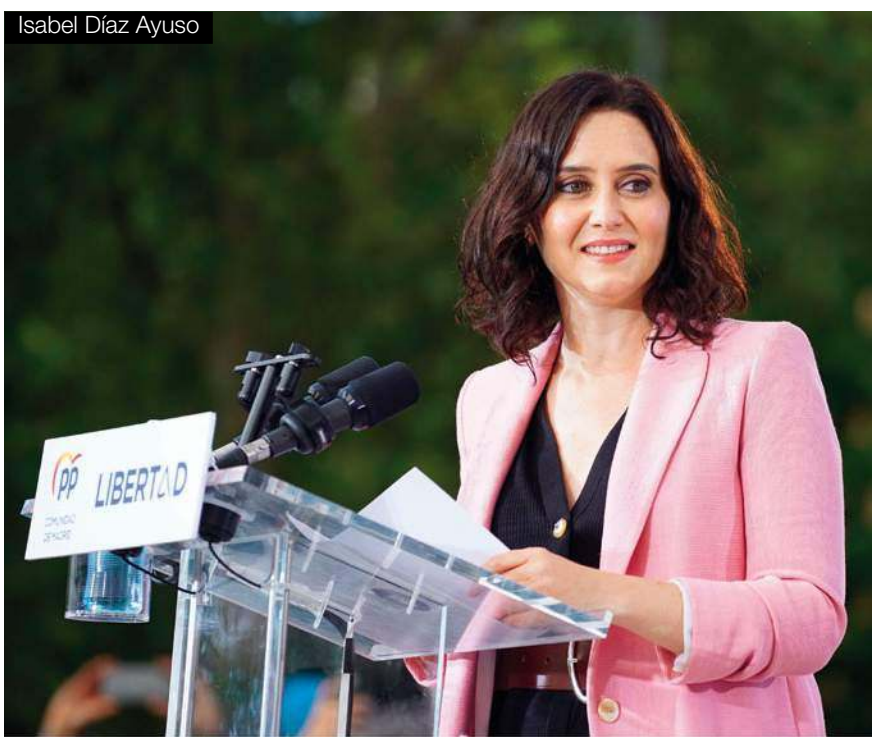

Isabel Díaz Ayuso

GRZEGORZ GÓRNY

17 października 1978 r. w Madrycie przyszło na świat dwoje dzieci: Isabel Díaz Ayuso i Pablo Iglesias. W 2021 r. los postawi ich po dwóch stronach barykady jako głównych przeciwników w wyborach samorządowych w stolicy. Choć oboje należą do pokolenia wnuków wojny domowej w Hiszpanii, to jednak podczas wieców skandowali hasła z tamtych niespokojnych czasów. On krzyczał: „Demokracja albo faszyzm", ona wołała: „Socjalizm albo wolność". Jej sympatyków nazywano pogardliwie „facha" (faszyści), jego zwolenników – „rojo" (czerwoni, czyli komuniści).

Po retorykę z lat 30. ubiegłego stulecia pierwsza sięgnęła lewica, zarówno ta socjalistyczna, jak i neomarksistowska. Porównała wybory samorządowe do bitwy o Madryt z lat 1936–1939, gdy miasto otoczone było przez wojska gen. Franco. Odtworzenie klimatu politycznego z tamtej epoki i straszenie brunatnym zagrożeniem miało służyć mobilizacji elektoratu. Okrzykiem bojowym obrońców stolicy podczas wojny domowej było hasło „No pasarán!" (Nie przejdą!). To samo wezwanie podczas wieców wyborczych rozlegało się z ust neomarksisty Pablo Iglesiasa. Na scenie dzielnie sekundował mu Serigne Mbayé, nielegalny imigrant z Senegalu, który startował do Zgromadzenia Madrytu z list partii Podemos. Czarnoskóry aktywista wykrzykiwał: „Madryt będzie grobem faszyzmu!". Nic dziwnego, że w odpowiedzi konserwatyści również sięgali do porównań z tamtych lat, ostrzegając przed stalinizmem i czekistami.

Gdy 1 kwietnia 1939 r. gen. Franco zdobył Madryt, skomentował to krótko: „Hemos pasado" (Przeszliśmy). To samo mogliby powiedzieć dziś politycy prawicy, którzy zdecydowanie pokonali lewicę w stołecznych wyborach. Stojąca na czele zwycięskiego obozu Isabel Díaz Ayuso w niczym nie przypomina jednak gen. Franco.

AYUSO – IGLESIAS 44:7

Te wybory nie były planowane. Wszystko zaczęło się 10 marca, gdy współrządzący w stolicy liberałowie z partii Ciudadanos wspólnie z socjalistami z PSOE ogłosili wotum nieufności wobec regionalnego rządu Wspólnoty Madrytu, której prezydentem od 2019 r. była Isabel Díaz Ayuso z Partii Ludowej. W odpowiedzi rozpisała ona przedterminowe wybory, które stały się swego rodzaju plebiscytem w sprawie zarządzania krajem w trakcie pandemii. W tej kwestii zaznaczyły się bowiem wyraźne różnice między rządem centralnym socjalistycznego premiera Pedro Sáncheza a lokalnym rządem centroprawicowym. O ile ten pierwszy dążył do całkowitego lockdownu, o tyle drugi walczył z totalną blokadą.

W tej sytuacji Pablo Iglesias, sekretarz generalny neomarksistowskiej partii Podemos, a zarazem wicepremier w gabinecie Sáncheza, ustąpił z rządu, by całkowicie poświęcić się kampanii wyborczej w Madrycie. Miał być lokomotywą, która poprowadzi lewicę do zwycięstwa. Stało się jednak inaczej.

Fot. Oscar Gonzalez/NurPhoto/Shutterstock

eprasa.pl ef27a56980

Wybory wygrała Partia Ludowa, która zdobyła aż 44,7 proc. głosów, a więc ponad dwa razy więcej niż w 2019 r. Nie zdoła jednak samodzielnie utworzyć rządu, więc jej koalicjantem będzie konserwatywne ugrupowanie Vox, które zyskało poparcie 9,1 proc. wyborców. Obie formacje posiadają razem 78 mandatów w 136-osobowym Zgromadzeniu Madrytu.

Totalną klapą zakończył się natomiast start Pablo Iglesiasa. Podemos otrzymał tylko 7,2 proc. głosów. On sam w związku z tym zapowiedział zakończenie swej politycznej kariery. W polityce pozostaje jednak jego partyjna koleżanka, a zarazem partnerka życiowa – Irene Montero, która pełni funkcję ministra ds. równości.

Nieco lepiej wypadła socjalistyczna PSOE z 16,8-procentowym poparciem, jednak mniejszym o 10 proc. niż dwa lata temu. W tej sytuacji niespodziewanie najlepszy wynik na lewicy (17 proc.) uzyskało ugrupowanie Más Madrid (Więcej Madrytu), jednak działa ono jedynie na poziomie lokalnym, a nie ogólnokrajowym. Największym przegranym okazali się liberałowie z Ciudadanos, którzy w poprzedniej kadencji byli trzecią siłą w regionie (19,4 proc.), a teraz nie dostali się w ogóle do Zgromadzenia Madrytu, zdobywając zaledwie 3,5 proc. i nie przekraczając progu wyborczego.

AYUSO + MONASTERIO

Wyniki wyborów udowodniły, że możliwe jest zwycięstwo prawicy w dużych miastach, które wydawały się bastionami lewicy i liberałów. Pokazały też, że straszenie faszyzmem nie przynosi spodziewanego rezultatu. Okazało się, że budowanie wspólnoty strachu przed brunatnym zagrożeniem zamyka w wąskiej wspólnocie wyznawców i nie pozwala poszerzać elektoratu. Nie powiodła się zwłaszcza próba zbudowania „kordonu sanitarnego" wokół Voxu. Według powyborczych sondaży aż 78 proc. mieszkańców stolicy życzy sobie koalicji ludowców z Voxem.

W związku z tym niektórzy komentatorzy, zwłaszcza spoza Hiszpanii, piszą o możliwości konserwatywnej rewolucji w tym kraju. Mimo retoryki przywołującej czasy gen. Franco wydaje się to jednak mało prawdopodobne. Zwyciężczyni elekcji, 42-letnia Isabel Díaz Ayuso, nie nadaje się raczej na ikonę takiego ruchu. W wywiadzie dla „El Pais" przyznała, że jest osobą niewierzącą (straciła wiarę w wieku lat dziewięciu) oraz rozwódką pozostającą w luźnym związku ze swym partnerem (fryzjerem Jairo Alonsem). Uważa paradę dumy gejowskiej za wspaniałą wizytówkę Madrytu, w sprawach aborcji czy eutanazji nie chciałaby zaś nikomu niczego prawnie narzucać. Choć trzeba przyznać, że w czasie kampanii wyborczej jej retoryka była o wiele bardziej wojująca i konserwatywna.

Wyniki wyborów w Madrycie udowodniły, że możliwe jest zwycięstwo prawicy w dużych miastach, które wydawały się bastionami lewicy i liberałów. Pokazały też, że straszenie faszyzmem nie przynosi spodziewanego rezultatu

Zupełnie inne poglądy reprezentuje natomiast stojąca na czele madryckiego oddziału partii Vox 47-letnia architekt Rocío Monasterio. Jej ojciec był kubańskim emigrantem, który musiał uciekać z kraju po zwycięstwie rewolucji Fidela Castro. W związku z tym od dziecka wychowywana była w duchu antykomunistycznym. Jest też praktykującą katoliczką, sprzeciwiającą się zdecydowanie aborcji, eutanazji czy ideologii gender. Jej mąż Ivan Espinosa de los Monteros pełni z kolei funkcję rzecznika prasowego parlamentarnej frakcji Voxu w Kortezach.

ZAPOWIEDŹ WIELKIEJ ZMIANY?

Tego rodzaju koalicja nie przeprowadzi radykalnych zmian, zwłaszcza w skali ogólnokrajowej. Może jednak dokonać znaczącej korekty na poziomie samorządowym, np. blokując lewicowe projekty inżynierii społecznej czy wzmacniając programy prorodzinne. Komentatorzy spodziewają się też większego oporu wobec lewicowej polityki historycznej, która walcząc z dziedzictwem gen. Franco ruguje z przestrzeni publicznej symbole chrześcijańskie. Jest to tym bardziej prawdopodobne, że Partia Ludowa w Madrycie jest znacznie bardziej konserwatywna niż w innych regionach kraju.

Koalicja dwóch prawicowych ugrupowań we Wspólnocie Madrytu może być też zapowiedzią przyszłych zmian na krajowej scenie politycznej. Partia Ludowa od dłuższego czasu, podobnie jak chadecy w Europie Zachodniej, traci swe chrześcijańskie oblicze, często zajmując w sprawach kulturowych i obyczajowych takie samo stanowisko jak lewica. Ta ewolucja ideowa była jedną z przyczyn powstania Voxu. Inicjatorami powołania tej formacji do życia byli bowiem dawni działacze ludowców na czele z Santiago Abascalem, rozczarowani dryfem swej macierzystej partii. Mają oni nadzieję, że pod wpływem Voxu ich dawne ugrupowanie zacznie wracać do swych chadeckich korzeni.

Przewodniczący Partii Ludowej Pablo Casado już zinterpretował wynik madryckich wyborów jako wotum nieufności wobec mniejszościowego gabinetu Pedro Sancheza. Większości Hiszpanów nie podoba się polityka gospodarcza rządu oraz sposób, w jaki walczy on z pandemią. Żeby odwrócić uwagę od pogarszającej się sytuacji ekonomicznej, lewicowa ekipa rozpętuje wciąż nowe wojny kulturowe i historyczne, walcząc z pozostałościami frankizmu oraz wskrzeszając język z lat 30. Może się to okazać jednak niewystarczające, by utrzymać władzę.

eprasa.pl ef27a56980

Fot. photocosmos1/Shutterstock

Zielona kanclerz i polskie dylematy

Annalena Baerbock w fotelu kanclerza oznacza zasadniczą zmianę stylu niemieckiej polityki, z wszelkimi tego możliwymi dobrymi i złymi skutkami również dla naszego kraju

JAN ROKITA

Jeśli w kluczowych kwestiach politycznych dotychczasowa kanclerz Niemiec wydawała się nazbyt powściągliwa i kunktatorska, to potencjalna przyszła kanclerz ma wszelkie dane, by stać się w tej mierze przeciwieństwem poprzedniczki. Styl uprawiania polityki zawsze zwykł mocno ważyć na jej treści i konsekwencjach. Jeśli zatem Zieloni istotnie wygrają wrześniowe wybory w Niemczech (a wszystkie znaki na niebie i ziemi na razie na to wskazują) – to musimy się również w Polsce liczyć z taką zasadniczą zmianą stylu niemieckiej polityki, z wszelkimi tego możliwymi dobrymi i złymi skutkami dla naszego kraju. Zresztą Annalena Baerbock jest od Angeli Merkel przeszło ćwierć wieku młodsza, co już samo w sobie niesie wyraźną pokoleniową zmianę niemieckiego przywództwa.

IDEOLOGICZNY PRYNCYPIALIZM

Jednak bardziej żwawy i bitny styl to kwestia nie tylko wieku i nieporównanie dynamiczniejszego temperamentu zielonej kandydatki na stanowisko kanclerza. Głęboka różnica pomiędzy Zielonymi a całą resztą tradycyjnej niemieckiej sceny tkwi bowiem w odmienności kultury politycznej. Cokolwiek powiedzieć o wszystkich ogromnych przeobrażeniach, jakie przeszła ta partia w ciągu 40 lat swego istnienia, nadal widać odciskające się na niej piętno wywodzenia się z radykalnych ruchów pacyfistycznych i ekologicznych. Międzynarodowa gra na kilku fortepianach, uniki w kwestiach ideologicznych czy motywacje historyczne i geopolityczne – a więc cały ten klasyczny stary styl, tak charakterystyczny dla Merkel – mogą już wkrótce, niemal z dnia na dzień, odejść do niemieckiej przeszłości. W niedawnym i szeroko komentowanym wywiadzie Baerbock dla publicznej telewizji ZDF jeden z rozmówców kandydatki niepokoił się tym, co paradoksalnie na-

13/0121/F

eprasa.pl ef27a56980

zwał „wysokim tonem moralnym” partii Zielonych. My moglibyśmy to zjawisko określić mianem ideologicznego pryncypializmu lub może nawet politycznego doktrynerstwa.

Problem wyniknął przy okazji planów dotyczących turystyki i samochodów. Baerbock została zapytana, czy po przezwyciężeniu zarazy Niemcy będą mogli nadal latać samolotami, jak poprzednio, czyli „nie jeden raz, ale dziesięć razy w roku na Majorkę”. Odpowiedź była tyle doktrynalna w treści, ile ostrożna w formie, tak by przed wyborami nie zrazić niemieckich mieszczan i emerytów (dla których wycieczki stanowią przecież połowę sensu życia). Z charakterystycznym dla niej talentem retorycznym Baerbock broniła zarówno planu ograniczania przez państwo ruchu lotniczego, jak i limitu prędkości 130 km/h na niemieckich drogach oraz zakazu rejestrowania samochodów z silnikami spalinowymi od roku 2030.

Pryncypializmowi ekologicznemu Baerbock sprzyja najnowszy wyrok niemieckiego Trybunału Konstytucyjnego, który unieważnił ustawę klimatyczną uchwaloną w 2019 r. przez koalicję CDU/CSU/SPD jako „zagrażającą wolności młodego pokolenia”. I zażądał zarówno zaostrzenia rygorów klimatycznych w krótkookresowej perspektywie, jak i doprecyzowania restrykcji dla poszczególnych branż gospodarki po roku 2030. Zaskoczony i przestraszony wyrokiem gabinet Merkel natychmiast przygotował nowy projekt prawa podnoszącego tzw. cele redukcyjne z dotychczasowych 55 do 65 proc. do roku 2030, co w praktyce musi oznaczać likwidację potężnego niemieckiego przemysłu węgla brunatnego do końca tej dekady.

Ekologia i klimat to dopiero początek zielonej pryncypialności Annaleny Baerbock i jej obozu politycznego. Dalej bowiem idą pryncypia w dziedzinie sprawiedliwości społecznej, kultury genderowej i zasad europejskich. Gromadzony zapobiegliwie przez państwo niemieckie tzw. fundusz opieki, który miał złagodzić efekt gwałtownego wzrostu liczby seniorów po roku 2034 (kwestia wyżu demograficznego), ma być zużyty natychmiast, bo trzeba podnieść standardy panujące w domach starców. Skutki finansowe zarazy mają być przezwyciężone za sprawą podatku majątkowego obciążającego tych, którzy posiadają majątek wart 2 mln euro. Umowa koalicyjna z udziałem Zielonych będzie zapisana nową niemczyzną „płciowo inkluzywną” (tzn. z dziwacznymi gwiazdkami rodzajowymi w słowach), podobnie jak przyszłe dokumenty państwowe. Popularny zielony burmistrz Tybingi ma być wyrzucony z partii, bo pozwolił sobie w sieci na ironiczny żart ze „złego rasizmu” niemiecko-murzyńskiego piłkarza. Imigrantom trzeba pozwolić na sprowadzenie do Niemiec ich rodzin, bo tego żąda idea humanitarna. Komisję Europejską natomiast Niemcy muszą jednoznacznie wspierać w walce przeciw przesądom płciowym i łamaniu praworządności. W każdej z tych kwestii Merkel dostrzegałaby ryzykowne

REKLAMA

Masz **PIT?**

Wnioskuj o Pożyczkę Gotówkową
bez dodatkowych dokumentów!

- Środki na **dowolny cel**
- **Minimum** formalności
- **Możliwość odroczenia spłaty** pierwszej raty nawet o 60 dni

RRSO: 17,18%

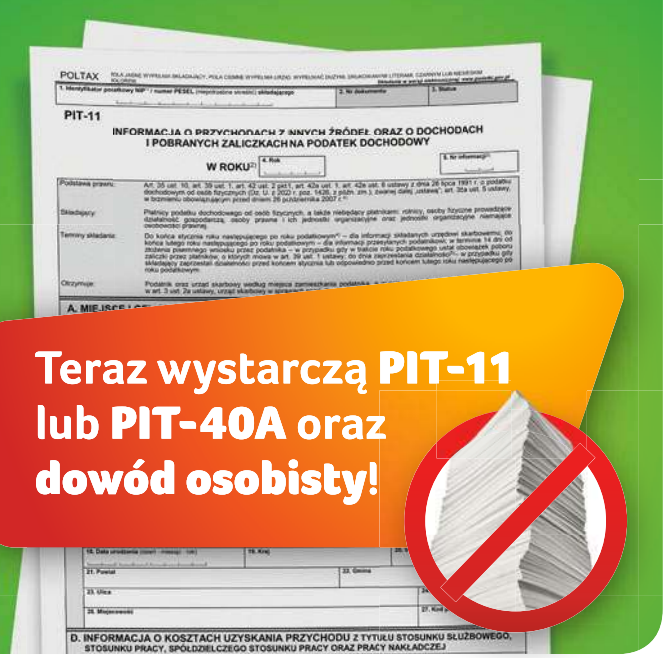

Teraz wystarczą PIT-11 lub PIT-40A oraz dowód osobisty!

kasastefczyka.pl
801 600 100 (koszt wg taryfy operatora)

KASA STEFCZYKA
Zawsze u siebie

RRSO oznacza rzeczywistą roczną stopę oprocentowania. Przedstawiona procedura dokumentowania przychodu dostępna jest tylko dla Członków uzyskujących akceptowalny przez Kasę dochód. Propozycja dostępna do końca czerwca 2021 roku. Szczegóły w placówkach Kasy. Decyzja kredytowa zależy od indywidualnej oceny zdolności kredytowej.

eprasa.pl ef27a56980

drugie dno, postulowała ostrożność i raczej czekała na rozwój zdarzeń, niż podejmowała jakieś stanowcze kroki.

PRZEŁOM W GRZE EUROPEJSKIEJ?

Ów „wysoki ton moralny" Zielonych (jak nazwali to Niemcy) dotyczy nie tylko ekologii i kwestii ideologicznych. Przenosi się również na politykę międzynarodową. Dla Baerbock Putin jest konserwatystą i dyktatorem, więc zastanawianie się, czy i jakie z nim robić interesy, jest niepojęte. Rurę bałtycką trzeba zamknąć, Rosję obłożyć sankcjami i popierać rosyjskie ruchy praw człowieka. Już wcześniej, gdy Baerbock powiedziała to po raz pierwszy na łamach „FAZ", ze stanowczym protestem odezwał się szef niemieckiej dyplomacji Maas. Z kolei w wykładzie w Federalnej Akademii Bezpieczeństwa kandydatka przestrzegła przed „niemiecką naiwnością w stosunku do Chin, które zwłaszcza w gospodarce są dla nas zagrożeniem". To znów oczywisty przytyk do asekuranckiej postawy Merkel, która wprawdzie nie kryła zadowolenia ze zwycięstwa Bidena w USA, ale na wszelki wypadek wolała na gwałt doprowadzić w grudniu do zawarcia chińsko-unijnej umowy gospodarczej, tak by nowy prezydent nie zdążył jej oprotestować. O komunistycznych Chinach Baerbock mówi dokładnie takim językiem jak Amerykanie: że toczy się „rywalizacja systemów – chińskiego autorytaryzmu i zachodniej liberalnej demokracji".

Dla Baerbock świat polityczny jest dużo mniej złożony i powikłany niż dla Merkel. Więc wymaga jasnych zasad i prostej polityki. Ma chyba rację komentator angielskiego „Guardiana", że taki styl niemieckiej polityki może jesienią wyznaczyć „europejski przełom w grze". Takiego przełomu z pewnością nie chcą ani Chińczycy, ani Rosjanie. Dyrektor rosyjskiej Rady ds. Zagranicznych Andriej Kortunow podkreśla, że „dla rosyjskiego kierownictwa Laschet jest optymalnym kandydatem na kanclerza". Szef chadeków jest postacią na Kremlu dobrze znaną i dawno już oswojoną, tu i ówdzie uważaną nawet za jednego z tych „rozumiejących Rosję", czyli mających instynktowną wyrozumiałość dla postępowania Kremla.

Możemy zatem zaobserwować ciekawy historyczny paradoks. Ani komuniści chińscy, ani dawny funkcjonariusz sowiecki na Kremlu nie życzą sobie na Zachodzie, a zwłaszcza w Niemczech, rządów o ideowej proweniencji lewicowej. Najbardziej urządzałaby ich autentyczna prawica, ale wobec jej słabości stawiają na chwiejnych liberalnych centrystów, takich jak chadek Laschet. Natomiast dla odmiany – w lewicowym rządzie Bidena perspektywa kanclerstwa Baerbock traktowana jest z nieskrywaną nadzieją.

> Baerbock stoi w sprawach wschodnich pośrodku, chcąc być bardziej asertywna wobec Moskwy i zarazem nie zbroić armii niemieckiej, więc wyręczanie się tutaj Amerykanami może być dla niej całkiem wygodne

KONSEKWENCJE DLA POLSKI

Nietrudno spostrzec, że zielony „wysoki moralny ton", jeśli zacząłby wyznaczać ton polityki niemieckiej, musiałby mieć spore skutki również dla polskiej polityki. Merkel była dla PiS partnerem wygodnym. W polityce skrajnie praktyczna, czasem nawet posuwająca się do cynizmu, ale zarazem na śmierć i życie przywiązana do zasady starej niemieckiej chadecji, wedle której sąsiedzi – w tym zwłaszcza Francja i Polska – to strefa, w której Berlinowi nie wolno wywoływać otwartych konfliktów. W Warszawie wiedziano więc zawsze dotąd, że polityczny cynizm Merkel (gdy np. uporczywie rurę bałtycką z udawanym zdziwieniem na twarzy nazywała „zwykłym biznesem") da zawsze wystarczające powody, aby zwłaszcza na użytek wewnętrzny móc piętnować „złe Niemcy". Lecz zarazem władze polskie mogły mieć pewność, że z takiego powodu Merkel nie posunie się do jakiejś otwarcie nieprzyjaznej Polsce akcji wewnątrz Unii, np. do dania zielonego światła sankcjom z powodu sporu o „praworządność". To rządowi PiS dawało skrywane, ale ważne dla polskiej polityki poczucie bezpieczeństwa ze strony Berlina.

To wszystko może się teraz zmienić. Jarosław Kaczyński stanie wtedy przed dość zawiłym dylematem. Czy zawrzeć z nowym zielonym Berlinem nieformalny sojusz w sprawach wschodnich, znajdując tym razem silniejszy odzew dla takich choćby konceptów geopolitycznych, jak wciąganie Amerykanów w sprawy Ukrainy, Białorusi czy Mołdawii, albo otwarcie dla Kijowa perspektywy członkostwa w zachodnim sojuszu. Zwłaszcza że Baerbock stoi w sprawach wschodnich pośrodku, chcąc być bardziej asertywna wobec Moskwy i zarazem nie zbroić armii niemieckiej, więc wyręczanie się tutaj Amerykanami może być dla niej całkiem wygodne. Czy też prędko wdać się z nową niemiecką kanclerz w spór ideologiczny, licząc, że i tym razem będzie powtórka ze „stylu Merkel", tzn. ostrożnie i pragmatycznie, czyli bez realnych szkód dla Polski. Tyle że za rządów Zielonych scenariusz może wyglądać inaczej. Kosa może bardzo szybko trafić na ideologiczny kamień i dla Polski nagle może się zrobić dość ryzykownie. Nie są to proste dylematy do rozstrzygnięcia.

A od wiosny 2022 r. sytuacja w Unii może się jeszcze się bardziej pogmatwać, gdyby na czele Francji (co możliwe, acz niepewne) stanęła kompletnie odmienna kobieta – Marine Le Pen. Z polskiej perspektywy byłaby ona pewnie polityczną odwrotnością Baerbock – kompletna obojętność na „wysoki moralny ton", skrajny polityczny pragmatyzm i odmowa wspólnego frontu w kwestii wschodniej. Na przekór znanemu unijnemu powiedzonku, dla Warszawy mogłaby się nieoczekiwanie zrobić „Europa à la carte". To znaczy moglibyśmy wybierać, na który z dwóch krańcowo różnych zestawów obiadowych się decydujemy. Oczywiście w ogóle nie gustując w całości w żadnym z nich.

eprasa.pl ef27a56980

Był w Małej Moskwie, Londynie i... Brwinowie. Teraz Lesław Żurek pokazuje, jak znajomo potrafi „brzmieć jego twarz”

Nie zapomnisz mnie

Fot. Podlewski / AKPA

eprasa.pl ef27a56980

Fot. mat. prasowe

JOLANTA GAJDA–ZADWORNA

Po raz pierwszy w programie „Twoja twarz brzmi znajomo" porwał widzów, wcielając się w przedwojennego amanta polskiego kina Aleksandra Żabczyńskiego. Potem rozbroił publikę wersją jamajskiego wokalisty Shaggy'ego oraz wykonaniem „Chłopców radarowców" Andrzeja Rosiewicza, ale to Thomas Anders z Modern Talking zaprowadził go do finału 14. edycji show. Za pełne różu i kiczu wykonanie piosenki „You're My Heart, You're My Soul" otrzymał owacje na stojąco.

BEZ FORTEPIANU

Lesław Żurek pokazał w polsatowskim programie nie tylko wokalny i aktorski talent, ale też – dopełniony poczuciem humoru – dystans do kolejnych wyzwań.

Zasiadająca w jury Katarzyna Skrzynecka tak skomentowała jego poczynania: – Wszyscy go doskonale znają jako rozchwytywanego aktora, ale nie każdy wiedział, że to tak zdolny muzyk. Oprócz tego, że jest świetnym wokalistą, to jeszcze pięknie gra na fortepianie, czego nie miał okazji zrobić w programie. Myślę, że dla wielu jego talent muzyczny jest ogromnym zaskoczeniem i niespodzianką.

Wspominając wykonanie przedwojennego szlagieru „Już nie zapomnisz mnie", Żurek stwierdził: – Myślałem, że to się nie spodoba (...). To takie nie z tych czasów. A jednak minimalizm i precyzja, z jaką wcielił się w Żabczyńskiego, dały mu wygraną odcinka.

PRZYGODA W KINIE

Wśród rywalizujących w tej edycji programu: Tamary Arciuch, Mai Hyży, Anny Marii Siekluckiej, Magdy Narożnej, Michała Meyera, Piotra Gawrona-Jedlikowskiego oraz Pawła Górala, był zdecydowanie najbardziej doświadczonym aktorsko uczestnikiem.

Miał 26 lat, gdy rozpoczął przygodę z kinem. W 2005 r. nie tylko ukończył krakowską PWST, ale też zadebiutował epizodem w nowelowej produkcji „Solidarność, Solidarność". Przede wszystkim jednak zagrał jedną z trzech głównych ról (w noweli „Morze") w głośnym zbiorowym debiucie „Oda do radości". Reżyserami byli: Anna Kazejak-Dawid, Jan Komasa i Maciej Migas.

W tym samym 2005 r. Lesław Żurek pojawił się w obsadzie serialu, który opowiadał o grupce młodych ludzi. „Egzamin z życia" przypadł widzom do gustu, a aktorom przyniósł rozpoznawalność. Jednak prawdziwa aktorska szansa przyszła dwa lata później, gdy Ken Loach powierzył mu główną rolę w, nagrodzonym na festiwalu w Wenecji, społecznym dramacie „It's a Free World" („Polak potrzebny od zaraz").

MIŁOŚĆ I EKONOMIA

Ponoć w zdobyciu tej roli pomogły doświadczenia z Palm Springs i San Diego. Lesław Żurek trafił tam na pół roku jako student... ekonomii w ramach programu „Work and Travel".

Po powrocie do Krakowa, bynajmniej nie z powodu amerykańskich doświadczeń, przeniósł się na inną uczelnię i wydział. Studia aktorskie rozpoczął po tym, gdy... (dla kolegi z roku) porzuciła go dziewczyna, studentka PWST. Chciał jej udowodnić, że nie tak trudno wcielać się w kogoś innego, przystąpił więc do egzaminu i go zdał.

Potem miewał wątpliwości, czy dokonał dobrego wyboru, ale o to, by pozostał przy aktorstwie, zadbała już kolejna dziewczyna – Katarzyna, dziś żona i mama dwójki jego dzieci (Zuzi i Piotrusia).

Wiedza zdobyta na studiach ekonomicznych przydała się po latach przy produkcji spektakli teatralnych. Zanim jednak do tego doszło, młody aktor zdobywał popularność w kolejnych ekranowych przedsięwzięciach.

Zawodowy przełom przyniósł mu film Waldemara Krzystka „Mała Moskwa" (2008). Zagrał w nim polskiego oficera, który zakochuje się w żonie rosyjskiego pilota stacjonującego w tytułowej Małej Moskwie, czyli Legnicy. Oprócz recenzenckich pochwał pojawiły się nominacje do Złotej Kaczki oraz Nagrody im. Zbyszka Cybulskiego.

W tym samym 2008 r. stworzył kolejną pierwszoplanową postać – młodego pisarza, który dla sukcesu gotów jest złamać wszelkie moralne zasady – w filmie „Mniejsze zło" Janusza Morgensterna. Pojawił się również na planie „Londyńczyków" – serialu, który przez następnych kilka lat budził wielką sympatię widzów.

W ODCINKACH

Z czasem coraz częściej można go było zobaczyć w serialach, m.in.: „Kryminalni", „Układ warszawski", „Przepis na życie", „1920. Wojna i miłość", „Przyjaciółki", „O mnie się nie martw", „Blondynka". Zagrał w polskich komediach kinowych – „Randka w ciemno" (2010) czy „Los numeros" (2011), ale też w kręconym w Warszawie (przez australijskiego operatora i reżysera Chrisa Doyle'a) dreszczowcu „Izolator" („Warsaw Dark", 2011). Do współpracy zaprosiła go również Marta Meszaros („Zorza polarna", 2017).

Na dużym ekranie występuje teraz raczej w dalszych planach. Wyrazistą rolę miał okazję stworzyć w historycznym serialu „Stulecie Winnych", gdzie – na przestrzeni kilkudziesięciu lat – zagrał księdza Ignacego. Do dziś jest w długodystansowej obsadzie „Barw szczęścia" oraz „Pierwszej miłości".

eprasa.pl ef27a56980

Powrót Mickiewicza

Nasza wiedza o Adamie Mickiewiczu maleje, a nie rośnie, a poeta i jego dzieło – mówiąc językiem innego znakomitego poety – daleczeją nam w odbiorze społecznym. Ale niedawno ukazała się książka, która może się stać w tej mierze swoistym przełomem

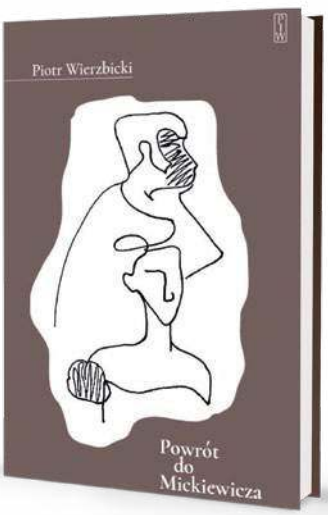

JERZY BIERNACKI

Często mówimy jego językiem, często przytaczamy jego słowa, nie zastanawiając się nad tym, kto je napisał czy powiedział, jego słowami żartujemy („Kobieto, puchu marny, ty wietrzna istoto"), niekiedy rozrzewniamy się lirycznie („Snuć miłość, jak jedwabnik nić wnętrzem swym snuje") albo z powagą przypisujemy mu słowa, co do których nie wiadomo, czy i gdzie je powiedział lub napisał czy też nie („Tylko pod Krzyżem, tylko pod tym znakiem, Polska jest Polską, a Polak Polakiem"). To prawda, lecz jednocześnie nasza wiedza o Mickiewiczu maleje, a nie rośnie, a poeta i jego dzieło – mówiąc językiem innego znakomitego poety – daleczeją nam w odbiorze społecznym.

Mimo że stale ukazują się książki o nim, by wymienić pozycję Tomasza Łubieńskiego o nieciekawym co prawda tytule („M jak Mickiewicz"), wcześniejszy cykl książek Jarosława Marka Rymkiewicza pt. „Jak bajeczne żurawie" („Żmut", „Baket", „Adam Mickiewicz odjeżdża na żółtym rowerze" i „Do Snowia i dalej") czy najciekawszą z nich Bohdana Urbankowskiego „Adam Mickiewicz. Tajemnice wiary, miłości i śmierci". Ale książki te, jakkolwiek wydobywające coraz więcej tajemnic z pełnej luk i niejasności biografii poety, a także z jego wiekopomnych dzieł, wydane w niewielkich nakładach, pisane z myślą raczej o wyrafinowanym czytelniku, nie uczyniły Adama Mickiewicza „mieszkańcem masowej wyobraźni". A przecież były czasy, gdy jego najważniejsze utwory, a zwłaszcza „Pan Tadeusz", zwany powszechnie narodowym arcydziełem, „zbłądziły pod strzechy".

NOWY BLASK

Na tym tle niewielka książeczka Piotra Wierzbickiego „Powrót do Mickiewicza", w sposób wysmakowany wydana przez Państwowy Instytut Wydawniczy (196 stron niewielkiego formatu), może się stać w tej mierze swoistym przełomem. A to przede wszystkim za sprawą szczególnego stylu autora, który jego wzorem (gdy pisze o stylu Mickiewicza) możemy nazwać stylem domowym, momentami nasyconym refleksjami z osobistych doświadczeń autora. Sprawia to, jak mi się zdaje, że książka może być czytana ze zrozumieniem przez czytelników o średnim wykształceniu, dysponujących jedynie niewielką szkolną wiedzą o poecie i jego twórczości. A jednocześnie każdy jej rozdział to esej literacki, jak to się mówi, z najwyższej półki.

Tytuł tego tekstu nie jest pomyłką, ponieważ istotnie chodzi, jak brzmi tytuł książki, o powrót do Mickiewicza, ale w jeszcze większym stopniu o powrót poety do nas, do współczesnych Polaków. Wierzbicki chce się do tego powrotu w jak największym stopniu przyczynić, odświeżając niejako obraz tej postaci, starając się nadać jej nowy blask, pokazać ją w nowym świetle, czemu służy też parę mniejszych i większych odkryć oraz rozjaśnień niejasnych miejsc w biografii poety, a także poprzez przypomnienie najważniejszych utworów, zarówno w kolejnych rozdziałach książki, gdzie m.in. omawia jego twórczość, jak i w dodatku na koniec, zatytułowanym „Autorski wybór tekstów Mickiewicza".

Ze strony wstępnej: „Strofy, które nie mają sobie równych. Pasjonująca publicystyka. Mądrości rozsiane po listach i stenogramach wystąpień. Służba publiczna na polu obywatelskim i narodowym. Oddanie prawdzie. Wobec win własnych twardy głos sumienia". Oto esencja programu książki.

W podobnym stylu początek pierwszego rozdziału pt. „Postać":

„Niewysoki, szczupły, z bujną czupryną, w mowie zaciągający z wileńska, w twarzy rys wschodni, kresowy, grube wargi, coś z dzikości, w końcu najpewniej potomek dawnych litewskich wojowników, choć od warcholstwa i zabijactwa roiło się jeszcze w pokoleniu przodków bezpośrednich i to w jego własnej rodzinie. Krzywy chód, stąd przydomek »krzywy« pośród kolegów z uniwersytetu. W pierwszym kontakcie milkliwy, wycofany. Niewylewny, skłonny jednak do uniesień – niektóre przybierają kształt improwizacji. [...] Stale zatroskany starszym bratem, kaleką. Wierny w przyjaźni, życzliwy młodszym poetom, uczynny w serwowaniu krytycznych uwag, pochwał, dobrych rad. Lubi konfitury. Pije wino".

Każdy przyzna, że dotychczas o Mickiewiczu nikt tak nie pisał.

eprasa.pl ef27a56980

Fot. Muzeum Narodowe w Warszawie

PRAWDA, MYŚL I STYL

Latem 1830 r. w Szwajcarii – powiada dalej Wierzbicki – poeta przed młodziutkim, 18-letnim Zygmuntem Krasińskim (który finansuje tę podróż) nieoczekiwanie wyznaje swoje poetyckie credo. „Credo arcyromantyka, credo pogromcy skostniałych formułek klasyczności, credo Gustawa, który właśnie po cichu zaczyna się przemieniać w Konrada. [...] Może to te słowa: „Niech nad martwym wzlecę światem/ W rajską dziedzinę ułudy" („Oda do młodości"). Albo te: „Miej serce i patrzaj w serce" („Romantyczność")". A może ta słynna improwizacja na zebraniu rodaków, sprowokowana przez Słowackiego:

Ja rymów nie dobieram, ja zgłosek nie składam,
Tak wszystko napisałem, jak tu do was gadam.
W piersi tylko uderzę, wnet zdrój słów wytryśnie,
A jeśli na tym prądzie iskra boża błyśnie,
Nie wynik to rozumu ani płód marzenia:
Od Boga ją przyjąłem na skrzydłach natchnienia.

Nie! Nie o to chodzi. Nie o „wzniosłe romantyczne tyrady" tutaj idzie, „dekalog poetycki Mickiewicza przedstawia się skromniej" – konkluduje autor – „i zawiera w jednym słówku, zresztą prozaicznym". Tym prozaicznym słówkiem jest... PRAWDA. „Nie ta poetycka, subiektywna [...], lecz s t a n f a k t y c z n y, przedmiot: t o, c o j e s t".

„Mam wstręt okrutny do wszystkich wysp i krajów, których nie ma na mapie, i królów, których nie ma w historii" – cytuje autor słowa poety z listu do A.E. Odyńca.

Oprócz Prawdy, także prawdy szczegółu i szczególiku, zgoła etnograficznej (jak w opisie obyczajów czy wyglądu gospodarstwa w „Panu Tadeuszu"), ważne są myśl i styl. Wierzbicki pisze o tym, czyniąc subtelne rozróżnienia i niuansując swój wywód, nie da się tego oddać bez cytowania większych fragmentów tekstu, więc poprzestanę tu jedynie na Mickiewiczowskim twierdzeniu, że musi to być myśl „dobrze zrozumiana przez pisarza" (czyli musi on po prostu wiedzieć, o czym pisze – jak dopowiada autor), a styl, „dobry styl to właściwa mowa, najbardziej zbliżona do rozmowy. [...] wszystkie zwroty pisma, szczególniej kiedy się rozprawia o rzeczach poważnych, wyższych, powinny prostotą i szczerotą wchodzić w tok rozmowy prostodusznej, prosto serdecznej" (słowa z listu do K. Łubieńskiej-Wodpolowej, 1854). Takiej, jaką pamiętamy z arcypoematu narodowego. Jest to ów styl domowy, swojski – o czym już wyżej była mowa. Potrafił poeta swoim ideałom dorównać, choćby w „Balladach i romansach", które rozeszły się w Wilnie błyskawicznie, „a najwięcej kupowały służące" – na koniec podkreśla autor.

Stylowi poświęca Wierzbicki cały kolejny rozdział, z mnóstwem cytatów (z różnych wierszy, z „Pana Tadeusza"), a konkluzja brzmi tak:

„Dwa bieguny, dwa sprzeczne żywioły, dwa skrzydła. Bunt – pojednanie. Męskość – anielskość. Pęd – spoczynek. Mickiewicz towarzyszy sercom i umysłom rodaków, zrazu („Ballady i romanse", „Dziady" część II i IV) w batalii o ducha i oblicze poezji, potem („Konrad Wallenrod", „Dziady" część III, „Pan Tadeusz") w bitwie o przetrwanie narodu. Styl Mickiewicza sekunduje temu dziełu. Stoi przy nas w radości i w biedzie. Wstrząsa, pociesza, pokrzepia".

Arcydzieła Mickiewicza, że tak powiem, przytłaczają, przeważają szalę proporcji w tej biografii, są większe od wszystkiego, co jeszcze w swoim życiu zrobił, kim był poza tym. Arcymistrz słowa, stylu, poezji, wieszcz narodowy czegóż tu więcej szukać? Tymczasem prócz tego był przecież uczonym, mędrcem, później profesorem literatur i języka Słowian, ale od młodości, gdy na przykład wydając „Ballady i romanse", poprzedził je szkicem „O poezji romantycznej", w którym zadziwił „[...] biegłością w rozumowaniu ogarniającym syntetycznie, skrótowo dwa i pół tysiąca lat dziejów mentalności i kultury europejskiej". W opublikowanym kilka lat później szkicu polemicznym „O krytykach i recenzentach warszawskich" dowiódł, że to nie on, ten dzikus z Litwy, co wdarł się na Parnas, lecz pseudoklasycy cierpią na niedostatek wiedzy, a on reprezentuje tę wielką tradycję literatury, liczoną od Homera. Jest erudytą, poliglotą, znającym grekę, łacinę, francuski, niemiecki, angielski, rosyjski, włoski, a nawet arabski (o tym ostatnim Wierzbicki w swojej wyliczance nie wspomniał), czytającym w oryginale Wergiliusza, Dantego, Petrarkę, Szekspira, Goethego, Schillera i Byrona. Zygmunt Krasiński, zadziwiony tym wszystkim, pisze (w liście do ojca), że „jest to człowiek najoświeceńszy, którego dotąd widziałem...".

Gdy w 1841 r. rozpoczął swój cykl wykładów w College de France, cała niemal elita Paryża zjeżdżała się tutaj powozami, by ich słuchać. Wykładał po francusku, stenografowano je, w sumie zebrały się cztery opasłe tomy, znajdują się w wydaniu narodowym dzieł Mickiewicza. Natomiast nie są szerzej znane, gdyż nikt nie pomyślał o tym, by wydać ich rozumowany wybór, z odpowiednimi przypisami i ze wstępem czy posłowiem.

eprasa.pl ef27a56980

Pamiętam m.in. wykład VI, o Piotrze Wielkim (i polecam gorąco jego lekturę), to nawet dziś jest, krótko mówiąc, rewelacja. Zadanie dla dzisiejszych wydawców, może przede wszystkim dla Państwowego Instytutu Wydawniczego, przywróconego do życia przez MKiDN, bo jest to wydawca z misją.

Piotr Wierzbicki w pełni przywraca wyjątkowo wysoką pozycję Mickiewicza jako uczonego, profesora i mędrca w rozdziale o takim właśnie tytule. I dowodzi, że jest to, by tak rzec, niemal równoważny z twórczością poetycką czynnik wielkości Poety. Chociaż to ta twórczość budzi w różnych rozdziałach książki spontaniczne zachwyty autora, wspomagane przez krótkie spostrzeżenia i podkreślenia, nad „Śmiercią pułkownika", nad „Mędrcami", nad „Polały się łzy me...", nad fragmentami obu arcydzieł i innych dzieł.

SPRAWA NARODOWA

Kolejną sferą życia i pracy Mickiewicza, której Wierzbicki najwyraźniej chce przywrócić blask i splendor (bo przecież w pełni na to zasługuje), jest działalność, którą należy określić jako narodową. A więc publicystyka, obfity udział w redagowaniu i zwłaszcza w zapełnianiu artykułami „Pielgrzyma Polskiego", napisanie dzieła wyjątkowego, jakim były „Księgi narodu polskiego i pielgrzymstwa polskiego", które przyniosło Mickiewiczowi sławę międzynarodową, gdyż przetłumaczono je na wiele języków. W „Księgach...", stylizowanych na formę opowieści biblijnej, pojawia się porównanie sytuacji Polski do Chrystusa („Polska Chrystusem narodów"), co nie spodobało się wielu obcym; podobnie jak On została zabita i złożona do grobu, lecz, w przeciwieństwie do zmaterializowanej Europy, przechowała pamięć dwu najcenniejszych fundamentów jej życia – chrześcijaństwa i wolności – i dlatego jak On zmartwychwstanie. Rzecz zawiera wiele przypowieści i dobrych rad dla Polaków zmuszonych do emigracji i jest arcydziełem pisarstwa politycznego. Wydana własnym sumptem poety w formacie książki do nabożeństwa, odegrała pewną rolę wychowawczą w polskich środowiskach za granicą i w kraju. Dlatego autor przykłada do niej wielką wagę, jako do dzieła budującego wyjątkową pozycję Mickiewicza i jego wielkość.

Potem są ważne, choć nieskuteczne starania o utworzenie legionu włoskiego i założenie czasopisma „Tribune des Peuples", w sporej mierze wypełnianego przez poetę tekstami publicystyki politycznej. Te kilka miesięcy intensywnej pracy publicystycznej po raz kolejny ujawniło wielki talent Mickiewicza jako pisarza politycznego. A jest ponadto przykładem nieustawania jego aktywności, gdy zawiódł „Wielki Plan" kontynuowania pracy twórczej, poetyckiej, a podjęte próby okazały się nie osiągać poprzedniego poziomu. Chodziło o kolejne części „Dziadów" i drugą część „Pana Tadeusza", których próby poeta surowo osądził i dozwolił Wierzbickiemu przedstawić smętną scenę palenia (wspólnie z synem Władysławem) powstałych rękopisów. Warto podkreślić, że autor uważa ów „Wielki Plan" za bardzo ważny element wiedzy o Mickiewiczu, ponieważ zaprzecza on różnym wątpliwym tezom o jego niemocy twórczej, wypaleniu się talentu poetyckiego itp. Zresztą tezom tym zaprzeczają też przepiękne liryki lozańskie, chętnie, z admiracją przez Wierzbickiego przywoływane.

Można by jeszcze napisać o prostym i logicznym wyjaśnieniu postawy Mickiewicza podczas powstania listopadowego, prowokującej wielu do posądzenia poety o tchórzostwo lub lekceważenie wysiłku powstańczego (chodzi o jego pobyt w Poznańskiem), a także o przedstawieniu „Pana Tadeusza" jako poematu tragicznego, bo przecież prawdziwy koniec dzieła to nie „O roku ów" ani „Kochajmy się", ale to, czego w nim nie ma: tragiczny rezultat wyprawy Napoleona wraz z Polakami na Moskwę i koniec marzeń o odzyskaniu przez Polskę niepodległości wraz z upadkiem Księstwa Warszawskiego, które było tych marzeń przyczółkiem.

ROZUM I WIARA

Brak już miejsca, by zająć się rozdziałem poświęconym temu, co Wierzbicki nazywa „wzlotem metafizycznym" poety (w Wielkiej Improwizacji w III części „Dziadów"), gdzie rozważane są sprawy eschatologiczne, chociaż w lekkiej poetyckiej formie („Czym jest me czucie?/ Ach iskrą tylko!/ Czym jest me życie?/ Ach jedną chwilką!...". Itd. Potem będą pytania o śmierć, o Boga, o wieczność... i takie same odpowiedzi. Wierzbicki przypomina, że podczas pobytu we Włoszech poeta odzyskuje wiarę, którą utracił prawdopodobnie jeszcze na uniwersytecie w Wilnie i odwołując się m.in. do wiersza „Rozum i wiara", pisze jeden z najpiękniejszych esejów w tej książce. A Mickiewicz w tym opisie osiąga szczyty myślenia filozoficznego na poziomie z pogranicza mistycyzmu. Rezultatem zaś tej przemiany jest mocna pewność, że fundamentem polskiej wolności jest chrześcijaństwo, wyrażona wielekroć i w „Księgach narodu polskiego..." i w wielu innych pismach.

Nie opowiem też o wyższości języka Mickiewicza nad językiem współczesnym, dowodzonej przez Wierzbickiego drogą jego własnego eksperymentu, ani o „lawie i skorupie" (osobny rozdział), czyli o antynomii: zdrowy moralnie lud vs zdemoralizowana i skorumpowana elita, ani nie przedstawię „Autorskiego wyboru wierszy" z końcowej części książki, bardzo ważnego dla jej oceny.

* * *

Zakończę apostrofą do poety wieńczącą właściwy tekst autora, a świadczącą zarazem o najwyższej pozycji, jaką dla Mickiewicza w Polsce dzisiejszej chce on widzieć i na ten diapazon swoją książką go (z powrotem) wynieść (warto usłyszeć prozodię tego tekstu, nawiązującą do inwokacji do „Pana Tadeusza"):

„Poeto Niemna, Wilii i pradawnych drzew. Ty, coś ku przestrodze majową piosenkę cymbalisty zmącił plugawym jazgotem sprzedawczyków, jak przed laty ruszyłeś mi z odsieczą, gdym samowolnie potykał się z »warszawką«, i zaraz mogłem imieniem Wieszcza zgorszone poprzymykać gęby, tak nas umocnij w staniu przy Ojczyźnie i przypilnuj, byśmy się jej nie wyrzekli za srebrniki, ze strachu bądź z gnuśnej sytości kiełbasą, schabem i gorzałą".

PS W tekście o Marianie Hemarze („Sieci" 13/2021) popełniłem błąd, pisząc o jakoby nieogłoszonym roku Cypriana Kamila Norwida, który niniejszym prostuję. Otóż w listopadzie 2020 r. Sejm RP ogłosił rok 2021 rokiem Krzysztofa Kamila Baczyńskiego i Tadeusza Różewicza, a także Cypriana Kamila Norwida, kard. Stefana Wyszyńskiego, Stanisława Lema, Grupy Ładosia oraz Konstytucji 3 maja.

Jeszcze raz przepraszam, Jerzy Biernacki

eprasa.pl ef27a56980

3 MIŁOŚCI

Pokolenie „dej”

ROBERT TEKIELI

„Hej :) Mam na imię Aneta i zbieram na samochód marzeń. W przyszłości chciałabym brnąć w kosmetykę (dodam, że już się troszkę tym zajmuje) fajnie by było mieć swój samochodzik żeby dojeżdżać do klientek. Dzięki wielkie z góry :)”.

Biologicznie degradująca mózg komórkoza uwsteczniająca, wzrastanie w kulturze rozbitego imaginarium, spadek IQ kolejnych pokoleń, rozchwianie tożsamości wynikające z procesów cywilizacyjnych i presji marksistowskiej ideologii, miażdżąca wszelkie rozróżnienia popkultura na usługach rewolucji oraz brak zakorzenienia, to tylko niektóre z przyczyn powstania pokolenia „dej”.

„Hej :) mam na imię Hanna, niektóre z Was pytają mnie co bym chciała dostać na 30 urodziny. Wystarczy mi pamięć i obecność w relacji. To najważniejsze. A poza tym: komputer stacjonarny + artykuły biurowe, żebym mogła uczyć się i grać w gierki. Marzę o tym, uwierzcie. Może jesteście w stanie mi pomóc?”. To Hanna Zagulska, feministka z poznańskiej Grupy Stonewall. Dziennikarka Polsat News Agnieszka Gozdyra złośliwie spuentowała jej postawę: „Z zawodu jestem aktywistką. Dej stówkę”. A w obronie mentalności żebraczej stanął, a jakże, inny aktywista LGBT Bart Staszewski: „Z okazji urodzin @hmzagulska wszystkiego najlepszego dobra osobo. A twitterowe gozdyrzenie olej ciepłym moczem”.

Zdrowemu, sprawnemu człowiekowi nie godzi się żebrać. Tak myślano dotąd. Idzie nowe pokolenie. Dojrzała kobieta jak Cyganka wyciąga rękę i mówi: „Dej!”.

W Szwecji nasza „mała bohaterka” Greta monetyzuje za to swoją popularność. Aktywistka została jednodniowym redaktorem naczelnym liberalnego dziennika „Dagens Nyheter” i zareklamowała BMW w dieslu. Reklamę zaprojektowano w ten sam sposób, co jej plakat „Szkolny strajk dla klimatu”. Internauci mówią o „zielonym praniu pieniędzy”, bo ekolodzy walczą przecież zaciekle, by „brudne diesle” miały zakaz wjazdu do miast. Czy Greta ma w domu klimatyzację? Oczywiście, że ma. Pokolenie wygodnego buntu. Im się należy.

Jednak zdeprawowani aktywiści są tylko pars pro toto swego pokolenia. Coś złego stało się już z mieszkającymi z mamą 45-latkami. Ale pojawiło się nowe. 20-, 30-latki reagują oburzeniem, gdy pojawiają się jakiekolwiek wymagania.

Jakie są przyczyny powstania pokolenia „dej”? Winny tej sytuacji kryzysu jest nie tylko upadek uniwersytetu i szkolnictwa na Zachodzie, nie tylko roztrzaskanie chrześcijańskiego imaginarium przez filozofię oświeceniową, istotny był również zanik literatury i filmów budujących wzorce. Jest bowiem tak: najpierw Wokulski, Staś Tarkowski, Trylogia, potem Kamil Baczyński, „Rudy” i „Zośka”. Niestety, po romantyzmie i pozytywizmie nastał w literaturze histeryzm. Okres literacki, w którym słyszymy tylko: Ja. Ja. Ja. Skrzywdzili. Skrzywdzili.

Do tego komórkoza uwsteczniająca, o której pisałem wyżej, jest najprawdopodobniej przyczyną głupienia kolejnych pokoleń. U ludzi urodzonych po 1975 r. IQ zaczęło się obniżać nawet o 7 pkt na pokolenie – tak mówią opublikowane w 2018 r. w Proceedings of the National Academy of Sciences badania norweskich naukowców Bernta Bratsberga i Ole Rogeberga z Centrum Badań Ekonomicznych Ragnara Frischa w Oslo.

Dziś zamiast dzieł kultury kolejne pokolenia formatuje reklama. Relacje zapośredniczone przez media społecznościowe nie są wystarczająco mocne, by prawidłowo socjalizować. A uderzanie w tożsamość młodych ludzi? Robi się to poprzez wymuszone rozmywanie tożsamości płciowej, ośmieszanie przywiązania do ojczyzny i wykorzenianie. Słoiki wstydzą się swej wsi czy swojego miasteczka, wstydzą się też swojej dzielnej, choć niewykształconej matki. Ten, kto odcina się od wsparcia najbliższych i wstydzi małej ojczyzny, jest słaby. Człowiek wykorzeniony i rozchwiany ma mniejszą siłę psychiczną oraz słabszą wolę. Kobiety udają mężczyzn, po ulicach chodzą niemęscy mężczyźni. Tacy, co to popłaczą się o dziewczynę. Zamiast walczyć, a nawet się pobić. Krzywdyśmy sobie nie robili. No i dziewczyny były szczęśliwe.

A dzisiejsza skrajna nieodporność młodych ludzi na bzdury obrażające rozum? Widziałem właśnie zawodowo zrobioną reklamę amuletów. Wydano na nią grubą kasę. Są zatem w XXI w. ludzie zdolni wierzyć w „optymalizację obfitości” dzięki zrobionej z kamyczków czy drewnianych koralików bransoletce feng shui. Czy wystarczy im, że noszą ją celebryci?

Formowany jest dziś człowiek absolutnie nieodporny na manipulację, a miszmasz w głowie i sercu to recepta na życiową tragedię.

PS W sobotę 22 maja zapraszam zatem na seminarium „Zmanipuluję Cię, kochanie”. Deszyfrowanie technik manipulacji oraz nabywanie umiejętności rozpoznawania nowocześnie opakowanych oszustw, przesądów i zabobonów, 90 minut wykładu + 20’ odpowiedzi na pytania. Zgłoszenia: Robert.Tekieli@tlen.pl.

eprasa.pl ef27a56980

POPKULTURA

Niewarte Niedawno miał premierę na Netfixie serial, który kiedyś zapowiadałem. Ośmioodcinkowa polska seria pt. ***„Sexify"***. Miała według zapowiedzi „zrewolucjonizować życie erotyczne Polaków", choć w kraju Lwa Starowicza i Michaliny Wisłockiej twierdzenie, że „kobiecy orgazm to temat lekceważony i pomijany", jest dość odważną tezą. Serial jest hitem na Netflixie w Indiach. I od premiery nie schodzi z listy najchętniej oglądanych produkcji w Polsce. Zdobył też ogromną popularność w Niemczech i we Francji.

Główna bohaterka serialu jako swoją pracę dyplomową z informatyki zrobiła apkę o orgazmie oraz „laboratorium masturbacji". Aplikacja ma zaspokajać potrzeby seksualne kobiet. Na potrzeby pracy dziewczyna postanawia wreszcie „być sobą" i odkryć własną seksualność. Pomagają jej w tym dwie koleżanki.

Serial według zapowiedzi miał się skupiać na odkrywaniu, czym jest girl power i kobieca seksualność. W rzeczywistości „Sexify" jest obrzydliwy, wulgarny, z bardzo dosłownym seksem i masturbacją. Katolicy są przedmiotem drwin. Jedna z głównych bohaterek jest katoliczką, uprawia seks ze swoim narzeczonym i non stop chodzi do spowiedzi. No a ksiądz jest zacofany i ucieka, gdy słyszy słowo „masturbacja".

W serialu gra wiele polskich gwiazd, w tym Cezary Pazura i Małgorzata Foremniak. Jedna z występujących w serialu młodych aktorek, Aleksandra Skraba, rozbawiła mnie do łez. Stwierdziła w jakimś wywiadzie, że nie chce „być odbierana po prostu jak przedmiot seksualny". Logiczne więc było zagranie w serialu, w którym nagość jest towarem. Z rzeczy zabawnych z ekranu słyszymy jeszcze mądrości o małżeństwie: „Na zawsze to są rozwody" oraz epokowe: „A teraz będziemy oddychać waginą". Mówiąc poważnie, zastanawiam się: naprawdę młoda Polka musi sprawdzić, czy przepuszczanie miesięcznie plutonu facetów przez łóżko ją uszczęśliwi?

POPKULTURA

Zobaczymy Powraca jeden z największych serialowych hitów Netflixa nie tylko dla młodzieży – ***„Stranger Things"***. Właśnie pojawił się zwiastun czwartego sezonu serialu, na który fani czekali niemal dwa lata. „Stranger Things" pokazuje rzeczywistość amerykańskiej prowincji, bezpieczny mały świat, w który wdziera się powoli niewyobrażalne zło pochodzące z rzeczywistości równoległej. Grupa dzieciaków, nastolatków próbuje zapanować nad tą złą materią, uratować bliskich i raz na zawsze oddzielić zły porządek od rzeczywistego. Mamy tu serialowo wtórny wątek naukowych badań nad dziećmi obdarzonymi nadzwyczajnymi mocami, ale fabuła prowadzona jest pewnie i niemal wszystkie odcinki każdego z sezonów ogląda się w napięciu. Mamy też bardzo dobre aktorstwo: urzekającą Millie Bobby Brown w roli głównej oraz wspaniałą Winonę Ryder. Prawdopodobnie premiera czwartego sezonu będzie w drugiej połowie 2021 r.

POPKULTURA

Warte I kolejna rzecz warta obejrzenia na Netflixie. Serial fantasy ***„Cień i kość"***. Rozgrywa się w oryginalnym uniwersum wzorowanym na XVII-wiecznych carskiej Rosji, Skandynawii i Chinach. Ostateczną bitwę o losy świata muszą stoczyć główna bohaterka Alina, która się okazuje „przywoływaczką światła", i Czarny Heretyk władający ciemnością, reprezentujący totalne zło. Serial jest fascynujący, wciąga, mimo że nie ma w nim praktycznie obowiązkowych popkulturowych wabików: scen seksu ani nagości, a przemocy jest mniej niż w podobnych produkcjach. Mamy przepiękną scenografię, kostiumy, genialną grę aktorską, fantastycznie wykreowane, wyraziste

postacie, które ewoluują w nieoczywisty sposób. Najważniejsze niebezpieczeństwo związane z serialem polega na tym, że wielu widzów nie oparło się i całą serię obejrzało w czasie jednej wieczorno-nocnej sesji. „Cień i kość" docenili widzowie na całym świecie. Od dnia premiery bił rekordy popularności. W Polsce obecnie w rankingu oglądalności zajmuje siódme miejsce, ale przez wiele dni był w pierwszej trójce.

Robert Tekieli
Polskie Radio

eprasa.pl ef27a56980

Wojciech Stanisławski

Kawusia z krytykiem

Pyszna, okrutna groteska ukazująca świat „młodej sztuki": jak to się stało, że na Annę Sudoł nie spadł jeszcze tuzin pozwów?

Ach, te wernisaże, te kol(aud)acje! Ten świat artystów/tek, kuratorów/rek, krytyków/czek (a nawet, uczyńmy ten akapit jeszcze bardziej nużącym dla oczu w imię hiperpoprawności genderowej, tak miłej, tfu, tak niezbędnej w tamtym świecie: krytyków/czek/kxw)! „Zobacz, zobacz, tam stoi M.! Z kim, z J.? Nie, J. ma teraz retrospektywę w P. Ależ Z. się nawciągał. Jezu, przyszedł R.! Wiesz, że on był nominowany do Kokoschki i Pritzkera jednocześnie?".

Tak, to świat barwny, wymarzony, nieprzejrzysty jednak dla zwykłych śmiertelników: jeszcze w nim więcej niż w innych salonach kodów środowiskowych, aluzji, nieoczywistych hierarchii. Na drugi rzut oka – przezabawny, za sprawą apetytów i zawiści, ego przekrwionych niczym grzebień dorodnego indyka: od lat pisano z przymrużeniem oka o artystach zabiegających i artystach nabzdyczonych, o rozdających fawory paniach Verdurin.

Na trzeci rzut oka jednak to świat śmiertelnie groźny: natężenie ambicji zawodowych podbitych samouwielbieniem, w połączeniu z nieoczywistymi regułami przyznawania grantów, stypendiów, subwencji, z „bańką" wielocyfrowych honorariów czyni ten świat dżunglą. „Potem pić tylko wodę nie spuszczać oka z Szabłowskiego/ wyjść do ogrodu i wrócić gdy już wyniosą ciało" pisał (tymi słowy czy jakoś podobnie) klasyk. Mafiosi, narkobaroni i szpiedzy, chociaż sami zwyczajni owijania zwłok w czarny worek, z trwogą szepcą o najnowszych ambalażach w Galerii F., przekonani, że życie w świecie trucizny, garoty i czapy jest mimo wszystko prostsze.

Tyle że mimo postępów sztuki jedna reguła nie przestała w niej obowiązywać: żeby opisać jakiś świat w sposób w miarę rozpoznawalny, trzeba go choć trochę znać. Dlatego taką porażką są wycieczki pod adresem środowiska „młodej sztuki" pióra boomerów: zwykle sprowadzają się one do frazy o „sojowym latte", postrzeganym przez miłośników zalewajki w szklance jako szczyt perwersji. Ta fraza, chociaż bezmleczna, skisła już niczym wczorajszy twaróg z PGR Manieczki, co prawicowym felietonistom oczywiście nie przeszkadza – ale też nie zbliża nas nawet o włos do rzeczywistego świata krytyków/czek/kxw. Dlatego tak cieszę się z „Projektu" Anny Sudoł.

Oczywiście nie jest to reportaż ze świata kuratorek i marszandów. To grubo kreślona groteska, której można by znaleźć pół tuzina patronów, od Swifta po Lema: wszechpotężna Instytucja, która rozstrzyga o karierze, grantach i życiu dziesiątków wczepionych w nią performerów, jakby wyrosła wprost się z „Pamiętnika znalezionego w wannie". Najbliższe pokrewieństwo łączy jednak w moich oczach „Projekt" z opowiadaniami Janusza Głowackiego z początku lat 70.: „Wirówki nonsensu", „Nowego tańca la-ba-da" i „Paradisu". Głowacki, wtedy jeszcze nie celebryta, a młody, wściekły prozaik, opisywał środowisko warszawskich playboyów, wannabies, studentek ASP i młodych sekretarzy w taki sposób, że w końcu śmiech zamierał na ustach nawet smakoszom „czarnej" prozy: opisy melin, orgii i morderstw nie wytrzymywały konkurencji z cynizmem, zakłamaniem i okrucieństwem w białych rękawiczkach.

„Projekt" szczęśliwie balansuje między spojrzeniem kpiącym a odzierającym ze złudzeń. Dziesiątki scen ukazują obłudę środowiska młodej sztuki, obsesję stylizacji i pozorów. Dysonans między (deklarowanym) nakazem bezwzględnej szczerości i potrzebą radykalnej ekspresji a kreowaniem wizerunku za pomocą butów, sałatek, menu, kryptocytatów i znajomych jest rodem z humoreski o obłudnikach. Z Tartuffe'ów dworowano sobie zawsze, czemu więc nie wziąć na widelec Karola, który „każdego ranka budził się w starym politurowanym łóżku, co obrzydzało go kompletnie. Znajomym postanowił opowiadać, że wystrój mieszkania jest efektem jego wysublimowanego kaprysu, dającemu wyraz sprzeciwu wobec dominujących – acz chwilowych – tendencji". Tak, w grotesce Sudoł nie zabraknie przebieranek, intryg, snobizmów na upcykling i dietę paleo, ba, nawet wspomnianej już wyżej kawy z mlekiem, bez której – jak widać – nie da się pisać o młodych artystach: „– Myślałem, że masz nietolerancję laktozy? – Mam, w kubku jest podwójne espresso. Poprosiłem o kubek caffè latte specjalnie, lubię czasami poprawić sobie nastrój małym performance'em".

Prawdziwe ostrze tej powieści ukryte jest jednak głębiej: w zapisie języka i ge-

eprasa.pl ef27a56980

stów, które są czystą, wyzutą z treści konwencją („– Fajnie, że przyszedłeś. – To ja tobie powinienem podziękować"), kryjącą bezwzględną rywalizację o dostęp do Instytucji, który oznacza szansę na kreowanie, na obecność w oczach innych, na echo. Nie tylko tak archaiczne relacje, jak przyjaźń czy miłość, lecz również seks i chciwość w gruncie rzeczy nie organizują w żaden sposób świata Romy, Karola, Mateusza i Norberta: ich jedynym celem jest robienie kolejnych Projektów. Tak, to nowa wirówka nonsensu.

Nie jest to jednak, jak przedstawiały to niektóre recenzje, satyra na pracoholików, na korporacyjne szczury: kariery robione w mokotowskim Mordorze wydają się niemal niewinne w porównaniu z walką o dostęp do Instytucji, ponieważ mają jakiekolwiek odniesienie do rzeczywistości zewnętrznej. Senior brand manager marzy przynajmniej o porsche i Malediwach: to nieskończenie smutne, zgoda, ale przynajmniej materialne, kto zresztą nie chciałby spędzić kiedyś tygodnia nad ciepłym morzem. Karol i Mateusz muszą realizować Projekt, bo inaczej osuną się do świata, który nazywają „społeczeństwem": smutnych proli z dziećmi, z którymi nie łączy ich nic. Dlatego zrobią wszystko, by zyskać przychylność Mileny: siwej, wszechwładnej Kirke, rozdawczyni grantów.

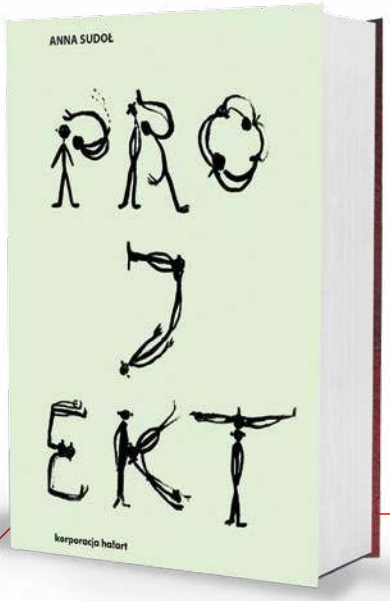

Anna Sudoł, „Projekt", Korporacja Ha!art, Kraków 2021

Czy w tej grotesce są elementy „powieści z kluczem"? Mon Dieu, to już na szczęście nie mój problem, niech się tym martwią, jeśli chcą, Anda Rottenberg czy Łukasz Ronduda. Ja mogę się najwyżej zastanawiać, czy komuś wystarczy odwagi, by „Projekt" pojawił się w księgarni Muzeum Sztuki Współczesnej. Bo że zagości w sklepiku CSW, nie wątpię.

Ukraińskie mity, klęski, sny

Nie można zaprzeczyć: historycy i publicyści polscy dużo piszą o Ukrainie. Ale, jak zauważa Tadeusz Olszański, „często traktujemy historię Ukrainy przede wszystkim jako dzieje współżycia i konfliktów z Polską". Taka ksobna perspektywa jest po części zrozumiała, podsuwają nam ją zarówno resentymenty za Pierwszą Rzeczpospolitą, jak traumy – rozbiorów, Orląt, Wołynia. Ale to perspektywa skrzywiona, nieuwzględniająca ani tego, że „główna linia dziejów Ukrainy to współżycie i konflikty z Moskwą, a potem z Rosją", ani dzieła ukraińskiej emancypacji narodowej – w 1814 będącej fantazją, w 1914 zaledwie się rozpoczynającej, w 2014, a tym bardziej w 2021, bliskiej dokonania.

Nie jest jednak „Ukraińskie stulecie..." prostą historią Ukrainy ostatnich stu lat: tych mamy w Polsce już kilka, z „Narodzinami nowoczesnego narodu" Jarosława Hrycaka na czele. Traktując o dziejach politycznych, symbolach oraz meandrach walk w latach „długiej pierwszej wojny światowej" (1917–1922) jest ta książka w swojej istocie opisem składowych ukraińskiej świadomości narodowej. Nie, więcej: dynamicznym opisem przemian tej świadomości, zmieniającej się roli, jaką w rozpoznawaniu się Ukraińców w swoim, jak powiedziałby wieszcz, jestestwie zajmują osoba, dorobek i mit Tarasa Szewczenki, Hołodomor, Czarnobyl, legenda Siczowych Strilców.

Tadeusz Andrzej Olszański, „Ukraińskie stulecie 1914–2014. Szkice historyczne", Wysoki Zamek, Kraków 2020

Krępuję się trochę, sięgając po słowa „uważność" i „empatia", które wyglądają, jakby sfrunęły ze skrzydełka, czy ja wiem, antologii feministycznej prozy nowozelandzkiej. Nie sposób ich tu jednak nie użyć: nie ma prac o Ukrainie, które łączyłyby tak głębokie zrozumienie tamtejszych urazów, resentymentów i złudzeń z rzetelnością badawczą, z wolnością od łatwych rozczuleń nad „braterstwem". „Ukraińskie stulecie..." łączy też bezwzględny antysowietyzm i uznanie dla ukraińskiej państwowości – z niewygodną dla autorów okolicznościowych laurek świadomością „błogosławieństwa zastoju", czyli tego, że czas od śmierci Stalina do pierestrojki był dla Ukrainy czasem dojrzewania. Łączy potępienie zbrodni Hołodomoru z chłodnym opisem tego, jak jej celebrowanie bywało rozgrywane politycznie. Piekielną erudycję (kto w Polsce, prócz Olszańskiego, potrafi wymienić wszystkie przypadki użycia na Ukrainie połączenia czerni z czerwienią, od szłyków, XIX-wiecznych kozackich papach, przez UPA, po gwardię honorową prezydenta Kuczmy?) – z talentem syntezy, który pozwala na kilku stronach nakreślić portret nieznanego niemal w Polsce hetmana Skoropadskiego. Niech padnie tu blurbowe, ale szczere zdanie: nie da się zrozumieć Ukrainy bez tej książki.

eprasa.pl ef27a56980

ZAREMBA PRZED TELEWIZOREM

Sitcom lekcją empatii?

Czy można się wzruszyć sitcomem? Czyli prościutkim serialem komediowym, pozbawionym plenerów, a złożonym właściwie ze skeczy? Polsat pokazał, że czasem tak. Oto Okił Khamidow wyreżyserował tam serialik „Kowalscy kontra Kowalscy". Khamidow ma doświadczenie gatunkowe, całe lata robił „Świat według Kiepskich". Mój stosunek do tamtego tasiemca się zmieniał. Zrazu niesmak koszarowym, grubym humorem. Potem docenienie daru wykreowania własnego świata, ze znakomitymi aktorami (dwaj zmarli niedawno), i z celnymi nieraz obserwacjami wykraczającymi poza tę jedną kamienicę. Po latach poczucie, że formuła się wypala.

Ten nowy sitcomowy cykl jest inny, jakby delikatniejszy („Kiepscy" mieli w sobie nie tylko szorstką rubaszność, ale i szczyptę okrucieństwa). Na początku zaszokował mnie pomysł. Oto dwa małżeństwa, o identycznym nazwisku, dowiadują się po 17 latach, że podmieniono im w szpitalu synów. Ponieważ takie historie zdarzały się w życiu, miałem poczucie, że sięgnięto po autentyczny dramat. Czy można bawić się czymś takim? To trywialne!

Tylko że... Wykreowano pewnie mało realną sytuację, w której, żeby nie krzywdzić chłopców, obie rodziny zamieszkują razem. W willi tych bogatszych, bo jedni Kowalscy są biedni, za to drudzy to profitenci dzikiego kapitalizmu. Khamidow trochę nie mógł się zdecydować, czy ci z nizin mają być eksponentami cwaniactwa à la Kiepscy, czy życiowej mądrości. Te klasowe starcia, gdzie bogacz jest robiony w konia przez nieudacznika z gminu, nadal nie do końca mnie przekonywały, choć to dziś modne. Ale...

Może ewolucja ich relacji okazała się zbyt cukierkowa. Jednak pomysł, że taki zbiór ludzi stworzy patchworkową megarodzinę, mnie ujął. Główne postaci stawały się coraz bardziej wielobarwne i coraz nam bliższe – dzięki Piotrowi Adamczykowi i Wiktorii Gąsiewskiej (bogacze), Wojciechowi Mecwaldowskiemu i Katarzynie Kwiatkowskiej (biedni) oraz niezrównanemu Pawłowi Wawrzeckiemu w roli dziadka Zenona. Także nieco zepchnięte na drugi plan, czyli do prywatnej szkoły, młodziaki: Patryk Cebulski i Jakub Zdrójkowski, na początku skłóceni, potem uznający się za braci, wypadli świeżo i przekonująco. Zwłaszcza kiedy w ostatnim, 20. odcinku zaśpiewali swoim „wspólnym mamom" o nietypowej historii Kowalskich – cóż, może za łatwo się wzruszam.

Że życie tak pewnie nie wygląda? Że na przykład wrzucenie bogatego rozpieszczonego dzieciaka do biednej rodziny pewnie owocowałoby czymś ponurym i nieprzewidywalnym. I że charaktery, nawyki nie zmieniają się tak szybko. Ale łudzę się, że dla typowego widza sitcomu to może życiowa lekcja. A nawet jeśli nie, cóż to szkodzi naładować akumulatory pozytywną energią?

To samo dotyczy drugiego sitcomu Polsatu „Piękni bezrobotni". Ta przypowieść o ludziach niemogących sobie znaleźć miejsca na powierzchni to popis duetu wytrawnych satyryków: Roberta Górskiego i Mikołaja Cieślaka. Ten pierwszy napisał scenariusz. Grają braci pokrzywdzonych przez kredyt frankowy, w każdym odcinku zatrudnionych gdzie indziej i zawsze przegrywających. Trochę humoru (nie zawsze równego, ale dziwnie jak na taki gatunek subtelnego), sporo obserwacji na temat logiki mało sprawiedliwego świata. Najzabawniejszych, kiedy w miejsce konkretu pojawia się urokliwy surrealizm.

Tu też mam wątpliwości, czy nie słodzi się nadmiernie dramatu wykluczonych, ale może takie spojrzenie ma sens. Mam nadzieję, że obie produkcje będą miały kontynuację.

No i Mikołaj Cieślak, polonista, staje się pełną gębą aktorem. Jako nadęty biznesmen Hamlet pojawia się i w „Kowalskich". Gratulacje, jestem pańskim kibicem.

Piotr Zaremba

arcest.pl ef2176980

Polacy poza horyzontem

SIECI

odc. 4

Wśród Ajnów i Kamczadali

PARTNER DODATKU

ORLEN

eprasa.pl ef27a56980

Osobliwe przypadki króla Ajnów

Jak większość Polaków w XIX w. podróżował niekoniecznie z własnej woli. Ale nawet w takiej sytuacji potrafił wpłynąć jak mało kto na lokalne uniwersum plemion Sachalinu i Wysp Kurylskich

Gdzieś w połowie 1887 r. Bronisław Piłsudski nie marzył już o niczym innym niż o katordze. Nie, żeby tak bardzo pragnął fizycznej pracy, którą carski wymiar sprawiedliwości zasądził mu w tartakach Sachalinu. Z natury był dość słaby i jak dotąd nie przepracował w swoim 21-letnim życiu nawet dnia. W tym jednak momencie miał za sobą wiele tygodni jazdy ciasnymi pociągami i siedzenia w przeludnionych celach kolejnych więzień. Nieraz dostał solidne lanie od podróżujących z nim więźniów kryminalnych. A teraz do tego wszystkiego doszedł sztorm, który na wodach Szanghaju złapał statek, pod którego pokładem płynął.

„Opary z suszących się przemokniętych rzeczy, nasz pot, szybko wypełniały całe pomieszczenie, tworzyły zaduch nie do wytrzymania. [...] Woda przedostająca się przez iluminatory, które nie zostały w porę zamknięte, zalała całą podłogę. Mimo to wszyscy leżeli na podłodze, tarzając się we własnych wymiocinach, odmawiając jedzenia i w chwilach rozdrażnienia pragnąc szybkiej śmierci" – skarżył się nieco później w liście do ojca.

Poważne skutki niepoważnego zamachu

Jak wszyscy Piłsudscy z jego pokolenia urodził się w Zułowie. I jak całe rodzeństwo – do momentu rozpoczęcia studiów – nie potrafił w zasadzie nic. Jego najmłodsze lata upłynęły na słuchaniu opowieści matki o romantycznych bojach powstania styczniowego i zabawach w odgrywanie kolejnych potyczek. Nieco później wraz z młodszym bratem Józefem usiłował nielegalnie uczyć młodsze dzieciaki nieocenzurowanej historii i kultury Polski. Zasadniczo jednak młodość w sielskich kresowych krajobrazach mijała mu beztrosko i pogodnie – nawet jeśli rodzina coraz bardziej ubożała. Podobnie jak reszta rodzeństwa nie miał sprecyzowanych zainteresowań. Był inteligentny i zdolny, uczył się szybko i łatwo, ale tak po prawdzie wszystko wskazywało na to, że wyrośnie na pozbawionego wyobraźni i ambicji urzędnika rosyjskiej administracji. Sytuację tę drastycznie i ostatecznie zmienił wyjazd do Petersburga.

Bronisław miał studiować tam prawo, ale w tych latach atmosfera na uczelni podpowiadała raczej, jak najskuteczniej prawo omijać. Roiło się tam od rosyjskich rewolucjonistów marzących o socjalistycznym przewrocie, jeszcze więcej krążyło po korytarzach młodych cudzoziemców, którzy snuli plany uwolnienia swoich nacji spod carskiego ucisku. Wszystkie te myśli splatały się przy obficie lejącej się wódce, układały w fantazyjne plany, a niekiedy nawet w bardzo konkretne działania. Wielu imponowała Narodna Wola – jedna z pierwszych na świecie organizacji terrorystycznych, która od lat dokonywała zamachów na przedstawicieli carskiej administracji. Miała już nawet na koncie zabójstwo cara Aleksandra II – nawiasem mówiąc, dokonane rękami Polaka Ignacego Hryniewieckiego. O wybuch nie było więc trudno i nastąpił on właśnie w 1887 r.

Fot. Biblioteka Narodowa

eprasa.pl ef27a56980

Młodzi radykałowie z Polski i Rosji, ale pod kierunkiem Polaka – Józefa Łukasiewicza – postanowili mianowicie zgładzić kolejnego cara, tym razem Aleksandra III. Nic ostatecznie z tego nie wyszło, bo ochrana skutecznie położyła kres zaawansowanym już przygotowaniom. Następstwa nieudanego zamachu były jednak bardzo poważne i odcisnęły się na losach świata. Po pierwsze, starszy z braci Piłsudskich współpracował wtedy z niejakim Aleksandrem Uljanowem, starszym bratem Włodzimierza, bardziej znanego jako Lenin. Po drugie, to właśnie na wieść o egzekucji brata po nieudanym zamachu młody Lenin ostatecznie się zradykalizował i obrał kurs na bolszewizm. Po trzecie zaś, na syberyjską katorgę został zesłany nie tylko Bronisław, lecz także jego młodszy brat Józef Piłsudski, który właśnie na Syberii, trochę z nudów i braku sprecyzowanych planów na życie, postanowił rozpocząć spiskową działalność polityczną.

O tym wszystkim Bronisław nie miał jednak jeszcze pojęcia, gdy kilka tygodni później wysiadał na brzegu Sachalinu.

Ludzie z ogonami

Sachalin był wówczas ogromnym, ponurym carskim więzieniem. Zima trwa tam dobrze ponad pół roku, temperatury spadają nawet do minus 50 st. C. Jak notował Antoni Czechow, wyspa tak naprawdę w ogóle nie ma klimatu, tylko podłą pogodę. Przez 180 dni w roku panuje na niej mróz, w ciągu 150 dni wieje przenikliwy wiatr, w ciągu zaś 200 coś pada z nieba – śnieg, deszcz, deszcz ze śniegiem, śnieg z deszczem... Do tego dochodziły napięte stosunki między samymi więźniami. Jak zanotował autor „Wiśniowego sadu", który przybył na Sachalin jako reporter w tym samym czasie co Piłsudski: „Kradzież jest tu rzeczą zwykłą i przypomina raczej rzemiosło. Więźniowie rzucają się na wszystko, co jest źle chronione. Kradną w więzieniu, okradają siebie nawzajem, okradają osiedleńców, kradną w czasie pracy, w czasie wyładunku statku".

I w takiej atmosferze znalazł się nagle Piłsudski. Szczęśliwie dla niego w tym czasie katorga jako system ciężkich robót syberyjskich w praktyce zupełnie przestała działać, bo nie przewidziano, że liczba więźniów znacznie przekroczy zapotrzebowanie na ich pracę. Jakąkolwiek pracę wykonywało średnio 3 proc. skazanych, reszta zaś spędzała czas w syberyjskich więzieniach bądź osiedlała się w okolicy. Piłsudskiemu bardzo szybko zaczęto więc zlecać znacznie lżejsze zajęcia. Prowadził obserwacje meteorologiczne, opracowywał i uzupełniał zbiory tamtejszej biblioteki, udzielał korepetycji dzieciom lokalnych urzędników, a już zupełnie z własnej woli zaczął się opiekować miejscowym plemieniem Ajnów.

Nikt nie wiedział i nie wie, skąd się wzięli na Sachalinie, ale z pewnością przebywali tam co najmniej od kilku tysięcy lat – w złotym okresie całkiem skutecznie prowadząc wojny z Japonią. Gdy przybył tam Piłsudski, byli jednak w stanie agonalnym. Wciśnięci między Rosję a Japonię, przez obie potęgi szczerze pogardzani i dyskryminowani, dogorywali w swoich wioskach – mocno już zdegenerowani, ale wciąż kultywujący swoje archaiczne zwyczaje, w tym szamanizm. Mówili językiem izolowanym – niemającym nigdzie na świecie swojego odpowiednika, przede wszystkim jednak wyglądali jak nikt inny, z uwagi na swoje nadzwyczajne owłosienie. „W życiu swoim nie widziałem jeszcze tak obrośniętego osobnika, nie dorównywali mu nawet słynni włochacze, spotykani przeze mnie wśród kaukaskich Ormian. Broda zaczynała mu się tuż pod oczami; podwiązana brudną szmatą czupryna zwieszała się kosmykami na czoło; z uszu, z nozdrzy wyrastały całe krzaki twardego włosia, pojedyncze włosy sterczały z końca potężnego nosa, rzęsy dorastały rozmiarów brwi, a brwi podobne były do ogromnych, strzępiastych wąsów. Ręce, nogi pokrywała sierść, a spod rozwartego na piersiach brzostowego kaftana wyglądały rudosiwe, niedźwiedzie kłaki" – pisał wstrząśnięty Wacław Sieroszewski, etnograf i pisarz, który wkrótce odegra znaczącą rolę w życiach obu braci Piłsudskich. Dodawał też coś o wyjątkowo długich włosach w okolicach krzyża, które przyjmowały postać „ogonków", co dało początek wielu legendom.

Bronisław zainteresował się Ajnami początkowo z powodów czysto humanitarnych. „Pociągało mnie z początku tylko dlatego, że było to jedyne na całej wyspie środowisko moralnie niezepsute" – przyznawał. Sytuacja zmieniła się, gdy poznał nieco starszego od siebie Lwa Sternberga – postać bardzo charakterystyczną dla ówczesnej Rosji, terrorystę nawróconego na etnografię, byłego członka Narodnej Woli, teraz zajmującego się z konieczności badaniem syberyjskich ludów. To on zachęcił Piłsudskiego do podjęcia badań wśród Ajnów i już wkrótce młody zesłaniec stanie się bodaj najwybitniejszym znawcą tego osobliwego ludu. Znawcą, ale też dobroczyńcą – szybko stał się bowiem pośrednikiem między nimi a lokalną administracją.

„Leczyłem ich, szczepiłem na ospę. Uczyłem ich czytać i pisać, gdyż szkół dla krajowców nie ma. Byłem ich tłumaczem i orędownikiem wobec władzy, a sam nauczyłem się mówić ich językiem, a raczej trzema językami. Zaufanie ich pozyskałem całkowicie" – wspominał. À propos języków, zabawną anegdotę opowiadał niejaki John Batchelor – brytyjski misjonarz, również pracujący wśród Ajnów i doskonale znający to plemię. „Spotkałem tego dżentelmena w Sapporo kilka lat temu i jedynym językiem, w którym mogliśmy poprawnie rozmawiać, był ajnoski – on w dialekcie sachalińskim, ja hokkaidzkim" – wspominał swoje spotkanie z Piłsudskim.

Etnograf i szpieg

Po pewnym czasie Piłsudski zdobył na tyle zaufanie władz, że bez problemu nieustannie kursował po wyspie, odwiedzając kolejne ajnoskie osiedla – a zaufanie samych Ajnów na tyle, że uznano go za współplemieńca. Miało to zasadnicze znaczenie dla jego badań. „Tytułowano go żartobliwie »królem Ajnów«" – mówił z uśmiechem Sieroszewski i dodawał: „Wtajemniczano go w obrzędy, o jakich Europejczyk z trudem dowiaduje się po wielu latach pobytu wśród tubylców, dopuszczano na misteria zakazane cudzoziemcom, śpiewano pieśni i opowiadano historie najbardziej drażliwe, pozwalano fotografować amulety

eprasa.pl ef27a56980

i bóstwa, sprzedawano lub darowano rzadkie przedmioty".

Ale popularność Piłsudskiego wśród Ajnów miała też bardziej praktyczne znaczenie dla jego życia osobistego. Wkrótce poślubił niejaką Chuhsammę, córkę wodza jednej z ajnoskich wiosek, i doczekał się z nią dwójki dzieci – urodzonego w 1903 r. syna Sukezo i od dwa lata młodszej córki Kyo. Nawiasem mówiąc, w latach 30. XX w. spotkał ich polski podróżnik Aleksander Janta-Połczyński. Jak wspominał: „Idziemy wreszcie zobaczyć Sinkincio [Chuhsammę – przyp. aut.], która już ponoć dowiedziała się o naszym przybyciu i niecierpliwi się, żeby nas spotkać. Jakiś Ajnus prowadzi ją za rękę – jest ślepa. Ma na oczach przepaskę czarną i chustkę pod przepaską. Jest patetyczna i pełna godności, ze wspaniałymi, czarnymi włosami. Zwyczajem zamężnych kobiet ajnoskich ma tatuowane na czarno wargi. Idzie niepewnym krokiem ślepców, ale trzyma się dobrze – niestara zresztą, 57 lat". Oprócz Chuhsammy podróżnik spotkał też Kyo, która w tym momencie była już matką czworga dzieci z mężem Ajnem imieniem Otani. „I właśnie ojciec, ciemny, czarny, jak czarna jest Kio, chce się przed nami popisać najstarszą córką i wynosi ją na ręku z głębi domu: dziecko czteroletnie o okrągłej buzi i dużych ciemnych oczach, ale o główce – ni stąd, ni zowąd – zupełnie płowej" – dodawał Połczyński.

Samego Piłsudskiego dzieci już jednak nie pamiętały, choć generalnie w czasach Połczyńskiego pamięć o polskim „królu Ajnów" żyła jeszcze w najlepsze. On sam jednak znikł z sachalińskiego pejzażu najpierw w 1896 r., kiedy amnestia zakończyła jego karę. Początkowo osiadł we Władywostoku, gdzie pracował w Muzeum Towarzystwa do Badań Regionu Amurskiego, ale wkrótce wrócił do Ajnów i przebywał wśród nich do 1905 r.

W międzyczasie wydarzył się w jego życiu ciekawy epizod, który nie musi, ale może świadczyć o tym, że obaj bracia Piłsudscy byli w jednej wojnie rosyjsko-japońskiej sprzymierzeńcami dwóch zwalczających się stron. Józef organizował wówczas w Polsce Organizację Bojową PPS, która zupełnie otwarcie podjęła współpracę z Japonią – donosząc o ruchach wojsk rosyjskich, dokonując aktów dywersji i otrzymując za to 33 430 funtów. Bronisław zaś został zmuszony do wzięcia udziału w ekspedycji Wacława Sieroszewskiego (także przymusowej) na Hokkaido. Oficjalnie Polacy mieli tam prowadzić badania etnograficzne tamtejszych Ajnów, ale nieoficjalnie wszelkie dane geograficzne, topograficzne i meteorologiczne tego obszaru trafiały wprost na biurka carskiej generalicji. Japończycy doskonale zdawali sobie z tego sprawę, odmawiali zezwoleń i piętrzyli trudności, a w końcu wydalili ich obu z wyspy, co zresztą uczcili wspólnie z Ajnami seansem szamańskim i solidnym pijaństwem, na które „sake wnoszono wiadrami".

Piłsudski wrócił na Sachalin, ale wkrótce zniknął z niego ostatecznie. W dość tajemniczych zresztą okolicznościach, bo choć formalnie był wolny, nie mógł opuszczać Syberii. Tymczasem po kilkumiesięcznej białej plamie w życiorysie odnalazł się w Japonii, gdzie rozpoczął walkę o prawa Ajnów, publikował rozprawy na ich temat – bardzo ważne, pod wieloma względami pionierskie, a przy okazji starał się nawiązać polsko-japońską wymianę kulturalną, zakładając Towarzystwo Polsko-Japońskie. Po pół roku znika jednak również z Japonii, by na jakiś czas odnaleźć się USA, a następnie – nie wiadomo jakimi szlakami – dotrzeć do Galicji.

Zwłoki w Sekwanie

Na terenach polskich nie próżnuje. Przemierza wzdłuż i w szerz Tatry, opisując tutejszą faunę i florę, współpracując z Muzeum Tatrzańskim i oczywiście porządkując i opisując swoje ajnoskie zbiory. A było ich mnóstwo. „Zebrał do 10 000 wyrazów ajnoskich, 6000 gilackich, 2000 oroczońskich, dużo bajek, pieśni, legend, podań, obyczajów, moc fotografii i jedyną na świecie kolekcję wałków fonograficznych, odtwarzających dźwięk i mowy tych ludów" – wspominał Sieroszewski. Owe wałki same w sobie mają ciekawą historię. Odnaleziono je w latach 30. XX w., ale ich rekonstrukcja okazała się możliwa dopiero 50 lat później, kiedy odpowiednią technologię opracowali Japończycy.

Historia samego Piłsudskiego nie była już jednak równie barwna. „Cierpiał niedostatek" – przyznawał Sieroszewski. Był już wówczas znanym w świecie ajnologiem, ale nie mógł wykładać, bo nie ukończył studiów. Utrzymywał się z korespondencji pisanych dla „Kuriera Lwowskiego" i sporadycznych odczytów, ale były to kwoty daleko niewystarczające. Podobno zachowywał pogodę ducha, ale dla znajomych było jasne, że coraz bardziej pogrąża się w depresji. Wybuch I wojny światowej zmusił go do opuszczenia Polski i osiedlenia w Paryżu. Nie do końca wiemy, co tam robił. Wiele wskazuje na to, że przez jakiś czas pracował jako bibliotekarz. 17 maja 1918 r. jego ciało wyłowiono z Sekwany. Policja stwierdziła samobójstwo.

* * *

Do 29 sierpnia w warszawskim Muzeum Azji i Pacyfiku (ul. Solec 24) można oglądać wystawę „Świat Ajnów. Od Bronisława Piłsudskiego do Shigeru Kayano"

Wojciech Lada

Reklama | 47/0321/F

eprasa.pl ef27a56980

PIZZA ZA 10 ZŁ

ORLEN

GDY TANKUJESZ ZA MIN. 100 ZŁ*

* Promocja trwa 1-31 maja 2021 r. i dotyczy uczestników Programu VITAY, aplikacji ORLEN VITAY. Uprawnieni do udziału w promocji są Uczestnicy dokonujący na Stacjach Paliw płatności: gotówką, bankowymi kartami płatniczymi, za pośrednictwem usługi ORLEN PAY, kartą przedpłaconą Tank Bank, kartą flotową PKN ORLEN: FLOTA, MIKROFLOTA, OPEN DRIVE (z wyłączeniem BIZNESTANK), e-kartą flotową. Oferta dotyczy tylko wybranych stacji. Regulamin i lista stacji, na których można zrealizować Kupon Promocyjny dostępne są na stacjach oraz na www.stopcafe.pl.

eprasa.pl ef27a56980

Awantury na trzech kontynentach

Ludwik Żychliński był klasycznym modelem polskiego awanturnika XIX w., który z braku przyzwoitej wojny we własnym kraju błąkał się po świecie w poszukiwaniu jakiejkolwiek innej. Podobnych były setki. Zazwyczaj spóźnieni na powstanie listopadowe, a karmieni od dziecka jego legendą, jednocześnie zagrożeni poborem do armii zaborczych, masowo wyruszali w świat. Nawiasem mówiąc, często były to podróże odbywane pieszo – dotarcie z Wielkopolski np. do Włoch trwało więc miesiącami. A właśnie z Wielkopolski do Włoch gdzieś na początku lat 60. XIX w. postanowił się wybrać młody szlachcic Ludwik Żychliński.

Nasz bohater, choć pisał zazwyczaj dużo, wyprawie do Włoch poświęcił stosunkowo niewiele miejsca. Z pewnością był już na Półwyspie Apenińskim w maju 1860 r. – wówczas wziął bowiem udział w tzw. wyprawie tysiąca, czyli desancie ochotniczych wojsk Giuseppe Garibaldiego, spieszącego na pomoc powstańcom sycylijskim walczącym z panującą dynastią Burbonów. Był to dla Żychlińskiego chrzest bojowy, który przynajmniej we własnej opinii przeszedł obiecująco, skoro natychmiast z Sycylii postanowił wyruszyć do Ameryki – gdzie wybuchła kolejna interesująca wojna, zwana secesyjną. O jego udziale w tym konflikcie wiemy nieco więcej, pozostawił bowiem wspomnienia zatytułowane „Pamiętniki z wojny amerykańskiej 1862 roku" – zasadniczo zdradzające spory pociąg do fantazjowania i podkreślania własnego znaczenia, nie najlepiej też pokrywające się z napisanymi 20 lat później „Przygodami Wielkopolanina w Azji i Ameryce po powstaniu 1863 i przed nim", ale w ogólnych zarysach uznawanych za wiarygodne.

W ciągu trzech lat objechał Europę, Amerykę i Syberię – zazwyczaj walcząc w lokalnych konfliktach, ale w przerwach między bitwami zbierając przebogaty materiał etnograficzny na temat pierwotnych plemion

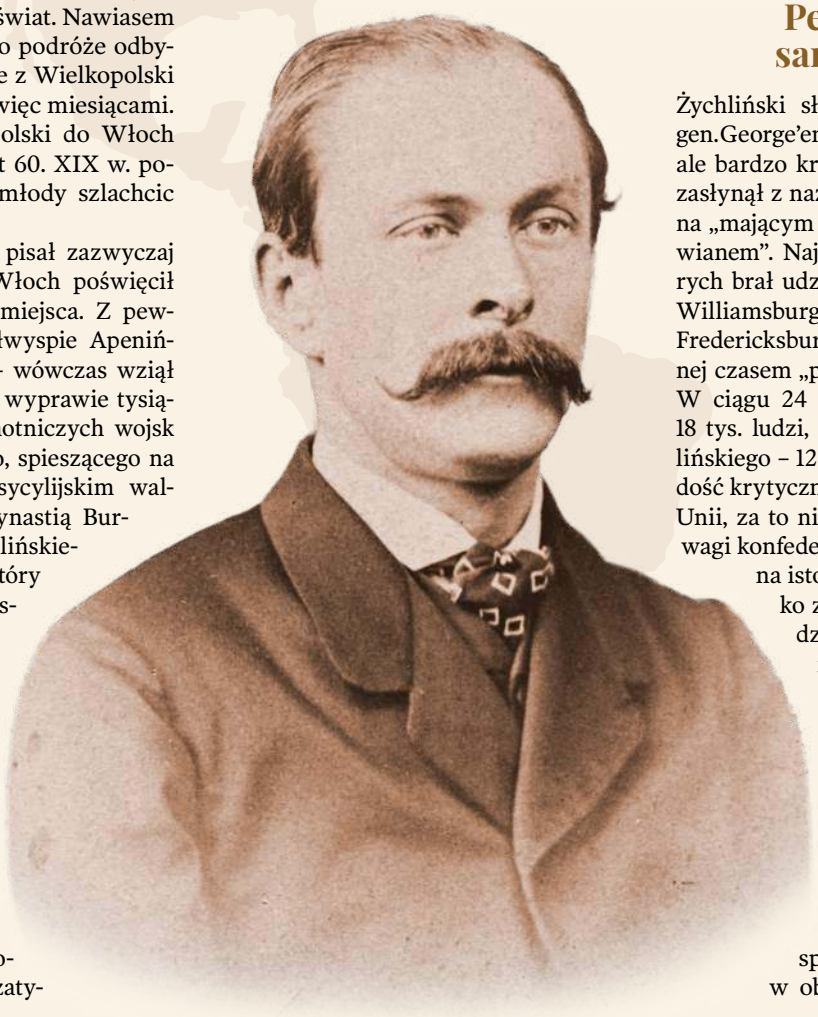

Fot. Polona.pl

Perfekcyjna samozagłada

Żychliński służył w armii Unii pod gen. George'em McCellanem – zdolnym, ale bardzo krnąbrnym dowódcą, który zasłynął z nazwania Abrahama Lincolna „mającym jak najlepsze intencje pawianem". Najważniejsze bitwy, w których brał udział, to walki o Yorktown, Williamsburg i Richmond, a także pod Fredericksburgiem – bitwie nazywanej czasem „perfekcyjną samozagładą". W ciągu 24 godzin zginęło wówczas 18 tys. ludzi, z czego po stronie Żychlińskiego – 12 tys. Nic też dziwnego, że dość krytycznie wyrażał się o oficerach Unii, za to nie mógł się nachwalić odwagi konfederatów. Zwracał też uwagę na istotnie dość ciekawy i rzadko zauważany wątek – że oddziały unijne miały bardzo międzynarodowy charakter, a udział w nich cudzoziemców szacowano nawet na 43 proc. On sam służył w regimencie Enfants Perddues (Stracone Dzieci), potocznie nazywany regimentem niemieckim.

Choć najwięcej czasu spędzał na polu bitwy lub w obozie, to właśnie amery-

eprasa.pl ef27a56980

kańskie zapiski ujawniły jego szeroki zmysł obserwacji i ciekawość świata. A etnograficzna wrażliwość narodziła się, gdy wysłano go na zwiad. Towarzyszyli mu Indianie z plemienia Missouri, ale ponieważ wszyscy zajęci byli polowaniem w błotnistych lasach, Żychliński wkrótce się zgubił i cała przygoda mogła się skończyć dla niego bardzo źle. „Moskity niemiłosiernie kąsały całe ciało na drzewie, rozmaite w koło mnie odzywały się głosy zwierząt i ptastwa nocnego krzykliwego i przeraźliwego, i przez to rozdrażniały moje nerwy, a umysł walczył z możebnością ratowania się lub zakończenia życia z głodu, albo od dzikich i drapieżnych zwierząt zębów i pazurów. Doprawdy, kto nie nocował w odwiecznym lesie amerykańskim nad Missouri lub Missisipi, nie może nawet pojąć wyobraźnią, jakich się tam wrażeń doznaje" – skarżył się później. Bardzo przytomnie spędził noc na drzewie, a skoro świt ruszył w dalszą drogę. Obrał jednak niewłaściwy kierunek i zapewne, gdyby nie Indianie, którzy wkrótce wytropili go po śladach, naprawdę zakończyłby życie jako przekąska któregoś z lokalnych drapieżników.

Od tej pory Żychliński zapałał miłością do wszystkich pierwotnych plemion świata. Od Indian poznał zasady leśnego survivalu, obserwował ich życie rodzinne i zachwycał się pierwotną demokracją plemienną, przeciwstawiając ją carskiemu absolutyzmowi – smutno konstatował pijaństwo tych archaicznych plemion i jeszcze smutniej ich wymieranie.

Znajomość plemiennych zwyczajów Indian pozwoli mu się z łatwością odnaleźć wśród Buriatów. Ale zanim trafi na Syberię, weźmie jeszcze udział w kolejnej swojej wojaczce, a mianowicie w powstaniu styczniowym.

Walka i wódka

Kiedy się dowiedział o wybuchu powstania, postanowił natychmiast wyruszyć do kraju. „W Nowym Yorku zastałem mityng ludowy, zwołany dla moralnego poparcia walczących Polaków i na tymże uorganizował składki w celu niesienia pomocy rannym powstańcom" – wspominał, gdy już udało mu się wyrwać z linii frontu wojny secesyjnej. „Nieledwie też wszystkie gazety i czasopisma pisały w duchu bardzo przychylnym dla Polski i wzywały rząd waszyngtoński, aby wystąpił z notą przychylną dla powstania wobec Rosji. Pod tym wrażeniem wsiadłem na parostatek »Saksonia« i stanąłem 12 maja 1863 roku w Liverpoolu".

Stąd na lewych papierach angielskiego korespondenta udał się do Krakowa, następnie zaś do Warszawy. Tu został mianowany dowódcą oddziału Dzieci Warszawskich, a w końcu naczelnikiem sił zbrojnych w powiatach warszawskim i rawskim. Był jednym z najaktywniejszych dowódców powstańczych, mimo że w powstanie już nie wierzył. W trakcie podróży do Krakowa i Warszawy zrozumiał, że źle przygotowany, rozpolitykowany i targany wewnętrznymi sporami zryw nie mógł się udać. Jak pisał: „Naocznie mogłem się przekonać o demoralizacji już zagnieżdżonej w żywiole powstańczym, o intrygach stronnictwa Białych a Czerwonych". Walczył jednak do końca, a na owym końcu, jak wielu innych, czekała Syberia.

Zasądzono mu zsyłkę na Zabajkale, na które dotarł na piechotę, dokładając do swojego osobistego licznika kolejnych kilka tysięcy kilometrów. Nawiasem mówiąc, odległości, jakie pokonał Żychliński w ciągu trzech lat, robią oszałamiające wrażenie: Polska–Włochy–Ameryka–Polska–Syberia, nie wspominając o odległościach pokonywanych już na miejscu, zazwyczaj w ekstremalnych warunkach.

Po przybyciu nad Bajkał nie wydawał się jednak zmęczony. Nawet przeciwnie – tu właśnie po raz ostatni odezwała się w nim żyłka żołnierska i w 1866 r., wraz z innymi zesłańcami, wziął udział w tzw. powstaniu zabajkalskim, czyli kompletnie poronionym, choć desperackim zrywie Polaków zatrudnionych przy budowie drogi wokół jeziora. Większość powstańców nie miała żadnej broni oprócz kijów, więc wynik starcia był tragiczny. Rosjanie obeszli się bez strat, Polacy zaś w sporej części wyginęli bądź zastrzeleni w potyczkach, bądź później z głodu, od pazurów dzikich zwierząt lub strzałów autochtonów, gdzieś w tajdze.

Żychliński tymczasem przeżył, a wkrótce odnalazł się całkiem nieźle w syberyjskiej rzeczywistości. Dość często zmieniał miejsce zamieszkania, a zajmował się głównie handlem z lokalnymi plemionami. Jeździł od wioski do wioski, odwiedzał Niwchów, Oroczonów, najwięcej Buriatów – im przywoził herbatę, mąkę, różne świecidełka, oni płacili mu zaś bydłem. Towarem najbardziej chodliwym w jego asortymencie była jednak wódka, na której punkcie syberyjscy autochtoni dosłownie szaleli. Żychliński widział już w Ameryce, jak bardzo alkohol degeneruje, ale jeśli chciał przeżyć, musiał nim handlować. Woził więc i wódkę, ale skrupulatnie też opisywał życie tamtejszych plemion. Interesowało go wszystko: z czego gotują potrawy, jak polują, jak przechowują żywność w tych specyficznych warunkach, jak na strukturę pierwotnych plemion wpływają kontakty z carską administracją i zesłańcami, ale też jak na tych ostatnich wpływa mentalność plemieńców.

Tym, co na Syberii zachwyciło go naprawdę, było poczucie wolności, osobista swoboda, której w takich przestrzeniach nie jest w stanie kontrolować monarchiczny reżim. To wbrew pozorom bardzo ważne, bo z podobnymi wrażeniami wracały do Europy dziesiątki tysięcy skazańców – przecież nie tylko z Polski. Ta paradoksalna, syberyjska wolność, luźna wymiana myśli między skazanymi buntownikami, wszystko to na pewno w jakiś sposób przygotowało grunt pod przyszłe rewolucje, a już niedługo upadek wielkich, feudalnych monarchii.

Żychliński żadnych rewolucji już jednak robić nie będzie. Do kraju wróci prawdopodobnie trzy lata później, osiądzie w swojej rodzinnej Wielkopolsce i zajmie się porządkowaniem ogromnego materiału, który wydany w kilku książkach stanie się nie tylko skarbnicą wiedzy etnograficznej, geograficznej i trochę politycznej, lecz także doskonałą lekturą awanturniczo-podróżniczą – tak plastyczną, że aż trudno zrozumieć, czemu nie została jeszcze sfilmowana.

Wojciech Lada

eprasa.pl ef27a56980

Spod Maciejowic na Kamczatkę

Od dziecka był żołnierzem, ale w drodze na zesłanie natychmiast zmienił się w etnografa. Józefowi Kopciowi zawdzięczamy pierwszy tak pełny i szczegółowy opis niemal nieznanej wówczas w Polsce Syberii

„Jenerał Kopeć nie był człowiekiem uczonym" – taktownie zauważał Adam Mickiewicz. Kiedy to pisał, w maju 1842 r., był nieco po czterdziestce i od dawna cieszył się już opinią jednego z wybitniejszych europejskich poetów romantycznych. Wtedy jednak Mickiewicz na chwilę zapomniał o własnej twórczości, a pewnie nawet o poezji w ogóle. Dlaczego? Bo właśnie wpadła mu do rąk niewielka książeczka o tytule, który mówił w zasadzie wszystko: „Dziennik podróży Józefa Kopcia przez całą wzdłuż Azyę lotem do portu Ochotska. Oceanem przez Wyspy Kurylskie do niższej Kamczatki, a stamtąd na powrót do tegoż portu na psach i jeleniach". Poeta był tym dziennikiem tak oczarowany, że uczynił go przedmiotem swoich wykładów w College de France i bez najmniejszych problemów dał się namówić na opatrzenie go wstępem.

„Jenerał Kopeć miał głębokie uczucie natury. Po prostu uważa i opisuje wspaniałe widowiska przyrodzenia północy [...] Opowiada nam też o drobnostkach życia domowego, o których nigdzie więcej wiadomości znaleźć nie można" – pisał w nim z entuzjazmem.

Osobisty wróg carycy Katarzyny

Kiedy Mickiewicz notował te opinie, Józef Kopeć od kilkunastu lat już nie żył. Co prawda nie zmarł malowniczo, gdzieś na azjatyckich pustkowiach, lecz w rodzinnym majątku na Litwie, do którego szczęśliwie udało mu się powrócić po latach tułaczki, ale jego życie było na tyle barwne, a gawędziarski talent na tyle duży, by z łatwością zachwycić Mickiewicza i spore grono jemu współczesnych. Kopeć istotnie „nie był człowiekiem uczonym". Jak sam przyznawał, jego edukacją zajmował się głównie ojciec, ale lista przedmiotów ograniczała się zasadniczo do języka polskiego, łaciny i geometrii. Jeśli później zdobył jakieś wykształcenie, to co najwyżej w kwestiach wojskowych – w 1778 r., w wieku 16 lat, wstąpił bowiem jako zwykły szeregowy do II Litewskiej Brygady Kawalerii i pozostał w niej kolejnych 14 lat. Jak uzupełniał Mickiewicz: „Przez wszystkie stopnie wyszedł na brygadiera".

„Był jeszcze majorem, kiedy część wojsk polskich razem z oderwanym krajem zabrana przez Rosję, musiała przyjąć znaki carowej Katarzyny" – pisał dalej poeta. Ale służba pod rosyjskim sztandarami nie trwała dla Kopcia zbyt długo. Na wieść o wybuchu powstania kościuszkowskiego wraz z kilkoma szwadronami swoich podwładnych ruszył przez Wołyń, by pod Szydłowcem połączyć się z głównymi siłami Naczelnika insurekcji. Dokładnych relacji nie mamy, ale musiał się istotnie wykazywać w walkach, bo właśnie wówczas otrzymał nominację na brygadiera. Jego karierę wojskową zakończyła bitwa pod Maciejowicami, w której trzykrotnie ranny dostał się do niewoli, a następnie, sądzony jako zdrajca, osobistym rozkazem carycy Katarzyny, skazany został na zsyłkę na Kamczatkę.

Miał wówczas równo 30 lat i choć jego kariera wojskowa właśnie się skończyła, w jej miejsce zaczynała się przygoda.

Gościnność Kamczadala

Kopeć istotnie nie był wykształcony i może właśnie dlatego jego obserwacje są tak zaskakujące cenne. Od pierwszych notatek nie wyczuwa się tu śladu załamania surowym wyrokiem – przeciwnie, z niemal dziecięcym zdumieniem obserwuje zmieniający się za oknami kibitki krajobraz. Opisuje wszystko. Choćby pijanych żołnierzy z eskorty, którzy urządzają sobie karkołomne wyścigi kibitek na wyboistym trakcie, co dla wielu z nich kończy się dosłownie złamaniem karku i śmiercią. „Od Smoleńska do Irkucka trzech żołnierzy w mojej straży zginęło, jedni nogi, ręce połamali

eprasa.pl ef27a56980

z wierzchołka mojej kibitki. Gdy pijani i nieuważni z góry lecieli, zdarzało się to często, że kiedy rozpędzą konie, kibitka się wywraca i konie wleką po ćwierć mili, a ja zamknięty tłukę się jak śledź w beczce" – wspominał.

Znacznie ważniejsze okazują się jednak jego notatki dotyczące rdzennych plemion syberyjskich, bo o nich bardzo niewiele w Europie wiedziano. Co ważne, plemiona te znajdowały się jeszcze wówczas w neolitycznej fazie rozwoju. „Kamczadale nie mający żelaza i krzesiw, dostają ogień przez tarcie drzewa o drzewo, mając do tego z sobą siarkę i pewien rodzaj wysuszonej trawy, która jak len się pali. Wiele używa się siekier z krzemienia, jakich dawniej używano, nie znając żelaza, którego im dziś Rosjanie dostarczają. Na miejsce igieł używają ości rybiej, a na miejsce nić suszą żyły jelenia" – opisywał precyzyjnie. Ale na tym nie poprzestawał. Z pasją wytrawnego etnografa – choć etnografia w zasadzie jeszcze nie istniała – zaglądał Kamczadalom, jak ich nazywa, czyli Itelmenom, do jurt, a nawet do łóżka – opisując ich życie rodzinne, seksualność, sposób budowania chat czy pożywienie. W pewną konsternację wprawia go ich otwartość. „Kamczadale są bardzo uprzejmi i gościnni. Co tylko mają w domu, wszystkim przyjmują gościa, ofiarując mu nawet jedną z żon swoich [...] W przypadku odmowy mógłby postradać życie, bo krajowcy podobne uchybienie biorą za wzgardę dla gościnności" – zauważał, subtelnie nie rozwijając tematu.

Najbardziej chyba jednak zajmuje Kopcia duchowość tych plemion. „Kamczadale we wszystkim czczą boga, a wierzą najwięcej w słońce, miesiąc i ogień. Utrzymują, że to wszystko jest bogiem, czego rozum przemysł człowieka nie dokaże" – notował zaskoczony, ale chyba też zdumiony bogactwem i wszechobecnością sacrum w tym pierwotnym świecie. Tu nic nie oddzielało świata bogów, duchów i ludzi – wszyscy żyli w doskonałej symbiozie. Zresztą, mimo wielu zaskoczeń kulturowych, Kopeć bardzo wysoko ocenia moralność lokalnych plemion, a jego zdanie, że „Kamczadal jest dobry z natury" – mówi w tej kwestii w zasadzie wszystko.

Kuglarstwa i sztuki

Kopeć został uwolniony od kary dość szybko, bo w 1796 r. – natychmiast też ruszył w drogę powrotną, by ostatecznie osiąść w odzyskanym majątku na Litwie. Jego zapiski jednak od początku budziły żywe zainteresowanie, szczególnie te dotyczące syberyjskiego szamanizmu, który bardzo oddziaływał na umysły oświeceniowych myślicieli. Kopeć co prawda zupełnie nie rozumiał subtelności tego pierwotnego systemu postrzegania i organizowania świata, ale jednocześnie przeczuwał, że był on kluczowy dla zrozumienia tych ludów. „Szamany pokazują wszystkie swe kuglarstwa i sztuki" – zapisał dla porządku. Zapewne nie przypuszczając nawet, że dostarcza światu jedne z pierwszych opisów seansów szamańskich, które musieli poznać bodaj wszyscy szanujący się etnografowie i religioznawcy następnych pokoleń. I pozostał w takiej nieświadomości do śmierci. Kiedy umierał w 1827 r., Polaków dopiero czekały kolejne wielkie fale zsyłek na Sybir, które spowodowały co prawda wiele cierpienia, ale na pewno nie mniej przełomowych dla świata badań.

Jak ujął to po swojemu, lapidarnie i zgrabnie, Mickiewicz: „Straszna, głucha, Syberia jest razem krainą, gdzie życie duchowe bardzo się natęża".

Wojciech Lada

Fot. Biblioteka Narodowa

eprasa.pl ef27a56980

Kosztowne pożegnanie z plastikiem

Z Polski będzie znikał plastik. Wielu przedsiębiorców obawia się, że na skutek pospiesznego wprowadzenia unijnej dyrektywy znikną także oni

PIOTR FILIPCZYK

Patyczek do uszu, kubek na kawę ze styropianu, plastikowa butelka z mineralną – za kilka lat to wszystko ma zniknąć. Plastik zatruwa świat, dlatego trzeba do minimum ograniczyć jego używanie. Zieleniejąca politycznie z roku na rok Unia Europejska wydała więc stosowną dyrektywę, którą musimy implementować także w Polsce. Zdaniem części przedsiębiorców rząd wykazuje się tu jednak dziwną nadgorliwością.

– Branża gastronomiczna przyjmuje propozycje zawarte w projekcie jako kolejny cios, który ma ją ostatecznie dobić. Te pomysły nie uwzględniają tego, że jesteśmy największą ofiarą obostrzeń wprowadzonych przez rząd w związku z pandemią, a branża nie ma pieniędzy na fanaberie urzędników. Mimo to rząd, zamiast nam pomóc, dokłada kolejne ciężary – mówił na łamach „Dziennika Gazety Prawnej" Sławomir Grzyb, sekretarz generalny Izby Gospodarczej Gastronomii Polskiej.

PRECZ ZE SŁOMKAMI

Retorycznie jest to oczywiście głos bardzo mocny, ale merytorycznie podobnych stanowisk jest wiele. Zanim do nich przejdziemy, sprawdźmy, czym jest sławetna dyrektywa 2019/904 w sprawie zmniejszenia wpływu na środowisko niektórych produktów z tworzyw sztucznych, zwana „Single Use Plastic", czyli SUP. Dokument został przyjęty 5 czerwca 2019 r., a jego idea jest prosta: jak najwięcej plastiku wyrzucić od razu z użytku, resztę obłożyć opłatami tak, by nie opłacało się go używać. Nad implementacją przepisów unijnych w Polsce pracuje Ministerstwo Klimatu i Środowiska (MKiŚ), które 1 kwietnia przekazało projekt ustawy o obowiązkach przedsiębiorców w zakresie gospodarowania niektórymi odpadami oraz o opłacie produktowej, a także niektórych innych ustaw do konsultacji publicznych.

Co jest w nowych przepisach? Całkowitym zakazem zostaną objęte np. plastikowe patyczki higieniczne, sztućce, słomki, talerzyki, patyczki i styropianowe kubki do mieszania napojów czy choćby patyczki do baloników. Rzeczy te nie znikną oczywiście od razu po wejściu w życie ustawy – będzie można je sprzedawać do wyczerpania zapasów.

Nieco łagodniej potraktowano kubki i pojemniki na żywność. Na nie nałożona zostanie specjalna opłata, do złotówki za każde wprowadzone do obrotu opakowanie. Będzie ona doliczana do ceny napoju czy innego produktu. Swoista „kara" za plastik ma zniechęcić do jego używania – według urzędników MKiŚ ostateczny efekt regulacji powinien nadejść do 2026 r. Kolejną kategorią produktów są najróżniejsze wyroby zawierające tworzywa sztuczne (np. tampony, chusteczki nawilżane czy filtry papierosowe), które trzeba będzie czytelnie oznaczać.

Opłaty będą doliczane do ceny produktu i pobierane przez sprzedawców. Uzyskane w ten sposób pieniądze trafią do samorządów wojewódzkich. Przedsiębiorcy będą musieli ewidencjonować wydawane opakowania z tworzywa sztucznego oraz zapewnić klientom możliwość otrzymania potrawy czy napoju w opakowaniu wielokrotnego użytku albo takim, który nie zawiera tworzyw sztucznych.

NADGORLIWOŚĆ W TRUDNYM CZASIE?

– Rozumiemy, czym jest ekologia, wspieramy ambitny cel, jakim jest neutralność klimatyczna. Ale nie pojmujemy, dlaczego polski rząd chce iść tu dalej i szybciej niż Unia Europejska. Implementując dyrektywę, należy przecież brać pod uwagę, w jak trudnym dla gospodarki czasie się obecnie znajdujemy – mówi nam Jakub Biń-

Fot. Shutterstock

eprasa.pl ef27a56980

kowski ze Związku Przedsiębiorców i Pracodawców.

ZPP przygotowało obszerne – i bardzo krytyczne – stanowisko w sprawie proponowanego przez MKiŚ projektu ustawy. Najważniejszym zarzutem jest ten, że regulacje wykraczają „poza minimalne wymogi stawiane przez implementowaną dyrektywę". Mówiąc prościej: zdaniem związku odpowiedzialny za ustawę wiceminister Jacek Ozdoba jest bardziej unijny niż Unia.

„Uważamy, że nadgorliwość w realizowaniu celów dyrektywy, osiągana kosztem przedsiębiorców i konsumentów, jest absolutnie niewskazana. Co więcej, projekt wydaje się zupełnie nie uwzględniać faktu, że obejmować będzie m.in. branże najsilniej poszkodowane epidemią koronawirusa, w tym np. branżę gastronomiczną" – zaznacza ZPP.

Dlaczego ustawa może być ciosem nie tylko w branże ledwo zipiące z powodu pandemii? Reprezentowani przez związek przedsiębiorcy wskazują, że ustawa wprowadza de facto trzy opłaty. Produktową, za sztukę wprowadzonego do użytku opakowania jednorazowego z tworzywa sztucznego, która ma wynieść maksymalnie złotówkę. Do tego mamy opłatę systemową, z której wpływy mają umożliwić stworzenie i utrzymanie publicznych systemów zbierania – to 5 gr od opakowania. Opłata edukacyjna ma z kolei wynosić 0,1 proc. netto ze sprzedaży opakowań z tworzywa sztucznego.

W podobnym tonie wypowiadają się producenci wód butelkowanych. W liście do wiceministra Ozdoby podnoszą oni też kwestię stworzenia systemu depozytowego, co wynika przecież z dyrektywy i jest zamierzeniem ze wszech miar sensownym.

„(...) wprowadzenie obecnie opłaty za zaśmiecanie przestrzeni publicznej [opłata produktowa – red.] stworzy jedynie dodatkowe zbędne obciążenie dla konsumentów w sytuacji, gdyby opakowania te zostały objęte systemem depozytowym. Przy odpowiedniej wysokości depozytu, butelka po wodzie będzie mieć na tyle dużą wartość, że przestanie być śmieciem, a stanie się równowartością kwoty, którą warto odzyskać. Natomiast nałożonej na nią »kary« za rzekome zaśmiecanie nikt konsumentowi nie zwróci. Należy bowiem spodziewać się, że producenci w jakimś stopniu wzrastające w wyniku zmian legislacyjnych koszty i opłaty będą uwzględniać w cenach produktów" – twierdzi prezes Stowarzyszenia Woda! Arkadiusz Cyman.

– Na dłuższą metę nie uciekniemy od rozwiązań kaucyjnych. Tak to funkcjonuje na Zachodzie, gdzie są automaty, w których można umieszczać zużyte opakowania – mówi Jowanka Jakubek-Lalik, ekspertka z Polskiego Instytutu Myśli Gospodarczej, podkreślając, że finansowanie takich rozwiązań powinno być elementem konsensu między producentami, stroną społeczną i rządem. – Przykład tego widzimy chociażby w Austrii, gdzie wytwórcy przemysłu chemicznego podpisali z ministerstwem środowiska takie porozumienie – dodaje.

MINISTER ZAPOWIADA ZMIANY

Najpoważniejsze zarzuty biznesu dotyczą jednak pośpiechu, z jakim wprowadza się – co tu dużo mówić – restrykcyjne przepisy w Polsce. Termin to bowiem już 3 lipca.

– Terminy przewidziane na implementację poszczególnych elementów dyrektywy SUP są zróżnicowane. Część faktycznie musimy transponować w lipcu, natomiast są pewne fragmenty tej regulacji, które mogą podlegać transpozycji znacznie później, nawet w 2024 r. Dyrektywa wprost zezwala na rozróżnienie terminów transpozycji tak, by przedsiębiorcy mogli się do niej dostosować. Zdziwienie budzi więc to, że polski ustawodawca zaproponował rozwiązanie płaskiej formuły implementacji, gdzie większość przepisów ma być implementowana z początkiem lipca bieżącego roku – mówi Jakub Bińkowski. – Polscy przedsiębiorcy poznają ostateczny kształt przepisów kilka tygodni przed ich wejściem w życie. To bardzo niedobra sytuacja – dodaje.

Co na to MKiŚ? „Termin wynika z samej dyrektywy i wszystkie państwa członkowskie UE są zobowiązane do transpozycji jej postanowień do 3 lipca. Natomiast poszczególne zakazy czy obowiązki wynikające z dyrektywy mają inne terminy wdrożenia" – informuje biuro prasowe resortu i odsyła do projektu ustawy.

Resort przyznaje jednocześnie, że termin wprowadzenia opłaty, która ma być pobierana przez handlowców czy gastronomię, nie wynika wprost z dyrektywy SUP.

„Jest on wzorowany na opłacie recyklingowej, która w znacznym stopniu ograniczyła liczbę używanych toreb na zakupy z tworzywa sztucznego" – czytamy w odpowiedzi na nasze pytania. Ministerstwo przekonuje, że tylko dzięki wprowadzeniu opłaty już w 2021 r. uda się osiągnąć cel, jakim jest znaczne zmniejszenie ilości plastikowych opakowań do roku 2026.

MKiŚ odpowiada także na zarzut nieprecyzyjnych definicji zawartych w ustawie. Nie wiadomo np., czy kubki papierowe uszczelnione cienką warstwą polimeru będą traktowane jako dobry ekologiczny papier czy zły, trujący środowisko plastik.

„Nadal oczekujemy na wytyczne Komisji Europejskiej do dyrektywy 2019/904, które miały zostać, zgodnie z przepisami dyrektywy 2019/904, wydane przez KE do lipca 2020 r. Dotychczas nie zostały one opublikowane. Wytyczne te powinny wskazać, czy takie produkty będą uznawane za produkty jednorazowego użytku z tworzywa sztucznego, czy też nie" – informuje biuro prasowe ministerstwa.

Czy stanowisko rządu będzie tak nieubłagane, jak mogłoby to wynikać z przytoczonych wyżej odpowiedzi? Wydaje się, że jednak nie. O tym, że głos przedsiębiorców dociera jednak do gmachu przy ul. Wawelskiej, przekonuje ostatni wywiad Jacka Ozdoby dla „Dziennika Gazety Prawnej". Wiceminister przyznał, że jego resort miał i ma wiele wątpliwości związanych ze sposobem, w jaki należy implementować dyrektywę. Zapowiedział jednocześnie, że w czerwcu pokaże nową wersję przepisów.

– Zakładamy, że projekt może być istotnie zmieniony pod wpływem uwag zgłoszonych w procesie konsultacji społecznych – stwierdził Ozdoba.

eprasa.pl ef27a56980

PIOTR CIEMNY*

Adwokat chwastów

„Nie deptać stokrotek i wzruszeń" – śpiewał swego czasu zespół Gawęda. Do tego, by nie tylko nie deptać, lecz uważnie rozglądać się wokół, korzystając z bogactwa, jakie oferuje nam przyroda, zachęca Piotr Ciemny.

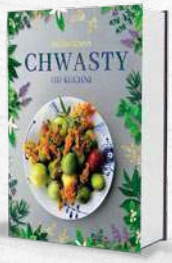

Nazywa siebie „adwokatem chwastów", roślin zapomnianych w naszej kulturze i życiu codziennym. Za swoją misję uznaje przedstawienie ich na nowo. I to w jak najlepszym świetle.

„Niesamowite, ile smakołyków rośnie wokół nas, a my nieświadomie je mijamy" – pisze w książce, która ukazała się właśnie nakładem wyd. Znak Koncept. „W lesie znajdziemy choćby dzikie oregano czy korzenie roślin, które mogą być substytutem kawy, albo ziarna chwastów, z których można zrobić mieszanki przypraw. Fermentowane liście drzew wraz z polnymi kwiatami świetnie nadadzą się do przygotowania dzikiej herbatki. Możliwości jest wiele. Trzeba jedynie wiedzieć, co z czym połączyć i jak zamienić tradycyjnie używane zioła na te dziko rosnące. Chwasty mają ogromny potencjał kulinarny, a przy tym są skarbnicą witamin i minerałów".

Lista roślin, które Piotr Ciemny przywołuje w książce, robi wrażenie. Podobnie jak przepisy, w jakich zostały wykorzystane. Babkaballs – klopsiki z babki lancetowatej i fety; pierożki gyoza z bluszczykiem kurdybankiem; piklowane kwiaty bzu czarnego; krokiety ziemniaczane z macierzanką piaskową, boczniakami i suszonym żółtkiem; pesto z młodych liści czosnaczka pospolitego; pieczone gruszki z macierzanką pod orkiszową kruszonką; marynowane czereśnie z rumiankiem; ocet z porzeczek z płatkami róży i przytulią wonną...

A gdyby tak coś ze stokrotką? „Młode liście można wymieszać z sałatami, dodać do kanapek, pesto, białych, ciepłych sosów. Używaj ich jako dodatku np. do pizzy albo focaccii. Kwiaty ugotowałbym w słodkim syropie i zamknął w słoiku na ponure, zimne dni" – podpowiada autor.

Stokrotki przydadzą się też do naleśników, racuchów i domowych wypieków. Surowe kwiaty mogą być dodatkiem do sałaty, dań obiadowych i deserów. Smażone na maśle zielone szparagi idealnie zgrają się z posypką ze świeżych kwiatów stokrotki. „Pąki zamarynuj w zalewie octowej i używaj jak kaparów" – radzi Piotr Ciemny. Zdradza, że ocet, lemoniada, cydr i lekko fermentowane napoje, takie jak tepache, chętnie przyjmą dodatek w postaci kwiatów stokrotki. W ramach ciekawostek przypomina, że stokrotka uznawana jest za symbol miłości. Na Sycylii i w Toskanii używa się jej jako dodatek do zup i sosów, gdy akurat nie są dostępne popularne warzywa.

Jolanta Gajda-Zadworna

** Autor książki „Chwasty od kuchni"*

Racuchy z syropem ze stokrotek

Racuchy: 50 g masła, 2 łyżki cukru, 20 g świeżych drożdży, 250 ml mleka, 300 g mąki pszennej, szczypta soli, 1 jajko, olej
Syrop: 200 g cukru, 200 ml wody, 1 cytryna (sok + skórka), 1 szklanka kwiatów stokrotki
Do podania: świeże owoce

Wykonanie: Masło rozpuść. Łyżkę cukru i świeże drożdże wymieszaj z sobą, zalej 100 ml ciepłego mleka połączonego z masłem. Dodaj łyżkę mąki. Wymieszaj, aby nie było grudek. Przykryj ciepłym ręcznikiem i zostaw na 20 min, żeby zaczyn lekko wyrósł. Pozostałą mąkę przesiej i wymieszaj z resztą suchych składników na ciasto. Gdy zaczyn będzie gotowy, wymieszaj go z suchymi składnikami, jajkiem i pozostałym mlekiem. Gotowe ciasto odstaw na 30 min do wyrośnięcia. Porcje ciasta wykładaj na patelnię na rozgrzany olej, smaż małe racuchy, aż się zrumienią. Przewróć na drugą stronę, gdy zobaczysz pęcherzyki powietrza.

Syrop to prosta sprawa. Cukier i wodę wymieszaj. Gotuj syrop, aż lekko zgęstnieje. Gdy będzie gotowy, dodaj sok z cytryny i otartą z niej skórkę. Następnie dodaj kwiaty i gotuj, aż zmiękną. Gorące racuchy podawaj z gorącym syropem i świeżymi owocami.

Fot. Archiwum prywatne, Marina Bakush/Shutterstock

eprasa.pl ef27a56980

SŁODKO-SŁONY

Szparagi bez umiaru

ANNA MONICKA

Czy u Majlertów są już szparagi? Od dobrych kilku lat gdzieś tak w połowie marca zaczynamy zadawać sobie to pytanie i nerwowo się kręcić. W języku moim i znajomych oznacza to mniej więcej, że nastał czas ciepła, słońca i radości, a zakończyła się smutna i bura pora zimowa. Każdy ma jakieś swoje rytuały, które trzymają go przy życiu. Dla mnie jest to wizyta w tym gospodarstwie na Żeraniu. Wszystko mi się tam podoba: obrośnięte pnączami domki, poszanowanie dla pracy, respekt i miłość dla ziemi, w której rosną szparagi, to, że w sklepikach obok pól często spotkamy właścicieli, którzy znają z widzenia stałych klientów, zagadują ich, a początkującym radzą, co i jak sadzić, jak przyrządzać i w towarzystwie czego podawać.

Wiosna to oczywiście czas sadzonek i szparagów. Na te ostatnie przyszło nam w tym roku ekstremalnie długo czekać, bo gdy jest mróz w nocy pędy nie chcą wychylać z ziemi łebków. Doszło do tego, że, nie mogąc już wytrzymać, kupiłam kilka pęczków w popularnej sieciówce. Zjedliśmy je na obiad i tyle. Ochów i achów nie było. Po prostu zielona jarzyna ciut lepsza w smaku od szpinaku.

Dziś jednak szparagi zrobiły nam dzień i wystarczyły za cały obiad. Pierwsza wizyta w gospodarstwie skończyła się jak zwykle – utratą rozumu. Nakupowałam tych szparagów bez umiaru, żeby nacieszyć się ich obecnością. W sezonie często tak robimy, że pieczemy po prostu pełną blachę i każdy zjada, ile może. Na stole stawiam tylko kilka sosów: cytrynowy (oliwa z limonką), czosnkowy (oliwa, cytryna, czosnek, pieprz, sól), musztardowy (musztarda, miód, oliwa, sól, ocet jabłkowy) – każdy może zresztą sam sobie wymyślić i ukręcić własny.

Nie pamiętam, kiedy zakochałam się w szparagach. W dzieciństwie nie poznałam ich smaku, bo były dla nas za drogie i zbyt luksusowe. Jako nastolatka skosztowałam najpierw zawekowane i wydały mi się tak obrzydliwe, że przez wiele lat omijałam je szerokim łukiem. W sklepie często trafiałam na nieświeże, z rozwiniętymi czubkami, przejrzałe i nieładnie pachnące. Musiałam poznać smak takich ściętych bladym świtem z pola, żeby dla nich oszaleć.

Kolor nie ma znaczenia, choć muszę przyznać, że najbardziej chyba smakują mi fioletowe, najdelikatniejsze i najsłodsze, a najmniej te uznawane za najbardziej wykwintne, czyli białe. Wszystkie, niezależnie od koloru, powinniśmy jeść wiosną, bo oczyszczają nas po zimie. Na twardych końcówkach dobrze jest ugotować wywar i popijać go zamiast herbaty przez kilka dni.

Fot. Archiwum prywatne, Cezary Korkosz/Shutterstock

WILCZYM OKIEM

Pokrzewka w agreście

PRZEMYSŁAW BARSZCZ

Ogródki działkowe to przykład symbiozy ludzi i przyrody. Niepogrodzone, umożliwiają swobodne przemieszczanie się dzikim mieszkańcom tego ekosystemu. Niezabetonowane, retencjonują wodę, a dzięki zielonej powierzchni regulują skrajności klimatyczne – w upalny dzień dosłownie po przekroczeniu furtki wyczuwa się, że powietrze jest chłodniejsze, wilgotniejsze, świeższe.

Idealnie pasuje do nich słowo „oaza" – także w rozumieniu oazy dzikości, bioróżnorodności, która w ich obrębie znajduje swoje refugium, dzięki któremu może przetrwać i rozprzestrzeniać się na inne tereny.

Kompost i kupy liści to nie tylko ponowne włączenie materii organicznej w obieg, lecz także miejsce łowów i kryjówka pozwalająca przezimować zakopanym w nich jeżom. W zakamarkach gęstych niedostępnych krzewów porzeczek i agrestu gnieżdżą się gatunki ptaków, które nie pojawią się w pozbawionych podszytu parkach – pięknie śpiewające pokrzewki czarnołbiste, cierniówki, piegże i makolągwy.

Niewielkie nawet zbiorniki wodne, ocalone w obrębie ogródków przed osuszeniem, to miejsca rozrodu płazów – soczyście zielone, czerwonookie rzekotki, poruszające się po liściach malin dzięki żółtym przylgom na końcach palców widywałem najczęściej właśnie w takich miejscach.

W wypełnionych próchnem dziuplach starych nieopryskiwanych jabłoni mieszkają wydzielające śliwkową woń chrząszcze pachnice, rzadkie w skali całej Europy. To gatunek parasolowy – jeżeli uda nam się stworzyć warunki bytowania wymagającej pachnicy, jednocześnie zyskamy ekosystem, który jak parasol ochroni inne stworzenia.

A rzadkie rośliny? Rozwinięcie upraw konwalii majowej nie tylko dostarczyło surowca zielarskiego, ale także przyczyniło się do ocalenia gatunku, którego nie trzeba było już pozyskiwać ze stanowisk naturalnych.

Na ogródki działkowe, miejsce ekologicznego zdobywania pożywienia, można też spojrzeć z innego, prawno-przyrodniczego punktu widzenia. Podlegają one podwójnej ochronie: jako siedliska, czyli miejsca występowania rzadkich gatunków, oraz ich ostoje, czyli miejsca niekoniecznie w danym momencie zasiedlone, lecz odpowiednie dla bytowania chronionych roślin, grzybów czy zwierząt, stanowiące potencjalną bazę niezbędną dla funkcjonowania dynamicznego układu przyrodniczego, w którym żyjemy.

eprasa.pl ef27a56980

W ŚWIECIE LUSTER

HANNA KARP

Skrzywdzeni i poniżeni wystawią panu rachunek...

Dzisiejszy tytuł mojego artykułu to fragment listu Adama Michnika do Czesława Kiszczaka wysłany z aresztu śledczego oficjalną pocztą więzienną 12 grudnia 1983 r. Scena jak z powieści Fiodora Dostojewskiego. W ponury grudniowy dzień osadzony w areszcie apeluje do sumienia komunistycznego generała. Dziś tamten list dla nadawcy i jego środowiska powinien brzmieć jak głęboki wyrzut... sumienia. Jednak w tle tamtych wydarzeń słychać już tylko śmiech szefa bezpieki zza grobu. Ale po kolei.

Niedawno „Gazeta Wyborcza" fetowała swoje 32. urodziny. Młode pokolenie już jej nie czyta, ale ma swoje smartfony. Tam znajduje treści dominujące i powielane w „Gazecie". Jak trafnie określiła Wanda Zwinogrodzka, gazeta sformatowała umysłowo całe pokolenie Polaków. Można więc rzec, że wydawca osiągnął planowany sukces. Wydawałoby się, że teraz może już tylko obserwować swoje ludziki biegające w kole. I tak jeszcze do niedawna było. Ale coś się stało. W 2015 r. nastało państwo PiS. Kołowrotek zaczął skrzypieć. Dziś zbudowana po 1989 r. maszyneria III RP coraz bardziej się zacina. W trybach skrzypi piach sypany przez „pisowski reżim" i prezesa z Żoliborza.

W urodzinowym wstępniaku redakcja z najważniejszym redaktorem na czele odgrażała się, że już niedługo, tak jak opisała w 1989 r. upadek państwa komunistycznego, tak teraz opisze „upadek narodowo populistycznego państwa PiS". Bo historia zatoczyła koło. Bo „obecna władza jest jak komuniści u swego schyłku". Co za chropawa polszczyzna... Kto to pisał? Jeszcze redakcja wspomina o propagandowych pisowskich szczekaczkach i partyjnych czynownikach. Uf...

Czy ta deklaracja, może nawet groźba, coś znaczy? Nic. Jest tyle samo warta, ile grudniowe ostrzeżenia z 1983 r. wobec szefa komunistycznej bezpieki. Dobra zmiana może działać i organizować się w najlepsze. Wystarczy zajrzeć do archiwalnych numerów gazety, by się przekonać, jak opisywano upadek polskich komunistów. Jak ich „srogo" potraktowano i jakie były ich dalsze „tragiczne" losy.

OPIS UPADKU KOMUNISTÓW

Tych, których należało opisać i ukarać najbardziej, którzy mieli krew na rękach, potraktowano z największą rewerencją. Choćby Czesława Kiszczaka, szefa reżimowego wywiadu wojskowego. Jeździł on do Moskwy składać osobiście na Kremlu raporty. Przedstawiał tajne przygotowania SB i milicji do wprowadzenia stanu wojennego. Zapewniał Moskwę, że dotychczas „polskie kierownictwo cackało się z Solidarnością jak z jajkiem i że niedługo z tym skończy" (te słowa generała znajdziemy w „Archiwum Mitrochina"). I co? Ostatecznie w 2001 r. ogłoszony został na łamach „Gazety" „człowiekiem honoru". Jeszcze wcześniej, w roku 1992, w programie francuskiej telewizji Adam Michnik do polskich dziennikarzy, którzy zadawali mu niewygodne pytania o Wojciecha Jaruzelskiego, zawołał: „Odpieprzcie się od generała!".

Wywiad dla „Gazety" Moniki Olejnik i Agnieszki Kublik z 3 lutego 2001 r., przedrukowany w książce wydawnictwa Rosner i Wspólnicy, opatrzono licznymi didaskaliami, m.in. informując, że było to „spotkanie kata i ofiary". Pisano: „Postawa przebaczenia, pojednania, zrozumienia racji drugiej strony – w chrześcijańskiej Polsce wzbudziła szalenie silne emocje. Poszło o to, że Michnik nazwał

eprasa.pl ef27a56980

gen. Kiszczaka »człowiekiem honoru« i stwierdził, że generałowie Kiszczak i Jaruzelski odkupili swoje winy".

Generałów już nie ma. Gdyby chociaż przed odejściem zechcieli nam wyjawić, co w ich mniemaniu mamy im wybaczyć. I jakie zbrodnie już odkupili. W tym samym wstępie zamieszczono wyjęte z kontekstu słowa Jana Pawła II o tym, iż: „(...) przyjęcie i ofiarowanie przebaczenia umożliwia nadanie nowej jakości relacjom między ludźmi, przerywa spiralę nienawiści i zemsty, kruszy kajdany zła, krępujące serca przeciwników". Cała rozmowa Adama Michnika i Czesława Kiszczaka rozpoczyna się od pamiętnego listu Michnika, wysłanego z aresztu śledczego.

NIENAWISTNIK GŁOSZĄCY MIŁOŚĆ

List do Kiszczaka poprzedzał list księcia Józefa Poniatowskiego do hetmana Seweryna Rzewuskiego, targowiczanina: „...Jako obywatel nie mogę usłuchać rady Waćpana, która pod pozorem wolności, upstrzonej licznymi błędami, wsparta jest obcą przemocą. Ci, którzy śmieli ich dumy i własnej miłości zaprzedać krew współziomków swoich, są ohydą narodu i zdrajcami ojczyzny. Takie są moje sentymenta...". Chyba nie mamy wątpliwości, kto tu jest księciem Józefem Poniatowskim, a kto Sewerynem Rzewuskim.

Jak zauważył Bronisław Wildstein, w biografii „Demiurg" Romana Graczyka, gdy Michnik pisał niby o Stendhalu, to w rzeczywistości było o lustracji, gdy przemawiał na pogrzebie Miłosza, to dowalał przeciwnikom politycznym. „A kiedy już osiągnął swoje cele, przekroczył wszelkie dopuszczalne granice, poniża i niszczy ludzi" – podkreślał Wildstein. I stwierdzał: „Jego stosunek do Polski jest dla mnie tajemnicą. Zastanawiam się, czy można tak bardzo – jak on – nie lubić Polaków, ale kochać Polskę. W każdym razie – jego zdaniem – Polska powinna się rozpuścić w Europie".

Wydaje się, że w samo sedno trafił Czesław Bielecki, gdy błyskotliwie określił Michnika: „Nienawistnik, który głosi miłość". Nie sposób nie przyznać też racji Ludwikowi Dornowi, który zauważył, że „Gazeta" we „wszystkich ważnych sprawach przegrała: stosunek do lustracji, stosunek do komunistów, stosunek do powojennych antykomunistów". Z kolei Antoni Libera mówi jeszcze: „Michnik jest człowiekiem, który chce być traktowany na specjalnych prawach – takich, którym nie podlegają inni". Przywołana na wstępie Wanda Zwinogrodzka zauważa ponadto, że biografia Michnika jawi się jej jako „historia osobistej degrengolady". Minister kultury stara się nawet w złu znaleźć okruchy dobra i powiada, że gdyby nie odbywał się na łamach „Gazety" wieloletni „brutalny gwałt na naszej zbiorowej tożsamości, świadomości i pamięci, prawica wciąż byłaby słaba, rozbita, pogrążona w potępieńczych swarach, jak to było w latach 90.". Jej zdaniem potęga „Gazety" zjednoczyła prawicę w sprzeciwie. Tak skutkował „cyrograf" podpisany przez tytułowego „Demiurga" z Czerskiej. Ale tak czasem też myślą ofiary kata i narcyza, który zniszczył im całe życie i zdrowie, a one próbują pocieszyć się tym, że gdyby go nie było, byłyby mniej dzielne i heroiczne.

Agata Szczęśniak, OKO Press: „Na pewno te środki zostaną źle rozkradzione", 8 maja 2021 r., w programie „Drugie śniadanie mistrzów" Marcina Mellera, o sejmowym głosowaniu Ustawy o zasobach własnych UE (tzw. fundusz odbudowy)

PEŁZAJĄCY DONOSICIELE I ŻURNALIŚCI

Gdyby Adam Michnik i jego przyjaciele z redakcji choćby od czasu do czasu przypominali sobie treść listu do Kiszczaka, może nie byłoby dziś aż tak strasznie. „(...) powiem tak: trzeba przede wszystkim, aby dowiedział się Pan, Panie Generale, co to jest sumienie ludzkie. Są dwie rzeczy na tym świecie – niechaj usłyszy Pan tę nowinę – z których jedna nazywa się Zło, druga Dobro. A to objawienie dla Pana: kłamać i lżyć nie jest dobrze, dopuszczać się zdrady jest źle, więzić i mordować jest jeszcze gorzej. To nic, że to jest użyteczne. Tego nie wolno...

Tak, Panie Generale, tego nie wolno. Kto się przeciwstawia? Kto zezwala? Kto zabrania? Panie Generale, można być potężnym ministrem spraw wewnętrznych, można mieć za sobą potężne mocarstwo rozciągające swą władzę od Łaby po Władywostok, a pod sobą całą policję kraju, miliony szpiclów i miliony złotych na pistolety, armaty wodne i urządzenia podsłuchowe, płaszczących się służalców, pełzających donosicieli i żurnalistów; a tu ktoś niewidzialny, w ciemności, przechodzień, nieznajomy wyrasta przed Panem i mówi: »Nie zrobisz tego!«.

OTO SUMIENIE (...) Dlatego o nic Pana nie proszę. Tylko o jedno: niech Pan się zastanowi. (...) Niech Pan się zastanowi nad sobą. Niech Pan przy wigilijnym stole pomyśli przez chwilę o tym, że będzie Pan rozliczony ze swych uczynków. Będzie Pan musiał odpowiedzieć za złamanie prawa. Skrzywdzeni i poniżeni wystawią Panu rachunek. To będzie groźna chwila (...)".

Przepraszam za przydługi cytat. Ale to rzadka okazja, by do tamtych chwil powrócić. Poczuć na plecach ciarki, gdy w kącie kryje się demon. I zadumać nad skalą upadku, do jakiego prowadzą bezgraniczna pycha i zakłamanie.

Gdzie bylibyśmy dziś, gdyby nie było tego „cyrografu" i gwałtu na polskiej duszy, o którym wspomina Wanda Zwinogrodzka? Przekonana jestem, że jednak nasz dom byłby bardziej jasny. Bez diabolicznych wyziewów i przeklętych zawodzeń pokracznych oszustów, odbitych w tafli luster. Uchodzących za jedyne i ostatnie sprawiedliwe anioły. I pojawia się pytanie, czy skrzywdzeni i poniżeni potrafią wystawić rachunek?

Autorka jest mediozna wcą, religiologiem, prof. WSKSiM w Toruniu

eprasa.pl ef27a56980

Matka

Alina Czerniakowska

„Jest jedna miłość, która nie liczy na wzajemność, nie szczędzi ofiar, płacze a przebacza, odepchnięta wraca – to miłość macierzyńska" (J.I. Kraszewski). Czcimy wiele różnych dni w roku, ale ten jest wyjątkowy, szczególny, bo to dla niej prosto z serca popłynęły najszczersze i najpiękniejsze strofy znanych poetów, słowa wielkiej miłości i uwielbienia kierowali do niej wielcy przywódcy, żołnierze, mężowie stanu. O niej artyści wyśpiewali prawdziwie wzruszające pieśni i piosenki, bo to przecież „Ona mi pierwsza pokazała księżyc/ i pierwszy śnieg na świerkach,/ i pierwszy deszcz..." (K.I. Gałczyński). To o niej „myślałem: nigdy się nie zmieni/ zawsze będzie czekała/ ubrana w białą suknię/ i niebieskie oczy/ na progu wszystkich drzwi/ zawsze będzie uśmiechała się/ wkładając ten naszyjnik/ aż nagle/ urwała się nitka/ teraz perły zimują/ w szparach podłogi..." (Z. Herbert).

Wielki Polak, waleczny żołnierz, wódz i wybitny strateg, który dał Polsce niepodległość, moc i dumę, zawsze w swoich książkach, wspomnieniach odwoływał się do matki: „Gdy rozmyślam i podejmuję decyzje, staję w myślach przed moją matką i pytam, co by zrobiła na moim miejscu, jak oceniłaby moją decyzję" (J. Piłsudski „Do Polaków. Myśli, mowy i rozkazy"), a w swoim pożegnalnym wierszu (tak, Józef Piłsudski pisał również wiersze) pięknie uzasadnił swoją decyzję zapisaną w testamencie o pochowaniu swojego serca w grobie matki na wileńskim cmentarzu na Rossie: „Do tej ziemi od borów zielonej/ Tam gdzie matka mnie uczyła pacierza/ Niech poniosą moje serce zmęczone/ Wierne serce syna i żołnierza [...] Niech poniosą w milczeniu w żałobie/ Kochania ziemskiego ostatki/ I postawią niziutko na grobie mej matki...".

Pamiętam z dzieciństwa wierszyk, który mówiłam w szkole na Dzień Matki, a który tak naprawdę dopiero dzisiaj rozumiem: „Ja wiem, Mamo, wiem, ile troski w każdy dzień chwilę włożyć trzeba/ ile pracy, aby z gałązki wielkie, piękne wyrosły drzewa..." (T. Kubiak). Ciągle powracam w pamięci do wszystkich wspaniałych matek, cudownych kobiet, które dawały z siebie wszystko, by obdarzyć wszelkim dobrem swoje dzieci, dobrze je wychować, zapewnić wyżywienie, ubranie, zwykłe radości na co dzień i od święta. A było to szczególnie trudne dla powojennych matek, wówczas młodych, tak pięknie uśmiechających się do nas z rodzinnych fotografii. Kraj dźwigający się do życia po sześciu latach okupacji, bieda, nieuleczalne choroby, ciężka praca, często samotne, bo mężowie zginęli na wojnie lub w konspiracji, bohaterki, którym nikt nie zdążył podziękować. Odeszły tak, jak żyły. Widzę to wszystko dopiero z perspektywy własnego macierzyństwa. Ciężko byłoby mi pogodzić pracę zawodową i obowiązki domowe bez mojej teściowej, bo moja mama była daleko, spędzałam u niej tylko wakacje i niektóre święta. Kiedyś Zofia Korbońska powiedziała mi zdanie, które zapamiętałam na zawsze: „Nigdy nie odpłaczemy śmierci matki" – ona powraca każdego dnia w różnych obrazach, myślach. Teraz wiem, jak wiele zależy od matki, od jej relacji z ojcem, które kształtują nasz cały dom rodzinny, ukierunkowują, budują charakter i światopogląd dzieci.

Mądra matka może świetnie pogodzić pracę zawodową z obowiązkami domowymi, wcale nie musi być cierpiętnicą, która rezygnuje z własnych aspiracji na rzecz dzieci i męża, wystarczy tylko wzajemna uczciwość i prawdziwa serdeczność. Wszystko w oparciu o odwieczne zasady Dekalogu, który nie pozwala zachować się byle jak, zmarnować życia swoich dzieci, dawać złego przykładu. Nawet wtedy, gdy druga strona zawodzi, matka musi pozostać ostoją, bo inaczej wszystko się zawali.

Bohaterowie moich filmów z powstania warszawskiego, z trudnych lat powojennych, którzy oparli się sowietyzacji, na pytanie: „Co jest najważniejsze w życiu?, odpowiadali krótko – wychowanie. To najtrudniejsza rola, jakiej nam, kobietom, przychodzi się nauczyć i wypełnić. Patrząc i słuchając wypowiedzi medialnych, haseł wypisywanych i wykrzykiwanych na tzw. manifestacjach kobiet, trudno powstrzymać przerażenie, nie sposób pojąć, że coś takiego jest możliwe w wydaniu dziewczyny, kobiety? Poplątały się pojęcia, zło nazywa się dobrem, zabijanie nienarodzonych dzieci – wolnością i prawem kobiet, haniebny wulgaryzm – nowoczesnością, europejskością, kłamstwo – prawdą, brak szacunku, podstawowej kultury bycia – modą, a wszystko w imię jakiejś dziwnie wyimaginowanej, świadomie opacznie odczytanej konstytucji? Najtrudniej z tym pogodzić się starszym matkom. Często słyszę w rozmowach wielkie rozżalenie i ból – co się stało z naszymi dziećmi, kto ich wyprowadza na ulice, deprawuje, niszczy naszą przyszłość.

„Takie będą Rzeczypospolite, jakie ich młodzieży chowanie" – zapominają o tym matki, które pozostają przecież największymi autorytetami dla swoich dzieci, kształtują i wychowują od narodzin do końca swoich dni, dając przykład swoim życiem. Warto przeczytać książkę napisaną jeszcze przez profesora, wielkiego teologa, filozofa, humanistę Karola Wojtyłę „Miłość i odpowiedzialność". Przyszły papież Jan Paweł II wyjaśnia we wstępie, „jak wychowywać z miłością w oparciu o odpowiedzialność, rozumianą jako obowiązek wobec Boga, bliskich i Ojczyzny. To jest najważniejsze przesłanie dla każdej kobiety, matki mądrze i prawdziwie kochającej swoje dzieci". Przecież tych młodych bezczeszczących święte miejsca, kościoły, wyklinających, domagających się aborcji, prawa do zabijania, do eutanazji, jakaś matka urodziła i wychowała, na swoje podobieństwo...

Autorka jest reżyserem filmowym, scenarzystką i dziennikarką

eprasa.pl ef27a56980

Nie lękajcie się...

Lech Makowiecki

Słowa te, wypowiedziane w 1978 r. podczas inauguracji pontyfikatu papieża Polaka Jana Pawła II, były wezwaniem do otwarcia się na Chrystusa i jego nauki. Po czterech dekadach okazały się głosem wołającego na puszczy. Świat zmierza dziś w zupełnie innym kierunku. Dlatego chciałbym pochylić się nad postępującym ludzkim tchórzostwem, które stało się naszą codziennością.

Kiedy czytam o legendarnym heroizmie Polaków, odnoszę wrażenie, że ostatni z naszych bohaterów polegli w II wojnie światowej. W PRL bezwzględnie ścigano i dobijano resztki „samotnych wilków" – żołnierzy wyklętych. Od kul komunistycznych siepaczy zginęli wkrótce ich pogrobowcy: gdańscy stoczniowcy i górnicy z kopalni Wujek. Esbecy zakatowali ks. Jerzego Popiełuszkę, mordowali też innych odważnych kapłanów. Konsekwentnie pacyfikowano wszystkich mądrych, dumnych i hardych Polaków.

Jednak to dopiero ostatnie trzy dekady zdemolowały totalnie mentalność wielu Polaków. Zwłaszcza młodych. Lewacka europejskość promuje dziś demoralizację, egoizm i głupawkę. A to wiedzie nas wprost do krainy swobód wszelakich, czyli... totalnego zniewolenia. Żeby móc się z niego wyrwać, trzeba by mieć niezłomność i odwagę, które nosili w sobie Grzegorz Przemyk i Stanisław Pyjas. Ale skąd je brać, gdy szczytem współczesnego heroizmu jest flekowanie bezbronnych, uległych chrześcijan? Czy w obronie swych wartości nasi genderowi „fighterzy" skłonni byliby zgłosić się na ochotnika do Auschwitz (vide: rtm. Witold Pilecki)? Czy dzisiejsze rozwydrzone feministki zachowałyby się na torturach równie dzielnie jak nieletnia sanitariuszka „Inka"? A może pękłyby już przy pierwszym tupnięciu oprawców? „Tyle wiemy o sobie, ile nas sprawdzono". Miliony Polaków oddały życie w walce o wolność, w obronie swych rodzin, swojej wiary. Do „żywych torped" zgłosiło się aż 4,7 tys. ochotników! W tym 150 kobiet. Czy byliby skłonni ginąć za prawo do aborcji czy wybór płci?

38 cm Grodzkiego

Piotr Cywiński

Na początek zagadka: co to za twór, który jest, a go nie ma? To mniejszość polska w Niemczech. Kiedyś była, ale została zlikwidowana na mocy tzw. dekretu Göringa, już po napaści III Rzeszy na Polskę. W efekcie dwa tysiące polonijnych działaczy wysłano do „kacetów" na śmierć, przepadły polskie banki, nieruchomości, w ogóle wszystko. Wprawdzie niedobitki Polaków w Niemczech przetrwały, reaktywowano też niektóre związki istniejące od ponad stu lat, ale uznane nieoficjalnie za nielegalne, także przez niemieckich prawników, hitlerowskie rozporządzenie obowiązuje nadal. Dlaczego? Powody są dwa: w konsekwencji formalnego uznania przez Republikę Federalną za nieważne należałoby przywrócić Polakom status mniejszości i oddać wszystko, co jej zagrabili, a był to potężny majątek. Powód drugi: zjednoczona Polonia w Niemczech stanowiłaby poważną siłę. Więc oficjalnie występują dziś w RFN „osoby przyznające się do polskiego pochodzenia", skłócone, nie bez udziału niemieckiego MSW, organizacje i działacze różni. I przyjaźń... kwitnie.

Niektóre z wymienionych wymyśliły 12 lat temu nagrodę Polonicusa. Idea piękna, figurka też, co do laureatów – nie moja nagroda, to nic mi do tego. Wśród tychże byli: Wałęsa eksprezydent, który przy odbiorze statuetki wezwał Niemców, żeby „skończyli z kompleksami i przejęli przywództwo w Europie", była europosłanka po mężu Thun, która... mniejsza z tym, i Holland reżyserka była, i aktorka Janda, i wtedy jeszcze „król Europy" Tusk był, ba, przy tej okazji odbyło się nawet – jak rozgłosiła Niemiecka Fala/Deutsche Welle – forum dyskusyjne: „Polacy w Niemczech nie pasują do historycznego rewizjonizmu polskiego".

W tym roku nagrodę ma dostać kandydat na kanclerza, szef CDU, Armin Laschet, który trzy lata temu ściskał dłoń laureatowi Tuskowi. Teraz jemu dłoń będzie uściśnięta, a ściskającym ma być obecnie patron Polonicusa Tomasz Grodzki. Złośliwcy twierdzą, że następnym odbiorcą statuetki będzie sam marszałek Senatu – ponoć zamroził pisowską propozycję uchwały w sprawie wciąż obowiązującego „dekretu Göringa", bo jakoby Niemcy zagrozili, że jeśli jej nie zamrozi, to oni zamrożą wypłaty dla tych, którzy tę nagrodę wymyślili.

Wedle pomysłodawców tego wyróżnienia Polonicus jest „skierowany do osób budujących własną pozycję społeczną i materialną" – czyż nie pięknie?! Aa, statuetka, którą wkrótce być może dostanie także marszałek Grodzki, to „uskrzydlony odważny i dynamiczny młodzieniec" wysokości 38 cm.

eprasa.pl ef27a56980

Program prawdziwej odbudowy

Tegoroczna beatyfikacja Prymasa Tysiąclecia przypada w czasie poważnego zamętu. Stajemy wobec fundamentalnych pytań o przyszłość

JAN POSPIESZALSKI

Budowa Pałacu Kultury i Nauki, „daru" Sowietów, została uzgodniona i przyjęta przez strony, polską i sowiecką, podpisaniem specjalnego protokołu. Kolos paraliżujący centrum stolicy był znakiem zniewolenia i wchłonięcia Polski przez blok sowiecki, w którym z czasem Polacy mieli się roztopić. Prezent Stalina propagandowo ilustrował niejako całość odbudowy zdewastowanego kraju i tworzenia „nowego społecznego ładu". Potężny obiekt miał być też przykładem „awansu cywilizacyjnego" peryferyjnej i zacofanej społecznie „pańskiej Polski". Aby warszawiacy mogli przyjąć ten „symbol odbudowy", wyburzono 170 kamienic, które przetrwały wojnę (w tym dom dziecka Janusza Korczaka), wysiedlając mieszkańców i właścicieli. Trzech z nich popełniło samobójstwo.

W tym samym czasie w lasach i więzieniach likwidowano resztki niepodległościowego podziemia. Gdy trwa budowa PKiN, władze sowieckiej Polski przystępują do rozprawy z Kościołem. Do więzienia trafia prymas Wyszyński. Część społeczeństwa zdawała sobie sprawę, z czym ma do czynienia, ale nie wszyscy. Realizowane terrorem podporządkowanie wszystkich sfer życia, z gospodarką, informacją, nauką i kulturą, partii komunistycznej sprawia, że część mniej zorientowanych daje się omamić, inni, ze strachu lub dla świętego spokoju, wybierają postawę milczenia lub współpracy. Prymas, choć uwięziony, dobrze orientuje się w sytuacji. W odpowiedzi przygotowuje (genialny, jak się później okaże) plan obrony – Jasnogórskie Śluby Narodu Polskiego.

Przez pośrednictwo Matki Najświętszej kardynał Wyszyński zawierza Polskę Bogu, szczególną uwagą poświęcając kwestiom społecznym. Mamy tu, obok przysięgi wierności Bogu, Ewangelii, Krzyżowi i Kościołowi, przyrzeczenie wierności „Ojczyźnie naszej świętej". Są przysięgi obrony życia, nierozerwalności małżeństwa, deklaracja obrony godności kobiety, troska o pielęgnowanie obyczajów chrześcijańskich i ojczystych. Prymas zobowiązuje Polaków do wychowania młodego pokolenie w wierności Chrystusowi, do obrony młodych przed bezbożnictwem i zepsuciem. W kolejnych przyrzeczeniach Polacy zobowiązują się do życia w zgodzie i sprawiedliwości, „aby wśród nas nie było nienawiści, przemocy i wyzysku". W ślubach jest też przysięga walki z wadami narodowymi: „lenistwem i lekkomyślnością, marnotrawstwem, pijaństwem i rozwiązłością". Tekst ślubów został przemycony z miejsca uwięzienia prymasa do Częstochowy.

26 sierpnia 1956 r. na Jasną Górę przybywa milion pielgrzymów. Ogromna wspólnota wiernych przyjmuje słowa ślubowania i z rękoma wyciągniętymi w górę, powtarza: „Królowo Polski, przyrzekamy!". Tekst ślubów upowszechniany w niezliczonych ozdobnych drukach, zaopatrzony w wizerunek Maryi Królowej Polski, dotarł praktycznie do każdego katolickiego polskiego domu. Obecny w kościołach, utrwalany podczas peregrynacji maryjnego obrazu, w potężnym programie duszpasterskim dziewięcioletniej Nowenny, aż do uroczystych obchodów milenium tysiąclecia Chrztu Polski 3 maja 1966 r.

Jan Paweł nazwał ten tekst polską Kartą praw człowieka. W powojennej Polsce, zrujnowanej nie tylko materialnie, ale też moralnie i mentalnie, wobec terroru i ideologicznej indoktrynacji, wobec przesiedleń i wykorzenienia, Polacy otrzymali program duchowej odbudowy i narzędzie moralnego oporu. W opinii wielu historyków bez pokolenia milenium nie byłoby Solidarności.

Tegoroczna beatyfikacja Prymasa Tysiąclecia przypada w czasie poważnego zamętu. Stajemy wobec fundamentalnych pytań o przyszłość. Zarówno w skali globalnej, jak i narodowej. Jesteśmy pełni niepokoju wobec zmian w Kościele, wobec zagrożeń suwerenności Polski, wobec narzucanych globalnie ograniczeń wolności i niebezpiecznych trendów społecznych. Wczytując się w program ślubów, jestem pełen podziwu dla proroczej intuicji Błogosławionego. Ten program, gdzie słowa: Polska, Ojczyzna i Naród, powtarzane są tak samo często jak Bóg, Chrystus i Matka Najświętsza, jest najlepszym umocnieniem na obecny czas. Czas, gdy ponure gmaszysko ufundowane przez marksistów ciągle straszy, przypominając niezwykłą zdolność przywdziewania przez diabelski totalitaryzm coraz to nowszych kostiumów.

eprasa.pl ef27a56980

Michał Korsun prezentuje:
Przemysław z Czarnkowa

Wycinki z przeszłości

W 86. rocznicę śmierci marszałka Józefa Piłsudskiego sięgamy do „Przewodnika Katolickiego" z maja 1935 r., który na gorąco donosił:

„Już od roku czuł się fatalnie, blednął, chudł. Niepokoiło to otoczenie, ale sam nie skarżył się, o kuracji dłuższej słyszeć nie chciał. Z wiosną tego roku zdrowie śp. Marszałka pogorszyło się znacznie. Wreszcie w Wielkim Tygodniu zgodził się na konsylium lekarskie. Sprowadzony z Wiednia specjalista dr Wenckebach wspólnie z dr. Stefanowskim orzekli, że to rak w żołądku i wątrobie. Na operację było już za późno, osłabione serce chorego nie przetrzymałoby jej.

Do ostatnich chwili nie leżał w łóżku, przechadzał się po tarasie pałacu belwederskiego. W piątek był już tak osłabiony, że chodzić nie mógł. Kazał więc wozić się na wózku na kółkach. W tym dniu przyjął ministra Becka.

Przewodnik Katolicki

W niedzielę ks. Korniłowicz udzielił Ostatniego Olejem świętym Namaszczenia. Agonia rozpoczęła się o godzinie 8-ej (wieczorem). Ksiądz i rodzina oraz bliższe otoczenie rozpoczęli odmawianie modlitw.

O godzinie 8.40 wieczorem nastąpił zgon".

(mk)

Jakobin, poeta, żołnierz, bohater

Leszek Długosz

Ukończył Szkołę Rycerską. Zginął w walce z Rosjanami podczas rzezi Pragi w 1794 r. Odznaczony Orderem Virtuti Militari. Twórczość generała Jasińskiego obejmuje dzieła malarskie, polityczne, wiersze satyryczne, bajki, piosenki. Np. tak popularna, ta o Zosi, uważana jest wręcz za piosenkę ludową. Istotne znaczenie mają utwory polityczne o charakterze rewolucyjnym. Mickiewicz poświęcił mu dramat, niestety niedokończony, pisany po francusku. W „Panu Tadeuszu" przywołuje go: „Jasiński, młodzian piękny i posępny".

Jakub Jasiński (1761–1794)

„Chciało się Zosi jagódek"

Chciało się Zosi jagódek
Kupić ich za co nie miała,
Jaś ich miał pełny ogródek,
Ale go prosić nie śmiała.

Wnet sobie sposób znalazła,
Rankiem się z chatki wykradła,
Cicho przez płotek przelazła,
Wiśnie Jasiowi objadła.

Poznał się Jasio na szkodzie,
Wróble to, mówił, zrobiły,
Odtąd mi w moim ogrodzie
Nie będą ptaszki gościły.

Na drążku, tak jak należy,
Kapelusz pięknie ugładził,
Zawiesił starej odzieży
I stracha w sadzie posadził.

Zośka się stracha nie bała,
Płotek szczęśliwie przebyła,
Z swojej się sztuki rozśmiała,
I nową szkodę zrobiła.

Ale się Jasio domyślił,
Co to za ptaszek tak śmiały,
Nowe sidełka wymyślił,
I dobrze mu się udały.

Na miejsce tyczki udanej
Cicho pod drzewem sam staje,
W starej odzieży ubrany
Stracha owego udaje.

Podług swojego zwyczaju
Zosia gałązkę nagina,
„A tuś mi, miły hultaju!"
Złapana biedna dziewczyna.

Potem jak słuszność kazała,
Skarał złodzieja przy szkodzie;
Zosia z początku płakała,
Potem umilkła przy zgodzie.

CENNIK PRENUMERAT*	OKRES PRENUMERATY		
	3 miesiące	6 miesięcy	12 miesięcy
SIECI	75 zł	139 zł	245 zł
wSIECI HISTORII	–	29 zł (3 wydania)	54 zł (6 wydań)
pakiet SIECI i wSIECI HISTORII	–	158 zł (w tym 3 wydania wSIECI HISTORII)	280 zł (w tym 6 wydań wSIECI HISTORII)

*dane do przelewu w stopce redakcyjnej

eprasa.pl ef27a56980

OD A DO ZYBERTOWICZÓW

Kosztowna ślepota

Sardynia, miejscowość Cala Ganone. Rok 2001. Tam 11 września zastała nas wiadomość o terrorystycznym ataku na World Trade Center. Resztę tego dnia i spore części następnych spędziliśmy w mieszkaniu gospodyni, która wynajmowała nam i zaprzyjaźnionemu z nami małżeństwu apartament. Oglądaliśmy amerykańską telewizję, próbując zrozumieć, co się wydarzyło.

TRAUMA

Dziesiątki razy widząc samoloty wlatujące w wieże WTC, wysłuchawszy setek podobnych komentarzy, nadal nie wiedzieliśmy, co się *wydarzyło*. Ale już drugiego dnia *zobaczyliśmy, co się dzieje*. Amerykanie przeżywali wielką traumę, z którą – przynajmniej na początku – nie potrafili sobie poradzić. Widzieliśmy, że wiele materiałów filmowych, wiele komentarzy, nie tyle informuje, ile próbuje uleczyć, że jest próbą zbiorowej psychoterapii.

BŁĘDNA WOJNA?

Gdy Amerykanie już ogarnęli się trochę, ruszyli na wojnę ze światowym terroryzmem oraz islamizmem. Wysłali wojska do Afganistanu i Iraku. Przestawili swoje służby wywiadowcze i kontrwywiadowcze na zwalczanie terroryzmu. Zredefiniowali piony analityczne i eksperckie służb, administracji publicznej, uruchomili wiele akademickich projektów badawczych. Wydali ogromne środki na wypracowanie – częściowo skutecznych – narzędzi monitorowania światowych przepływów finansowych pod kątem tropienia terroryzmu. Na polu zwalczania terroryzmu zawiązywali sojusze z samym diabłem.

Tak bardzo skupili się na odreagowaniu swojej zrozumiałej, ale trwającej niebezpiecznie długo traumy, że umieściwszy w centrum swojej uwagi terroryzm, przegapili coś, co w wymiarze cywilizacyjnym było znacznie ważniejsze.

Obawiamy się, że europejskie demokracje, do których Polska należy, właśnie popełniają błąd w stylu USA

W CIENIU WALKI Z TERRORYZMEM

Nadmiernie długo trwające skupienie uwagi amerykańskiego państwa i społeczeństwa na walce z terroryzmem zaowocowało przeoczeniem, którego koszty mogą – przy niekorzystnym biegu zdarzeń – okazać się opłakane dla całej cywilizacji Zachodu.

Ameryka przeoczyła dwie – dziś widzimy, iż z sobą powiązane – rzeczy. Zaskakujący wzrost potęgi Chin i równie zaskakujące osłabienie własnej tkanki społecznej. Wielu ekspertów, np. Andrew Michta z George Marshall European Center for Security Studies, boleje, że rozwój USA skupił się na wybrzeżach wschodnim i zachodnim, a niemal cała reszta stała się tzw. *fly-over country* – zaniedbanym krajem, nad którym tylko się przelatuje.

Nie będziemy się tu bliżej nad kryzysem Ameryki pochylali (są od tego lepsi od nas fachowcy), chcemy tylko podkreślić, że w sytuacji, gdy demokracja na Zachodzie w ogóle przechodzi poważny kryzys, to fenomen błyskawicznie unowocześniających się autorytarnych Chin trzeba traktować ze szczególną uwagą.

Gdyby się okazało, że Stany Zjednoczone nie będą zdolne równoważyć chińskich aspiracji do przewodzenia całemu światu, perspektywy całej zachodniej demokracji mogą wyglądać supernieciekawie.

A CZEGO NIE WIDZI UNIA?

Powyższy wywód był nam potrzebny, by postawić takie właśnie pytanie. Obawiamy się, że europejskie demokracje, do których Polska należy, właśnie popełniają błąd w stylu USA. Amerykanie skupili się na czymś ważnym i groźnym (światowy terroryzm), zarazem przegapiając niebezpieczeństwo znacznie większego kalibru: wzrost chińskiej potęgi.

Zastanówmy się, czego dzisiaj nie dostrzegają elity i społeczeństwa Unii Europejskiej? Skupiając swoją uwagę na sposobach (raczej niż na strategiach) wychodzenia z pandemicznego wstrząsu, na pogłębianiu emancypacyjnego marszu polegającego na dodawaniu kolejnych literek do LGBT+, z pola uwagi może Europejczykom umknąć narastanie o wiele poważniejszego zagrożenia niż te, o których obecnie głównie się dyskutuje.

Czy jest nim wzrost potęgi cyfrowych gigantów (i amerykańskich, i chińskich) przejmujących kontrolę nad wyobraźnią mas? Czy niezdolność krajów UE do wyłonienia prawdziwego przywództwa całej wspólnoty? Czy coś jeszcze zupełnie innego?

Nie możemy się oprzeć sugestiom naszej intuicji, że Bruksela, Paryż, Berlin zamiast świat zrozumieć, próbują go – niczym Amerykanie po 11 września – psychoterapeutycznie zaczarować...

Katarzyna i Andrzej Zybertowiczowie

Autopromocja x2

eprasa.pl ef27a56980

GORĄCE PYTANIA

W POLSCE PL

HOŁDYŃSKA • JAKUBOWSKA • ŁOSIEWICZ • RYBIŃSKA • BIEDROŃ • MACIEJEWSKI • MAJEWSKI • POTOCKI • PYZA • WIKŁO • WOLNY

OGLĄDAJ NAS:

CYFROWY POLSAT — NA POZYCJI **196**

upc — NA POZYCJACH **339** dekoder Mediabox **121** dekodery KAON i Horizon

orange — NA POZYCJI **32**

NETIA — NA POZYCJI **192**

VECTRA — NA POZYCJI **825**

wSIECI HISTORII

Nowe wydanie w kioskach!

3 maja 1791
Pierwsza nowoczesna konstytucja w Europie

Uszy konspiracji
Kontrwywiad AK – wielka sieć informacyjna

Dusza kontusza
Zofia z Opalińskich – staropolska femme fatale?

Zamów e-wydanie wSIECI HISTORII i SIECI
na **www.SiecPrzyjaciol.pl**

– do 70% taniej! Tylko 9,99 zł za miesiąc lub **89,99 zł za 12 miesięcy**
– do czytania na komputerze, smartfonie, tablecie

eprasa.pl ef27a56980